



UUK

GORDON R. DICKSON

DORSAJ!



SPIS TREŚCI

	SPIS TREŚCI.	2
1	Kadet	3
2	Mężczyzna	6
3	Najemnik	12
4	Najemnik II	18
5	Najemnik III	26
6	Dowódca kompanii	34
7	Dowódca kompanii II.	39
8	Weteran	48
9	Adiutant	54
10	Łącznik Sztabowy	62
11	Kapitan	69
12	Dowódca podpatrolu	76
13	Dowódca podpatrolu II	84
14	Bohater	89
15	Głównodowodzący.	99
16	Głównodowodzący II.	105
17	Marańczyk	112
18	Protektor.	119
19	Protektor II.	124
20	Protektor III	130
21	Najwyższy dowódca	139
22	Najwyższy dowódca II	149
23	Donal	157
24	Sekretarz obrony	160

Kadet

Chłopiec był dziwny.

Tyle wiedział o sobie. Tyle usłyszał w ciągu osiemnastu lat swego krótkiego życia, kiedy starsi — matka, ojciec, wujowie, oficerowie w Akademii — napomykali o nim, konfidencyjnie kiwając głowami. Teraz, o bursztynowym zmierzchu, przemierzając puste pola w drodze powrotnej do domu, gdzie czekała nań kolacja z okazji ukończenia szkoły, sam przed sobą przyznał się do swojej odmienności — rzeczywistej czy też istniejącej tylko w umysłach innych.

— Dziwny chłopiec — podsłuchiwał kiedyś, jak komendant Akademii mówił do wykładowcy matematyki — nigdy nie wiadomo, z czym wyskoczy.

Właśnie w tej chwili w domu krewni czekają na jego powrót, niepewni, czego się mają spodziewać. Może nawet sądzą, że nie przyjedzie. Dlaczego? Nigdy nie dał im powodu do wątpienia. Był Dorsajem z Dorsajów, jego matka wywodziła się z Kenwicków, a ojciec z Graeme'ów — nazwiska tak stare, że ich pochodzenie ginęło w prehistorii Ojczyściej Planety. Jego odwaga była bezsporna, słowa nieskalane. Przewodził swojej klasie. Z krwi i kości był potomkiem długiej linii świetnych zawodowych żołnierzy. Żadna plama nie zbrukała honoru tego rodu wojowników, nie spłonął żaden dom, jego mieszkańcy nie rozproszyli się ukrywając rodzinny wstyd pod nowymi nazwiskami z powodu błędów swoich synów. A jednak — wątpili.

Dotarł do ogrodzenia z wysokich sztachet. Oparł się o nie obydwoma łokciami, a mundur starszego kadeta napiął mu się na plecach. Pod jakim względem był dziwny? — zastanawiał się w wieczornej poświacie. Czym się wyróżniał?

Wyobraził sobie, że patrzy na siebie z boku. Szczupły osiemnastoletni młodzieniec, wysoki, ale nie nazbyt wysoki jak na Dorsaja, silny, ale jak na Dorsaja nie nazbyt silny. Twarz podobna do twarzy ojca, o rysach ostrych i kanciastych, o prostym nosie, ale bez ojcowskiej marsowości. Ciemna cera Dorsajów, włosy proste, czarne i trochę sztywne. Jedynie oczy — o nieokreślonym kolorze, w zależności od nastroju zmieniającym się od szarego po niebieski lub zielony — nie przypominały oczu żadnego z przodków. Ale chyba one same nie mogły wyrobić mu opinii dziwnego?

Pozostawało jeszcze usposobienie. W pełni odziedziczył po Dorsajach zimne, nagłe, mordercze napady gniewu, które sprawiały, że żaden człowiek zdrowy na umyśle nie ośmielał się wchodzić w drogę któremukolwiek z nich bez ważnego powodu. Jeśli jednak Dorsajowie uważali Donalę Graeme'a za dziwnego, to ta zwyczajna cecha nie mogła być jedyną przyczyną.

Czy można za nią uznać — zastanawiał się patrząc na zachód słońca — fakt, że nawet w czasie napadów wściekłości był zbyt wyrachowany, zbyt opanowany i jakby nieobecny duchem? I w chwili kiedy to pomyślał, uświadomił sobie całą swą odmienność, całą dziwność. Towarzyszyło temu niesamowite uczucie uwolnienia się od cielesnej powłoki, które od urodzenia nawiedzało go od czasu do czasu.

Przychodziło zawsze w takich chwilach jak ta, powodowane zmęczeniem i wielkimi emocjami. Kiedyś jako bardzo młody chłopiec brał udział w wieczornej mszy w kaplicy Akademii, półomdlały z głodu po długim dniu ciężkich ćwiczeń wojskowych i trudnych lekcji. Promienie zachodzącego słońca, takie jak teraz, padały ukośnie przez wysokie okno na puste, wypolerowane ściany i umieszczone na nich solidografie słynnych bitew. Stał w szeregach kolegów szkolnych między twardymi, niskimi ławkami, a chór kadetów, wspierany przez niskie głosy oficerów stojących z tyłu, intonował uroczyste tony *Ballady wakacyjnej*, znanej dziś powszechnie jako *Hymn Dorsajów*, której słowa napisał osiem wieków temu człowiek o nazwisku Kipling.

Okręty nikną za garbem oceanu,
Na łądzie gasną powoli płomienie.
Patrz! Cały splendor wczorajszego larum
Z Niniwą i Tyrem poszedł w zapomnienie. . .

Pamiętał, że pieśń tę śpiewano na uroczystościach pogrzebowych, kiedy przywieziono prochy jego najmłodszego wuja z wypalonego pola bitewnego Donneswort na Freilandii, trzeciej planecie Arktura.

Za ciemne serca, co pokładają wiarę
W armatnich lufach i hełmach żelaznych,
Choć zmieniają się wkrótce w pyłu pełną czarę
I straż trzymają, strzegąc spraw nieważnych. . .

I zaśpiewał razem z pozostałymi, czując wtedy, podobnie jak teraz, końcowe słowa hymnu w najgłębszych zakątkach serca.

. . . Za próżne cnót naszych wychwalanie —
Zlituj się nad swym ludem, Panie!

Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Ogarnął go zachwyty. Wokół niego znikające czerwone światło zalewało ziemię. Wysoko na niebie widniał czarny punkcik — krążący jastrząb. A on tu przy ogrodzeniu stał oderwany od rzeczywistości, daleki, otoczony niewidzialnym murem, który oddzielał go od całego wszechświata, samotny, nietykalny, oczarowany. Zamieszkane światy i ich słońca kurczyły się i zapadały w jego wyobraźni; czuł syrenie, śmiertelne przyciąganie oceanu, który obiecywał natychmiastowe spełnienie jakichś wielkich, ukrytych celów i ostateczne unicestwienie. Stał na brzegu, a fale pluskały mu u stóp; i jak zwykle usiłował unieść nogę, dać krok w głębinę i zniknąć na zawsze, ale coś w nim zaprotestowało przeciwko samozniszczeniu i powstrzymało go.

I wtedy nagle czar prysł tak nagle, jak przyszedł. Chłopiec skierował się w stronę domu.

* * *

Kiedy wszedł frontowymi drzwiami, zobaczył ojca, który przygarbiony czekał nań w półmroku, opierając się na cienkiej metalowej lasce.

— Witaj w domu — powiedział i wyprostował się. — Zrzuć lepiej ten mundur i włóż jakieś ludzkie ubranie. Kolacja będzie gotowa za pół godziny.

Mężczyzna

Po odejściu kobiet i dzieci przy długim, lśniącem stole w dużym, ciemnym pokoju pozostała męska część rodziny Eachana Khana Graeme'a. Nie wszyscy byli obecni i wydawało się nieprawdopodobne, by spotkali się kiedykolwiek, chyba że cudem. Z szesnastu dorosłych mężczyzn dziewięciu brało udział w wojnach wśród gwiazd, jeden przechodził operacje rekonstruujące w szpitalu w Foralie, a najstarszy stryjeczny dziadek Donala, Kamal, umierał cicho w swoim pokoju na tyłach domu, z rurkami od respiratora w nosie i wśród słabego zapachu bzu przypominającego mu żonę, Marankę, zmarłą czterdzieści lat temu. Przy stole siedziało pięciu mężczyzn; jednym z nich był — od trzeciej po południu — Donal.

Wśród obecnych, którzy mieli uczcić jego wejście w wiek dorosły, znajdowali się: Eachan — jego ojciec, Mor — starszy brat na przepustce z Zaprzyjaźnionych, wujowie bliźniacy Ian i Kensie — starsi od Jamesa poległego pod Donneswort. Siedzieli razem w jednym końcu stołu, ojciec u szczytu, dwaj synowie po prawej stronie, a jego młodszy bracia bliźniacy po lewej.

— Mieli dobrych oficerów, kiedy tam byłem — mówił Eachan. Pochylił się, by napełnić szklankę Donala, a ten uniósł ją automatycznie, cały zasłuchany.

— To właśnie Freilandczycy — powiedział Ian, bardziej ponury ze śniadych bliźniaków. — Wpadają w rutynę bez walki, która by ich rozruszała. Kensie mówi o Marze albo Kultis, a ja mówię — dlaczego nie?

— Słyszałem, że mają tam kompanie Dorsajów — odezwał się Mor po prawej stronie Donala.

Z lewej odpowiedział niski głos Eachana:

— To gwardia na pokaz. Znam ją. Sam lukier to jeszcze nie ciasto. Bond z Kultis lubi myśleć, że ma niezwykłą straż przyboczną, ale w razie prawdziwych utarczek między gwiazdami rozbito by ją w mig.

— A tymczasem — wtrącił Kensie z niespodziewanym uśmiechem na ciemnej twarzy — żadnej akcji. Pokój szkodzi wojsku. Ludzie zaczynają tworzyć małe kliki, do głosu dochodzą mięczaki, a prawdziwy mężczyzna — Dorsaj — staje się ozdobą.

— Tak jest — stwierdził Eachan kiwając głową.

Donal z roztargnieniem pociągnął łyk ze szklaneczki i whisky gwałtownie zapiekła go w nosie i gardle. Małe kropelki potu wystąpiły mu na czoło, ale zignorował je, koncentrując się na słuchaniu. Wiedział, że cała ta rozmowa przeznaczona jest dla niego. Był teraz mężczyzną i nie mógł już dłużej robić tylko tego, co mu kazano. Musiał sam dokonać wyboru, gdzie będzie służył, a oni starali się mu pomóc, przekazując swoją wiedzę o ośmiu systemach planetarnych i ich zwyczajach.

— ...nigdy nie byłem dobry w służbie garnizonowej — kontynuował Eachan. — Zadaniem najemnika jest ćwiczyć, utrzymywać się w formie i walczyć, ale kiedy wszystko już się powie i zrobi, najważniejsza jest walka. Niektórzy nie zgadzają się z tym. Są Dorsajowie i Dorsajowie... i nie wszyscy Dorsajowie są Graeme'ami.

— A na Zaprzyjaźnionych... — zaczął Mor i zamilkł, rzucając spojrzenie na ojca w obawie, że mu przerwał.

— Mów dalej — rzekł Eachan skinąwszy głową.

— Właśnie miałem powiedzieć — podjął Mor — że dużo się dzieje na Zjednoczeniu... i na Harmonii, jak słyszałem. Sekty zawsze będą ze sobą walczyły. I jest jeszcze straż przyboczna...

— Być osobistą ochroną — rzucił Ian, który, bliższy wiekiem Morowi niż jego ojcu, nie odczuwał potrzeby, by być tak uprzejmym — to nie jest zajęcie dla żołnierza.

— Nie to miałem na myśli — odparł Mor zwracając się do wuja. — Duży procent wśród nich stanowią śpiewacy, co zabiera im część największych talentów. Zostaje więc wolne miejsce dla najemników.

— To prawda — stwierdził Kensie pojednawczo. — Gdyby mieli mniej fanatyków, a więcej oficerów, te dwa światy mogłyby wystawić znaczne siły. Ale żołnierz-kapłan sprawia jedynie kłopoty, jeśli jest bardziej żołnierzem niż kapłanem.

— Zgadzam się z tym — powiedział Mor. — Kiedy w czasie ostatniej potyczki na Zjednoczeniu zajęliśmy pewne małe miasteczko, przyszedł do nas przez linie członek starszyzny i chciał, żebym mu dał pięciu ludzi na katów.

— Co zrobiłeś? — zapytał Kensie.

— Odesłałem go do swojego dowódcy... a potem dotarłem się do starego pierwszy i powiedziałem mu, że jeśli znajdzie w moim oddziale pięciu ludzi, którzy naprawdę chcą takiego zajęcia, to może ich przenieść następnego dnia.

Ian skinął głową.

— Nic tak nie demoralizuje żołnierza jak odgrywanie rzeźnika — powiedział.

— Stary zrozumiał — dokończył Mor. — Słyszałem, że dostali swoich katów... ale nie ode mnie.

* * *

— Namiętności są jak wampiry — odezwał się Eachan u szczytu stołu. — Żołnierka to czysta sztuka. Nigdy nie ufałem ludziom żadnym krwi, pieniędzy lub kobiet.

— Kobiety na Marze i Kultis są ładne — wyszczerzył się Mor. — Tak słyszałem.

— Nie przeczę — poparł go wesoło Kensie. — Ale pewnego dnia musisz wrócić do domu.

— Niech Bóg sprawi, żebyście wszyscy mogli wrócić — powiedział Eachan pośępnie. — Jestem Dorsajem i Graeme'em, ale gdyby ten nasz mały świat miał coś więcej do sprzedania oprócz krwi swoich najlepszych wojowników, byłbym bardziej zadowolony.

— Czy zostałeś w domu, Eachanie — zapytał Mor — gdybyś był młodszy i miał dwie zdrowe nogi?

— Nie, Mor — odparł Eachan ciężko. — Ale istnieją również inne sztuki poza wojenną... nawet dla Dorsajów. — Spojrzał na swojego najstarszego syna. — Kiedy nasi przodkowie zasiedlili ten świat niecałe pięćset pięćdziesiąt lat temu, nie zamierzali dostarczać mięsa armatniego pozostałym ośmiu systemom. Oni pragnęli jedynie świata, gdzie żaden człowiek nie będzie decydował o losie drugiego wbrew jego woli.

— I mamy to — powiedział Ian ze smutkiem.

— I mamy to — powtórzył Eachan. — Dorsaj to wolny świat, gdzie każdy może robić, co chce, dopóki szanuje prawa swoich sąsiadów. Pozostałych osiem systemów razem wziętych nie chciałoby się zmierzyć z naszym jednym światem. Ale cena... cena... — Potrząsnął głową i ponownie napełnił sobie szklanę.

— To ciężkie słowa dla syna, który właśnie wybiera się w świat — stwierdził Kensie. — Jest wiele dobrego w życiu, jakie prowadzimy na naszej planecie. Poza tym podlegamy obecnie naciskom ekonomicznym, a nie militarnym. A zresztą, kto chciałby Dorsaj oprócz nas? Wszyscy tutaj jesteśmy twardzi i trochę dziwni. Weźmy jeden z tych bogatych nowych światów, jak Ceta w Tau Ceti, lub jeden z jeszcze bogatszych i starszych, jak Freilandia albo Newton czy też nawet sama stara Wenus. Mają powody do zmartwienia. Wydzierają sobie najlepszych naukowców, najlepszych techników, najwybitniejszych artystów i lekarzy. Tym więcej pracy dla nas i tym lepsze nasze życie.

— A jednak Eachan ma rację — warknął Ian. — Oni wciąż marzą o tym, by nas zgnieść, uczynić z nas bezwonną masę, a następnie wykorzystać do zdobycia władzy nad wszystkimi pozostałymi światami. — Pochylił się przez stół w stronę Eachana i w przyćmionym oświetleniu jadalni Donal ujrzał nagle biały błysk blizny, która pięła się po przedramieniu jak wąż i ginęła w luźnym rękawie krótkiej wojskowej bluzy. — Od tego niebezpieczeństwa nigdy się ile uwolnimy.

— Jak długo kantony pozostają niezależne od Rady — rzekł Eachan — a rody niezależne od kantonów, nie uda im się to, Ianie. — Skinął głową wszystkim obecnym przy stole. — To jest moje ostatnie zadanie tu w domu. Wy możecie chodzić na wojny ze spokojnym sumieniem. Obiecuję, że wasze dzieci wychowają się wolne w tym domu, niezależne od nikogo. . . albo ten dom przestanie istnieć.

— Ufam ci — powiedział Ian. Jego oczy połyskiwały w mroku blade jak bliźna. Był bliski wybuchu dorsajskiego gniewu, zarazem opanowany i niebezpieczny. — Mam dwóch synów pod tym dachem. Ale pamiętaj, że nikt nie jest doskonały. . . nawet Dorsaj. Zaledwie pięć lat temu Mahub Van Ghent marzył o małym królestwie na Dorsaj w Midland South. . . zaledwie pięć lat temu, Eachanie!

— Był po drugiej stronie planety — odparł Eachan. — A teraz nie żyje, zginął z ręki swojego najbliższego sąsiada z rodu Benali. Dom Mahuba spłonął i nikt już nie przyznaje się, że jest Van Ghentem. Czego więcej chcesz?

— Należało go powstrzymać wcześniej.

— Każdy człowiek ma prawo do swego własnego losu — powiedział Eachan łagodnie. — Dopóki nie przekroczy pewnych granic. Jego rodzina dosyć wycierpiała.

— Tak — zgodził się Ian. Uspokajał się. Nalał sobie następną szklaneczkę. — To prawda. . . to prawda. Nie można ich winić.

* * *

— Jeśli chodzi o Exotików. . . — zaczął Mor cicho.

— O, tak — podjął Kensie, jakby jego brat bliźniak, tak bardzo doń podobny, wcale się wcześniej nie zdenerwował. — Mara i Kultis. . . interesujące światy. Nie daj się im zwieść, jeśli kiedykolwiek tam pojedziesz. Mor. . . albo ty, Donalu. Ich mieszkańcy, choć zajęci sztuką, strojami i ozdobami, są całkiem sprytni. Sami nie walczą, ale wiedzą, jak wynająć dobrych żołnierzy. Na Marze i Kultis wiele się dzieje. . . nie tylko w sztuce. Porozmawiaj kiedyś z jednym z ich psychologów.

— Są uczciwi — dorzucił Eachan.

— To także — zgodził się Kensie. — Ale najbardziej podoba mi się, że zmierzają do celu własną drogą. Gdybym musiał wybrać inny świat, na którym miałbym się urodzić. . .

— Ja zawsze byłbym żołnierzem — przerwał mu Mor.

— Tak myślisz teraz — odparł Kensie i napił się ze szklaneczki. — Tak myślisz teraz. Ale to dzika cywilizacja, w roku pańskim 2403 rozbita na kilkanaście różnych kultur. Zaledwie pięćset lat temu przeciętny człowiek nawet nie marzył o oderwaniu się od Ziemi. A im dalej idziemy, tym szybciej idziemy. A im szybciej, tym dalej.

— Wymusza to grupa Wenus, nieprawdaż? — zapytał Donal, którego młodzieńcza powściągliwość całkiem rozwiła się w oparach whisky.

— Nie sądz tak — odpowiedział Kensie. — Nauka to tylko jedna z dróg do przyszłości. Stara Wenus, stary Mars... Cassida, Newton... może miały swój dzień. Projekt Blaine to bogaty i potężny starzec, ale nie zna wszystkich nowych sztuczek, które wymyśla się na Marze i Kultis lub u Zaprzyjaźnionych... albo na Cecie, jeśli o to chodzi. Nie omieszkajcie przyjrzeć się zawsze dwa razy każdej rzeczy, kiedy znajdziecie się wśród gwiazd, wy dwaj młodzi, ponieważ w dziewięciu przypadkach na dziesięć pierwsze spojrzenie zamąci wam w głowach.

— Posłuchajcie go, chłopcy — odezwał się Eachan u szczytu stołu. — Wasz wuj Kensie to tęga głowa. Chciałbym wam dać równie dobrą radę. Powiedz im, Kensie.

— Nic nie jest stałe — rzekł wuj i po tych kilku słowach Donelowi wydało się, że whisky uderza mu do głowy, stół i smagłe, grubo ciosane twarze odpływają w mrok jadalni, a głos Kensiego gromko huczy jakby z dużej odległości. — Wszystko się zmienia i właśnie o tym musicie pamiętać. Co było prawdą wczoraj, może nie być nią jutro. Zapamiętajcie więc to i nie bierzcie niczyich słów bez zastrzeżeń, nawet moich. Rozmnożyliśmy się jak biblijna szarańcza i rozproszyliśmy wśród gwiazd, dzieląc się na różne grupy o różnych stylach życia. I podczas gdy nadal wydajemy się pędzić naprzód, nie wiadomo dokąd, w szalonym, coraz większym tempie, mam uczucie, jak gdybyśmy wszyscy zawisli na skraju czegoś wielkiego, odmiennego i może straszego. To naprawdę czas, by posuwać się ostrożnie.

— Będę największym generałem w historii! — wykrzyknął Donal, zaskoczony, jak i pozostali, słowami, które jękając się wypowiedział zachrypniętym, ale donośnym głosem. — Zobaczą... pokażę im, kim może być Dorsaj!

Uświadomił sobie, że patrzy na niego, chociaż wszystkie twarze były zamazane, z wyjątkiem — jakimś dziwnym trafem — twarzy Kensiego na ukos po przeciwnej stronie stołu. Wuj przyglądał mu się smutnym, badawczym wzrokiem. Donal poczuł rękę ojca na ramieniu.

— Czas położyć się spać — rzekł Eachan.

— Zobaczycie... — zaczął Donal ochryple. Ale wszyscy już wstawali, podnosząc szklanki i zwracając się do jego ojca, który trzymał swoją w górze.

— Żebyśmy znowu się spotkali — powiedział. I wszyscy wypili stojąc. Resztki whisky smakowały jak woda, spływając po języku i gardle Donala... Na chwilę wszystko stało się wyraźne i zobaczył wysokich mężczyzn stojących wokół niego. Byli wysocy nawet jak na Dorsajów. Również jego brat Mor przewyższał go o pół głowy, tak że Donal wyglądał między nimi jak nedorostek. W tej samej jednak chwili serce ścisnęła mu ogromna czułość i litość dla nich, jak gdyby to on był dorosły, a oni dziećmi, które należy chronić. Otworzył usta, by przynajmniej raz w życiu powiedzieć, jak bardzo ich kocha i jak zawsze będzie się o nich troszczył... i wtedy mgła znowu się rozsunęła. Czuł jedynie, jak Mor prowadzi go, potykając się, do pokoju.

* * *

Później otworzył oczy w ciemności i zobaczył niewyraźną postać zaciągającą zasłony przed jasnym światłem podwójnego księżyca, który właśnie wzeszedł. Była to matka. Nagłym ruchem stoczył się z łóżka, chwiejnie podszedł do niej i położył dłonie na jej ramionach.

— Matko... — zaczął.

Spojrzała na niego z pobladłą twarzą, łagodną w księżycowym świetle.

— Donalu — powiedziała czule, obejmując go. — Przeziębisz się, Donalu.

— Matko... — wychrypiał. — Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała... żeby się tobą zaopiekować...

— Och, mój chłopcze — wyszeptała przyciskając go mocno do siebie — sam zatroszcz się o siebie, mój chłopcze... mój chłopcze.

Najemnik

Donal poruszył ramionami w ciasnej cywilnej marynarce i przejrzał się w lustrze w małej, podobnej do pudełka kabinie. Lustro przesłało mu obraz kogoś prawie obcego. Tak wielką różnicę spowodowały już w nim trzy krótkie tygodnie. Nie tyle on zmienił się tak bardzo, co jego stosunek do samego siebie. To nie z powodu marynarki w hiszpańskim stylu, dopasowanej bluzy, wąskich spodni wpuszczonych w długie buty, czarnych jak reszta stroju, wydał się sobie nieznajomy. Przyczyna kryła się w nim. Zmianę sposobu widzenia spowodowało obcowanie z mieszkańcami innych światów. Wobec ich stosunkowo niskiego wzrostu wydał się jeszcze wyższy, wobec ich miękkości — twardszy, a w porównaniu z ich nie wytrenowanymi ciałami jego było wyćwiczone i silne. Wyruszywszy z Dorsaj na Arktura z innymi Dorsajami, nie zauważał stopniowej zmiany. Dopiero na rozległym terminalu na Newtonie, otoczony przez hałaśliwe tłumy, zdał sobie naraz z niej sprawę. I teraz, po przesiadce i starcie na Zaprzyjaźnione, przygotowując się do pierwszego obiadu na pokładzie luksusowego liniowca, na którym prawdopodobnie nie spotka nikogo ze swojego świata, przyglądał się sobie w lustrze z uczuciem, jak gdyby nagle się postarzał.

Wyszedł z kabiny pozwalając, by drzwi cicho zasunęły się za nim, skrzył w prawo w wąski korytarz z metalowymi ścianami, wyłożony dywanem lekko zalatującym stęchlizną i kurzem. W ciszy doszedł do głównego holu, pchnął ciężkie, szczelne drzwi, które z sykiem zamknęły się za nim, i znalazł się w korytarzu następnego segmentu.

Dotarł do miejsca, gdzie przecinały się małe korytarze, prowadzące na prawo i na lewo do łazienek przedniego segmentu. . . i niemal wpadł na szczupłą, wysoką dziewczynę w niebieskiej sukni długiej do kostek, o surowym i staroświeckim kroju, stojącą na skrzyżowaniu przy fontannie. Usunęła się pośpiesznie z drogi, wciągnąwszy gwałtownie powietrze, i cofnęła w stronę damskiej łazienki. Przez chwilę, zatrzymawszy się, patrzyli na siebie.

— Proszę mi wybaczyć — odezwał się Donal, zrobił dwa kroki do przodu. . . ale pod wpływem nagłego impulsu zmienił niespodziewanie zamiar i zawrócił. — Jeśli pani pozwoli. . . — powiedział.

— O, przepraszam. — Odeszła od fontanny. Donal pochylił się i napił, a kiedy podniósł głowę, spojrzął jej prosto w twarz i uświadomił sobie, co go zatrzymało. Dziewczyna była przestraszona; i ten jej namacalny strach poruszył w nim dziwny, mroczny ocean uczuć.

Zobaczył ją teraz wyraźnie i z bliska. Była starsza, niż mu się początkowo wydawało. Miała przynajmniej dwadzieścia parę lat. Dało się w niej jednak zauważyć jakąś niedojrzałość — znak, że pełnię urody osiągnie później, nawet znacznie później niż przeciętna kobieta. Teraz nie była jeszcze piękna, jedynie przystojna. Miała jasnobrązowe włosy o kasztanowatym odcieniu, oczy szeroko rozstawione i tak czysto zielone, że powiększając się pod wpływem jego zaciekawionego spojrzenia, przyćmiły wszystkie pozostałe kolory. Nos miała delikatny i prosty, nieco szerokie usta i mocny podbródek. Całą twarz cechowały tak doskonałe proporcje, jakby była dziełem rzeźbiarza.

— Tak? — odezwała się, lekko wciągając powietrze... i zobaczył, że nagle cofa się przed nim i jego badawczym wzrokiem.

Zmarszczył brwi. Jego myśli galopowały naprzód, więc kiedy odezwał się, był już w połowie rozmowy, którą prowadził w wyobraźni.

— Opowiedz mi o tym — zażądał.

— Tobie? — zapytała. Podniosła dłoń do szyi nad i wysokim kołnierzem sukni. Potem, zanim zdążył się odezwać, opuściła rękę i jednocześnie trochę się rozluźniła. — Aha — powiedziała. — Rozumiem.

— Co rozumiesz? — spytał Donal trochę ostro, gdyż nieświadomie wpadł w ton, jakiego użyłby w ciągu tych ostatnich kilku lat wobec młodszego kadeta, gdyby odkrył, że ten znalazł się w kłopotach. — Będziesz musiała mi powiedzieć, co cię trapi, jeśli mam ci pomóc.

— Powiedzieć ci? — rozejrzała się z rozpaczą, jak gdyby oczekując, że ktoś się zaraz pojawi. — Skąd mam wiedzieć, że jesteś tym, za kogo się podajesz?

* * *

Po raz pierwszy Donal okiełznał swoje galopujące myśli, wybiegające naprzód w ocenie sytuacji, i patrząc wstecz odkrył, że mogła go źle zrozumieć.

— Nie podawałem się za nikogo — odparł. — I naprawdę nie jestem tym kimś. Po prostu przechodziłem i zobaczyłem, że coś cię niepokoi. Zaofiarowałem ci pomoc.

— Pomoc? — Jej oczy znowu rozszerzyły się, a twarz nagle pobladła. — Och, nie — wyszeptała i spróbowała go obejść. — Proszę, puść mnie. Proszę!

Nie poruszył się.

— Byłaś gotowa przyjąć pomoc od kogoś takiego jak ja, gdybym tylko sekundę temu potrafił ci udowodnić swoją tożsamość — stwierdził Donal. — Równie dobrze możesz mi opowiedzieć resztę.

Zaprzestała próby ucieczki. Zesztywniała, patrząc mu prosto w twarz.

— Nic ci nie powiedziałam.

— Tylko — ironicznie rzekł Donal — że czekasz tutaj na kogoś. Że nie znasz tego kogoś z wyglądu, ale spodziewasz się, że to będzie mężczyzna. I że nie jesteś pewna jego dobrych intencji, ale bardzo boisz się z nim minąć. — Usłyszał twarde tony w swoim głosie i zmusił się, by być uprzejmiejszym. — A także, że jesteś bardzo przestraszona i niezbyt doświadczona w tym, co robisz. Logika mogłaby zaprowadzić nas jeszcze dalej.

Dziewczyna już się jednak opanowała.

— Nie możesz zejść z drogi i przepuścić mnie? — zapytała spokojnie.

— Logika mogłaby podpowiedzieć, że jesteś wmieszana w coś nielegalnego — odparł.

Zachwiała się pod wpływem jego ostatnich słów jak pod ciosem, odwróciła się do ściany i oparła o nią.

— Kim jesteś? — zapytała zrezygowana. — Wysłali cię, żebyś mnie pojmał?

— Powiem ci — odpowiedział Donal ze śladem rozdrażnienia w głosie. — Jestem tylko przechodniem, który pomyślał, że może pomóc.

— Och, nie wierzę ci! — wykrzyknęła odwracając twarz. — Jeśli rzeczywiście jesteś nikim... jeśli nikt cię nie wysłał... puść mnie. I zapomnij, że mnie kiedykolwiek widziałeś.

— To bez sensu — stwierdził Donal. — Wyraźnie potrzebujesz pomocy. Mogę ci jej udzielić. Jestem zawodowym żołnierzem. Dorsajem.

— O! — powiedziała. Opuściło ją napięcie. Wyprostowała się i spojrzała na niego wzrokiem, w którym, jak mu się zdawało, wyczytał lekceważenie. — Jeden z tych.

— Tak — potwierdził. Po czym zmarszczył brwi. — Co Rozumiesz przez: jeden z tych?

— Jesteś najemnikiem — odpowiedziała.

— Wolę określenie „zawodowy żołnierz” — oznajmił nieco chłodno.

— Chodzi o to — odparowała — że jesteś do wynajęcia.

Poczuł narastającą złość. Skinął dziewczynie głową i odsunął się, przepuszczając ją.

— Mój błąd — stwierdził i odwrócił się, żeby odejść.

— Nie, zaczekaj minutę! — zawołała. — Teraz, kiedy wiem, kim naprawdę jesteś, nie ma powodu, żebym nie mogła cię wykorzystać.

— Oczywiście, żadnego — zgodził się Donal.

Sięgnęła do wycięcia w obcisłym stroju i wyciągnęła mały, wielokrotnie złożony kawałek zadrukowanego papieru, który wepchnęła mu do ręki.

— Zniszcz to — powiedziała. — Zapłacę ci... zwykłą stawkę, jakakolwiek jest. — Oczy rozszerzyły się jej nagle, gdy ujrzała, jak rozkłada zwitek i zaczyna czytać. — Co robisz? Nie masz prawa tego czytać! Jak śmiesz?!

Szybkim ruchem sięgnęła po papier, ale odsunął ją z roztargnieniem jedną ręką. Wzrokiem przebiegł pismo, które mu dała, i jemu z kolei rozszerzyły się oczy na widok zdjęcia dziewczyny.

— Anea Marlivana — przeczytał. — Wybranka z Kultis.

— No i co z tego, jeśli nawet nią jestem? — wybuchnęła. — Co z tego?

— Spodziewałem się jedynie — odparł Donal — że z twoimi genami wiąże się inteligencja.

Otworzyła usta.

— Co przez to rozumiesz?

— Tylko to, że jesteś jedną z najgłupszych osób, jakie zdarzyło mi się spotkać. — Włożył pismo do kieszeni. — Zajmę się tym.

— Zajmiesz się? — Jej twarz rozjaśniła się. Sekundę później wykrzywiła się w gniewie. — Nie lubię cię! — krzyknęła. — Nie lubię cię ani trochę!

Spojrzał na nią ze smutkiem.

— Polubisz — powiedział — jeśli pożyczysz wystarczająco długo.

Odwrócił się i pchnął drzwi, przez które wszedł kilka minut temu.

— Ależ zaczekaj chwilę... — dobiegł go jej głos. — Gdzie się zobaczymy, gdy już się tego pozbędziesz? Ile mam ci zapłacić...?

Puścił drzwi, które z sykiem zamknęły się za nim w odpowiedzi na jej pytanie.

* * *

Wrócił do swojej kabiny tą samą drogą, którą przyszedł. Zamknąwszy drzwi przestudiował uważnie dokument. Była to ni mniej, ni więcej tylko pięcioletnia umowa o zatrudnienie w charakterze osoby do towarzystwa Williama, księcia, przewodniczącego Rady i Głównego Przedsiębiorcy Cety, jedynej zamieszkaney planety okrążającej słońce Tau Ceti. I była to bardzo korzystna umowa, wymagająca jedynie, żeby dziewczyna towarzyszyła Williamowi, dokądkolwiek będzie życzył sobie pójść, oraz pojawiała się z nim w miejscach publicznych i na oficjalnych uroczystościach. Nie tyle jednak zaskoczyła go liberalność kontraktu — Wybrankę z Kultis można było zatrudnić do wykonywania jedynie wysoce etycznych i delikatnych obowiązków — lecz fakt, że dziewczyna prosiła go o zniszczenie dokumentu. Wystarczającym złem była kradzież umowy, zerwanie jej o wiele gorszą rzeczą — wymagającą całkowitego odszkodowania — ale zniszczenie kontraktu groziło karą śmierci, jeśli dotyczył on jakichkolwiek spraw rządowych. Dziewczyna — pomyślał — musi być szalona.

Ale — i tu wkradła się ironia — będąc Wybranką z Kultis nie mogła być szalona, podobnie jak mała nie może być słoniem. Przeciwnie, pochodząc z planety, gdzie dobór genetyczny i magia technik psychologicznych były zjawiskiem powszednim, musiała cieszyć się doskonałym zdrowiem. Fakt, że przy pierwszym

spotkaniu Donal nie dostrzegł w niej nic oprócz samobójczej głupoty, należało poddać głębszym rozważaniom. Te zaś nasuwały wniosek, że jeśli było w tym coś nienormalnego, to sama sytuacja, a nie zamieszana w nią dziewczyna.

Donal w zamyśleniu bębnił palcami po papierze. Anea najwyraźniej nie miała pojęcia, czego wymaga, kiedy tak beztrząsco poprosiła go, by zniszczył dokument. Pojedyncza kartka papieru, a nawet słowa i podpis na niej stanowiły integralną część jednej gigantycznej molekuly, nieomal niezniszczalnej, której nie można było w żaden sposób zmienić ani sfałszować, chyba że poprzez całkowite unicestwienie. Donal był zupełnie pewien, że na pokładzie statku nie ma niczego, co można by spalić, podrzeć, rozpuścić lub usunąć w jakiś inny sposób. A samo posiadanie dokumentu przez kogokolwiek oprócz Williama, prawowitego właściciela, było równoznaczne z wyrokiem.

* * *

Cichy dzwonek zadzwieczał w jego kabinie, oznajmiając, że w głównej sali jadalnej podano posiłek. Zabrzęczał jeszcze dwa razy, co oznaczało, że jest to trzeci z czterech posiłków, które urozmaicały dzień na statku. Z umową w ręce Donal obrócił się w stronę małego otworu na śmieci, prowadzącego w dół do centralnego pieca do spalania odpadków. Piec oczywiście nie mógł strawić umowy, ale istniała możliwość, że będzie tam leżała nie zauważona, dopóki statek nie dotrze do celu, a pasażerowie nie rozproszą się. Później trudno byłoby Williamowi odkryć, w jaki sposób dokument znalazł się w piecu.

Potrząsnął jednak głową i z powrotem włożył kontrakt do kieszeni. Motywy takiego działania nie były dla niego samego całkiem jasne. Znowu do głosu doszła jego odmiennosc — pomyślał. Zdaje się, że uporanie się z sytuacją, w jakiej znalazł się przez dziewczynę, nie będzie proste. W typowy dla siebie sposób już zdążył zapomnieć, że udział w całej tej sprawie zawdzięcza wyłącznie sobie.

Wyglądził marynarkę, wyszedł z kabiny i ruszył długim korytarzem do głównej jadalni. Tłumek zdążających na obiad pasażerów zatrzymał go na krótko w wąskim wejściu do sali. I w tym momencie, spoglądając nad głowami stojących przed nim osób, dostrzegł długi stół kapitański w przeciwległym końcu jadalni i siedzącą przy nim dziewczynę, Aneę Marlivanę.

Zobaczył, że pozostałe osoby przy stole to: wyjątkowo przystojny młody oficer polowy — sądząc po wyglądzie, Freilandczyk; dość niechlujny młody grubas, prawie tak potężny jak Freilandczyk, ale zupełnie nie mający wojskowej postawy — niedbale rozparty przy stole wyglądał, jakby był pijany; a także sympatycznie wyglądający mężczyzna w średnim wieku, o szpakowatych włosach. Piątą osobą przy stole był z pewnością Dorsaj — masywny starszy mężczyzna w mundurze freilandzkiego marszałka. Widok tego ostatniego pchnął Donalą do

nieoczekiwanego działania. Przedarł się przez grupkę zagrządzającą przejście i dużymi krokami podszedł wprost do wysokiego stołu. Wyciągnął rękę do dorsajskiego marszałka.

— Miło mi pana poznać, sir — powiedział. — Zamierzałem pana odszukać przed startem, ale nie miałem czasu. Mam dla pana list od mojego ojca, Eachana Khana Graeme'a. Jestem jego młodszym synem Donalem.

Niebieskie oczy Dorsaja, zimne jak woda w rzece, bacznie przyjrzały mu się spod gęstych brwi. Przez ułamek sekundy sytuacja balansowała w punkcie równowagi między dorsajską dumą i ciekawością starszego mężczyzny a bezczelnym zuchwalstwem Donala roszczącego sobie prawo do znajomości. Wreszcie marszałek wziął rękę młodzieńca w twarde uścisk.

— A więc przypomniał sobie Hendrika Galta, co? — marszałek uśmiechnął się. — Od lat nie miałem wiadomości od Eachana.

Donal poczuł lekki, zimny dreszcz podniecenia przebiegający po plecach. Oto zawarł znajomość z jednym z najważniejszych dorsajskich żołnierzy, Hendrikiem Galttem, Pierwszym Marszałkiem Sił Zbrojnych Freilandii.

— Przesyła panu swoje uszanowanie, sir — powiedział Donal — i... ale może przyniosę panu po obiedzie list i sam pan przeczyta.

— Oczywiście — odparł marszałek. — Jestem w apartamencie dziewiętnastym.

Donal wciąż stał. Nie mógł jednak w nieskończoność przeciągać sytuacji. Rzutunek nadszedł — jak spodziewał się jakąś cząstką siebie — z drugiego końca stołu.

— Może — odezwał się cichym i przyjemnym głosem mężczyzna o szpakowatych włosach — twój młody przyjaciel zjadłby z nami, zanim zabierzesz go do swojego apartamentu, Hendriku?

— Będę zaszczycony — odparł Donal skwapliwie. Odsunął stojące przed nim puste krzesło i usiadł skinąwszy kurtuazyjnie głową reszcie towarzystwa. Oczy dziewczyny napotkały jego wzrok z przeciwnego końca stołu. Były twarde i nieruchome jak szmaragdy uwięzione w kamieniu.

Najemnik II

— Anea Marlivana — przedstawił Hendrik Galt. — I dżentelmen, który zechciał pana zaprosić... William z Cety, książe i przewodniczący Rady.

— Jestem wielce zaszczycony — mruknął Donal składając ukłon.

— ...komendant i mój adiutant, Hugh Kilien... .

Donal i freilandzki komendant skinęli sobie głowami.

— ...i ArDell Montor z Newtona. — Pijany młodzieniec półleżący na swoim krześle podniósł niedbale rękę na znak powitania. Jego oczy, tak ciemne, że wydawały się prawie czarne pod jasnymi brwiami pasującymi do gęstych blond włosów, przez setną część sekundy starały się skoncentrować na Donalu, po czym znów zmętniały i zobojętniały. — ArDell — powiedział Galt bez humoru — uzyskał rekordową liczbę punktów podczas egzaminów konkursowych na Newtonie. Jego specjalność to dynamika społeczna.

— Rzeczywiście — wymamrotał Newtonczyk z czymś pomiędzy śmiechem a parsknięciem. — W istocie, tak było. Tak było, naprawdę. — Podniósł ze stołu ciężką szklankę i zanurzył usta w jej złocistej zawartości.

— ArDell... — zaczął szpakowaty William z łagodną przyganą w głosie. ArDell uniósł pijany wzrok i wbił go w starszego mężczyznę, parsknął znowu, po czym roześmiał się i podniósł szklankę do ust.

— Czy już zaciągnął się pan gdzieś, Graeme? — spytał Freilandczyk zwracając się do Donala.

— Mam próbny kontrakt z Zaprzyjaźnionymi — odpowiedział Donal. — Pomyślałem, że dokonam wyboru między sektami, kiedy już tam się znajdę i będę miał okazję rozejrzeć się za jakąś akcją.

— Prawdziwy Dorsaj z pana — stwierdził William, uśmiechając się ze swojego miejsca obok Anei w drugim końcu stołu. — Zawsze rwący się do walki.

— Jest pan zbyt uprzejmy, sir — zaprotestował Donal. — Wydaje mi się jedynie, że łatwiej uzyskać awans na polu bitwy niż w garnizonie w normalnych warunkach.

— Jest pan zbyt skromny — powiedział William.

— To prawda — wtrąciła nagle Anea. — Zbyt skromny.

William odwrócił się i spojrzał na nią drwiąco.

— Ależ Aneo — napomniął ją — nie możesz pozwalać, by twoja typowa dla Exotików pogarda dla przemocy przeradzała się w całkowicie nie usprawiedliwioną pogardę dla tego wspaniałego młodego człowieka. Jestem pewien, że Hendrik i Hugh zgodzą się ze mną.

— O, z pewnością się zgodzą — stwierdziła Anea, obrzucając spojrzeniem wspomnianych dwóch mężczyzn. — Oczywiście, że się zgodzą!

— Cóż — powiedział William ze śmiechem — musimy oczywiście wziąć pod uwagę, że jesteś Wybranką. Ja sam przyznaję, że jestem na tyle męski i nie uwarunkowany genetycznie, że podoba mi się myśl o walce. Ja... o, mamy jedzenie.

Pełne talerze zupy unosiły się nad powierzchnią stołu przed wszystkimi oprócz Donala.

— Lepiej niech pan teraz zamówi — poradził William, podczas gdy Donal naciskał znajdujący się przed nim przycisk łączności, pozostali podnieśli łyżki i zaczęli jeść.

— ...ojciec Donala był twoim kolegą szkolnym, prawda, Hendriku? — zapytał William, kiedy podawano danie rybne.

— Bliskim przyjacielem — odpowiedział marszałek sucho.

— Aha — rzekł William, ostrożnie podnosząc na widelcu porcję białego, delikatnego mięsa. — Zazdroszczę wam, Dorsajom, takich rzeczy. Wasze zawody pozwalają zachować przyjaźń i emocjonalne więzi, nie związane z pracą. W dziedzinie handlu — zrobił gest wąską, wypielęgnowaną dłonią — układ o ogólnej przyjaźni przysłania głębsze uczucia.

— Być może od tego właśnie powinien zaczynać człowiek — odparł marszałek. — Nie wszyscy Dorsajowie są żołnierzami, księżę, ani nie wszyscy Cetanie są przedsiębiorcami.

— Przyznaję — zgodził się William. Jego spojrzenie padło na Donala. — A co ty powiesz, Donalu? Czy jesteś tylko prostym najemnikiem, czy też masz inne pragnienia?

* * *

Pytanie było równie bezpośrednie, co podchwytliwe. Donal doszedł do wniosku, że szczerść przykryta warstewką sprzedajności będzie najwłaściwsza.

— Naturalnie, że chciałbym być sławny — odparł... i roześmiał się z lekkim zażenowaniem — i bogaty.

Zauważył, że cień przebiegł po twarzy Galta. Nie mógł jednak się teraz tym przejmować. Miał co innego na głowie. Później, żywił nadzieję, znajdzie okazję, by zmienić pogardliwą opinię marszałka. Na razie musi wydać się wystarczająco samolubny, by wzbudzić zainteresowanie Williama.

— Bardzo ciekawe — powiedział William miłym tonem. — W jaki sposób masz zamiar zdobyć te przyjemne rzeczy?

— Miałem nadzieję — odrzekł Donal — że nauczę się czegoś od mieszkańców innych światów, przebywając wśród nich... czegoś, co mógłbym później wykorzystać dla dobra własnego, a także innych.

— Dobry Boże, to wszystko? — zapytał Freilandczyk i zaśmiał się tak, że pozostali biesiadnicy zawtórowali mu.

William jednakże zachował powagę... chociaż Anea przyłączyła się do śmiechu komendanta i zduszonych parsknąć ArDella.

— Nie musisz być nieuprzejmy — powiedział. — Podoba mi się postawa Donala. Sam miałem kiedyś podobne poglądy... kiedy byłem młodszy. — Uśmiechnął się miło do Donala. — Musisz przyjść porozmawiać także ze mną, kiedy skończysz pogawędkę z Hendrikiem. Lubię ambitnych młodych ludzi.

ArDell znowu parsknął śmiechem. William odwrócił się i spojrzał na niego ze smutkiem.

— Powinieneś spróbować coś zjeść, ArDell — powiedział. — Za jakieś cztery godziny rozpoczniemy przejście fazowe i jeśli będziesz miał pusty żołądek...

— Mój żołądek? — wybełkotał młody człowiek. — A co by było, gdyby po przejściu fazowym mój żołądek osiągnął rozmiary kosmiczne? A co, gdybym ja osiągnął wymiary kosmiczne i był wszędzie, i nigdy nie wrócił do pierwotnego stanu? — Wyszczrzył się do Williama. — Jakie marnotrawstwo dobrego jedzenia.

Anea chorobliwie zbladła.

— Proszę mi wybaczyć... — Zerwała się pośpiesznie.

— Nie dziwię ci się! — powiedział William ostro. — ArDell, to było w niewybaczalnie złym guście. Hugh, odprowadź Aneę do kabiny.

— Nie chcę! — wybuchnęła Anea. — Jest taki, jak wy wszyscy...

Ale Freilandczyk już wstał, wyglądając w swoim wymuskany mundurze jak na plakacie rekrutacyjnym, i obszedł stół, by wziąć ją pod ramię. Odskoczyła od niego, odwróciła się i niepewnym krokiem opuściła salę, a tuż za nią podążał Hugh. Zanim po wyjściu na korytarz zniknęli z pola widzenia, Donal zauważył, że dziewczyna odwróciła się do wysokiego żołnierza i przywarła do jego opiekuńczego ramienia.

William spokojnym tonem nadal czynił wyrzuty ArDellowi, który nie odzywał się, lecz wpatrywał się weń pijanym spojrzeniem nieruchomych czarnych oczu. Do końca posiłku rozmowa — ArDell został z niej niedwuznacznie wykluczony — obracała się wokół spraw wojskowych, w szczególności strategii polowej. Donal mógł odzyskać w oczach marszałka to, co stracił w wyniku swojej wcześniejszej uwagi o sławie i bogactwie.

— Pamiętaj — przypomniał William, kiedy po posiłku rozstawali się w korytarzu przed jadalnią. — Przyjdź do mnie, kiedy skończysz wizytę u Hendrika, Donalu. Z ochotą ci pomogę, jeśli będę mógł. — I odszedł uśmiechnawszy się i skinąwszy głową.

* * *

Donal i Galt ruszyli wąskim korytarzem, zmuszeni iść jeden za drugim. Podążając za szerokimi plecami starszego mężczyzny, Donal zdziwił się, kiedy usłyszał pytanie:

— I co myślisz o nich?

— Sir? — wydukał. Z wahaniem wybrał bezpieczniejszy, według niego, temat. — Jestem trochę zaskoczony dziewczyną.

— Aneą? — spytał Galt, zatrzymując się przed drzwiami oznaczonymi numerem dziewiętnaście.

— Sądziłem, że Wybranka z Kultis będzie... — urwał, szczerze zakłopotany — bardziej... bardziej opanowana.

— Jest bardzo zdrowa, bardzo normalna, bardzo inteligentna... ale to są tylko możliwości — odparł marszałek niemal gburowato. — Czego się spodziewałeś?

Otworzył drzwi. Kiedy weszli, zamknął je energicznie i odwrócił się. W jego głosie brzmiała twardsza i bardziej oficjalna nuta.

— W porządku — zaczął ostrym tonem — a teraz co z tym listem?

Donal wziął głęboki oddech. Przez cały obiad usilnie starał się przejrzeć charakter Galta i teraz szczerze swojej odpowiedzi oparł na tym, co — jak mu się zdawało — odkrył.

— Nie ma żadnego listu, sir — powiedział. — O ile wiem, mój ojciec nigdy w życiu się z panem nie spotkał.

— Tak myślałem — stwierdził Galt. — W porządku... o co więc tutaj chodzi? — Podszedł do biurka stojącego z drugiej strony pokoju, wyjął coś z szuflady i kiedy odwrócił się, Donal ze zdumieniem zobaczył, jak napełnia tytoniem antyczną fajkę.

— To Anea, sir — odpowiedział. — Nigdy w życiu nie spotkałem kogoś tak głupiego. — I dokładnie opisał epizod w korytarzu. Galt póżsiedział na krawędzi biurka, z zapaloną fajką w ustach, i wypuszczał kłębki białego dymu, które system wentylacyjny wsysał w tej samej chwili, kiedy się formowały.

— Rozumiem — odezwał się, gdy Donal skończył. — Jestem skłonny zgodzić się z tobą. Ona jest głupia. A za jakiego szalonego idiotę ty się uważasz?

— Ja, sir? — Donal był szczerze zaskoczony.

— Właśnie ty, chłopcze — odrzekł Galt, wyjmując fajkę z ust. — Jesteś tu świeżo po szkole i wtykasz nos w sprawę, przy której zawahałby się rząd całej planety. — Wpatrywał się w Donala z niekłamanym zdziwieniem. — Co myślałeś... co sobie wyobraziłeś... do diabła, chłopcze, jak zamierzałeś się tego pozbyć?

— No, nie wiem — przyznał się Donal. — Interesowało mnie jedynie zgrabne wybrnięcie z bezsensownej i potencjalnie niebezpiecznej sytuacji. Przyznaję, że

nie miałem pojęcia, jaką rolę odgrywa w tej sprawie William. Jest najwyraźniej wcielonym diabłem.

Fajka zachwiała się w otwartych raptem ustach Galta, który musiał szybko chwycić ją grubą dłonią, by nie upadła na podłogę. Ze zdumieniem popatrzył na Donalą.

— Kto ci to powiedział? — spytał.

— Nikt — odparł Donal. — To oczywiste, nieprawdaż?

Galt odłożył fajkę na biurko i wstał.

— Nie dla dziewięćdziesięciu dziewięciu procent cywilizowanych światów — rzekł. — Dlaczego jest to dla ciebie tak oczywiste?

— Z pewnością — powiedział Donal — każdego człowieka można osądzić na podstawie charakteru i postępowania ludzi, którymi się otacza. A ten William przestaje z przegranymi i zrujnowanymi.

Marszałek zeszywniał.

— Masz na myśli mnie? — zapytał.

— Naturalnie, że nie — odpowiedział Donal. — Poza tym... jest pan Dorsajem.

Galt rozluźnił się. Uśmiechnął się raczej kwaśno, sięgnął po fajkę i ponownie zapalił.

— Twoja wiara w nasze wspólne pochodzenie jest... dość pokrzepiająca — stwierdził. — Mów dalej. Na tej podstawie oceniłeś charakter Williama, czy tak?

— O, nie tylko — odrzekł Donal. — Proszę zastanowić się nad faktem, że Wybranka z Kultis nie zgadza się z Williamem. A dobry instynkt Wybranek jest wrodzony. Wydaje się również, że książę jest niemal przerażająco błyskotliwym człowiekiem, skoro potrafi zdominować takie osobowości, jak Anea i ten typ, Montor z Newtona, który sam musi być bardzo inteligentny, skoro uzyskał tyle punktów podczas testów.

— I ktoś tak błyskotliwy musi być diabłem? — zapytał Galt oschle.

— Wcale nie — wyjaśnił Donal cierpliwie. — Ale mając takie intelektualne zdolności, człowiek musi okazywać proporcjonalnie większe skłonności do dobra lub zła niż przeciętni ludzie. Jeśli skłania się ku złu, może to w sobie maskować... może nawet ukrywać swój wpływ na otoczenie. Nie jest jednak w stanie czynić dobra, którego refleksy po prostu odbijałyby się w towarzyszących mu osobach... i którego — gdyby naprawdę był dobry — nie miałby powodu ukrywać. To właśnie sprawia, że można go przejrzeć.

Galt wyjął fajkę z ust i gwizdnął przeciągle. Popatrzył na Donalą.

— Czy przypadkiem nie zostałeś wychowany przez jednego z Exotików, co? — zapytał.

— Nie, sir — odparł Donal. — Chociaż matka mojego ojca była Maranką. I matka mojej matki również.

— Ta historia z określaniem charakteru. . . — Galt umilkł i w zamyśleniu ubijał tytoń w fajce, która już zdążyła się wypalić, grubym palcem wskazującym. — Nauczyłeś się tego od matki lub babki czy też to twój własny pomysł?

— Sądzę, że musiałem gdzieś o tym usłyszeć — odpowiedział Donal. — Ale z pewnością to jest zrozumiałe. . . każdy doszedłby do takiego wniosku, gdyby pomyślał parę minut.

— Być może większość z nas nie myśli — oświadczył Galt oschle. — Usiądź, Donalu. Ja też to zrobię.

* * *

Zajęli fotele naprzeciwko siebie. Galt odłożył fajkę.

— A teraz posłuchaj mnie — zaczął cichym i poważnym głosem. — Jesteś jednym z najdziwniejszych młodych ludzi, jakich spotkałem. Nie bardzo wiem, co z tobą zrobić. Gdybyś był moim synem, poddałbym cię kwarantannie i wysłał na co najmniej dziesięć lat do domu, żebyś dojrzał, zanim wypuściłbym cię między gwiazdy. . . Dobrze. . . — Przerwał nagle sam sobie, podnosząc rękę uciśniętym gestem, kiedy Donal otworzył usta. — Wiem, że jesteś już mężczyzną i nie mógłbym cię wysłać nigdzie wbrew twojej woli. A tak przy okazji to odnośną wrażenie, że masz może jedną szansę na tysiąc, by stać się kimś wybitnym, i dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć, że w przeciągu roku zostaniesz po cichu wyeliminowany z gry. Posłuchaj, chłopcze, co wiesz o innych światach poza Dorsaj?

— Cóż — powiedział Donal. — Istnieje czternaście rządów planetarnych, nie licząc anarchicznych struktur na Dunningu i Coby. . .

— Rządy! — przerwał mu Galt szorstko. — Zapomnij swoje lekcje wychowania obywatelskiego! Rządy w dwudziestym piątym wieku to tylko machina. Liczą się ludzie, którzy nią sterują. Projekt Blaine na Wenus; Sven Holman na Ziemi; Starszy Bright na Harmonii, na którą lecimy; bond Sayona na Kultis u Exotików.

— Generał Kamal. . . — zaczął Donal.

— Jest nikim! — krzyknął Galt ostro. — Jak może elektor z Dorsaj być kimś, gdy każdy mały kanton broni zawzięcie swojej niezależności? Nie, ja mówię o ludziach, którzy pociągają za sznurki. O tych, których już wymieniłem, i o innych. — Wziął głęboki oddech. — No i jak sądzisz, jaką pozycję w porównaniu z wymienionymi osobami zajmuje nasz magnat handlowy, książę i przewodniczący Rady?

— Chce pan powiedzieć, że jest im równy?

— Co najmniej — oświadczył Galt. — Co najmniej. Niech cię nie zwieździe fakt, że podróżuje komercyjnym statkiem tylko w towarzystwie dziewczyny i Montora. Przypadkiem jest właścicielem okrętu, załogi, oficerów. . . i połowy pasażerów.

— A pan i komendant? — Donal zadał pytanie może nazbyt bezpośrednio. Rysy twarzy Galta stwardniały; zaraz jednak złagodniały.

— Słuszne pytanie — huknął. — Próbuję wzbudzić w tobie wątpliwość co do większości rzeczy, które przyjąłeś za oczywiste. To naturalne, jak sądzę, że objąłeś nią także mnie. Nie — to odpowiedź na twoje pytanie — jestem pierwszym marszałkiem Freilandii, Dorsajem, a moje zawodowe umiejętności są do wynajęcia i nic ponadto. Pierwszy Kościół Dysydencki najął właśnie pięć naszych lekkich jednostek, więc lecę, by dopilnować realizacji kontraktu. To skomplikowana umowa — podobnie jak wszystkie — z którą wiązą się kredyty zaciągnięte od Cety. Stąd obecność Williama.

— A komendant? — naciskał Donal.

— A co ma być? — odparł Galt. — Jest Freilandczykiem, zawodowcem i do tego dobrym. Dla celów szkoleniowych obejmie na krótki okres próbny dowództwo jednego z pułków, kiedy dolecimy na Harmonię.

— Od jak dawna ma go pan przy sobie?

— Od około dwóch standardowych lat — odpowiedział Galt.

— Czy zna się na rzeczy?

— Diabelnie dobrze — odparł Galt. — A jak sądzisz, dlaczego jest moim adiutantem? A poza tym, do czego zmierzasz?

— Mam wątpliwość — powiedział Donal — i podejrzenie. — Wahał się przez chwilę. — O żadnej z nich nie mogę się jeszcze wypowiedzieć.

Galt roześmiał się.

— Zostaw to swoje marańskie odczytywanie charakterów cywilom — poradził. — Będziesz widział węża za każdym krzakiem. Uwierz mi na słowo, że Hugh jest dobrym, prawym żołnierzem. . . może trochę zbyt zwracającym na siebie uwagę, ale to wszystko.

— Nie jestem w stanie spierać się z panem — mruknął Donal ustępując. — Miał pan właśnie powiedzieć coś o Williamie, kiedy panu przerwałem.

— A tak — przypomniał sobie Galt. Zmarszczył brwi. — To wszystko razem się łączy. Powiem krótko i jasno. Dziewczyna to nie twój interes, a William to zabójcza pigułka. Zostaw ich oboje w spokoju. A jeśli mogę ci coś pomóc w wyborze służby. . .

— Dziękuję bardzo — odparł Donal. — Sądzę jednak, że William coś mi proponuje.

Galt wytrzeszczył oczy.

— Do diabła, chłopcze! — wybuchnął po chwili. — Skąd ci to przyszło do głowy?

Donal uśmiechnął się trochę smutno.

— To kolejne z moich podejrzeń — stwierdził. — Bez wątpienia oparte na moim, jak pan to nazywa, marańskim odczytywaniu charakterów. — Wstał. —

Doceniam, że mnie pan próbował ostrzec, sir. — Wyciągnął rękę. — Czy mógłbym jeszcze kiedyś z panem porozmawiać?

Galt również wstał, mechanicznie przyjmując podaną dłoń.

— Kiedy tylko zechcesz — powiedział. — Do licha, jeśli cię rozumiem.

Donal zerknął na niego, porażony nagle jakąś myślą.

— Proszę mi powiedzieć, sir — zapytał. — Czy nazwałby mnie pan... dziwnym?

— Dziwnym! — Galt niemal wybuchnął. — Dziwnym jak... — Wyobraźnia zawiodła go. — Dlaczego pytasz?

— Zastanawiałem się tylko — wyjaśnił Donal. — Często mnie tak nazywali. Może mieli rację.

Cofnął rękę z uścisku marszałka i wyszedł.

Najemnik III

Skrećiwszy na korytarzu w kierunku dziobu statku Donal pozwolił sobie na trochę smutne rozmyślanie o tym, jaką zморą jest odróżniać się od innych ludzi. Sądził, że zostawił ją już za sobą razem z mundurem kadeta. Wyglądało jednak na to, że nadal siedzi mu na plecach, nie daje spokoju. Zawsze tak było. To, co wydawało mu się proste, oczywiste i zwyczajne, innym jawiło się jako niejasne, pokrętne i zagmatwane. Zawsze był jak obcy przejeżdżający przez miasto, którego mieszkańcy żyli na swój sposób i patrzyli na niego z brakiem zrozumienia graniczącym z podejrzliwością. Ich język zawodził przy próbach wyjaśniania jego motywów i nie mógł dotrzeć do samotnego pałacu, jakim był jego umysł. Mówili „wróg” i „przyjaciół”, mówili „silny” i „słaby”, „oni” i „my”. Ustanawiali tysiące arbitralnych klasyfikacji i rozróżnień, których nie mógł zrozumieć, przekonany, że wszyscy ludzie są tylko ludźmi i nie różnią się tak bardzo między sobą. Chyba że ma się do czynienia z jednostkami — z każdą z osobna — i zawsze się pamięta, by być cierpliwym. I jeśli się to udaje, wtedy większe, grupowe działania też odnoszą sukces.

Znalazłszy się znowu przy wejściu do sali jadalnej zobaczył, tak jak przypuszczał, młodego Newtończyka, ArDella Montora, rozpartego niedbale na stołku przy jednym z końców baru, który pojawił się, gdy tylko stoły zostały podniesione i ukryte w ścianach. Resztę obecnych w sali stanowiło kilka popijających grupek, nie mających jednak nic wspólnego z Montorem. Donal podszedł prosto do niego, a Montor, nie poruszywszy się, wlepił swoje ciemne oczy w zbliżającego się Dorsaja.

— Mogę się dosiąść? — spytał Donal.

— Będę zaszczycony — odparł tamten nie tyle ochryple, co powoli, z powodu wypitego alkoholu. — Pomyślałem, że chętnie bym z tobą porozmawiał. — Palcami przebiegł po przyciskach na blacie baru. — Napijesz się?

— Dorsajskiej whisky — odpowiedział Donal.

Montor nacisnął guzik. Sekundę później wyrósł przed nim mały, przezroczysty, napełniony kieliszek. Donal wziął go i ostrożnie pociągnął łyk. W tę noc, kiedy osiągnął dojrzałość, poznał, w jaki sposób działa na niego alkohol, i podjął prywatne postanowienie, że nigdy więcej się nie upije. I nigdy tego nie zrobił,

konsekwentny w swoim dążeniu do doskonałości. Podniósł oczy znad kieliszka i przekonał się, że Newtonczyk wpatruje się w niego nienaturalnie bystrym, zagubionym i przenikliwym spojrzeniem.

— Jestem starszy od ciebie — stwierdził ArDell. — Nawet jeśli nie wyglądam na to. Jak sądzisz, ile mam lat?

Donal przyjrzał mu się dokładnie. Twarz Montora, pomimo zmarszczek, jakie pozostawił na niej hulaszczy tryb życia, była twarzą dorastającego chłopca, a wrażenie to jeszcze pogłębiała szopa nie uczesanych włosów i niedbały sposób, w jaki rozpierał się na krześle.

— Ćwierć standardowego wieku — ocenił Donal.

— Trzydzieści trzy lata absolutne — powiedział ArDell. — Do dwudziestego dziewiątego roku życia byłem uczniakiem, mnichem. Czy sądzisz, że za dużo piję?

— Myślę, że nie ma co do tego wątpliwości — odparł Donal.

— Zgadza się z tobą — powiedział ArDell z nagłym parsknięciem. — Zgadza się z tobą. Nie ma co do tego wątpliwości. . . to jedna z niewielu rzeczy na tym opuszczonym przez Boga wszechświecie, co do których nie ma wątpliwości. Ale nie o tym miałem nadzieję z tobą porozmawiać.

— A o czym? — Donal znowu pociągnął łyk ze swojego kieliszka.

— O odwadze — odpowiedział ArDell, patrząc na niego pustym, świdrującym wzrokiem. — Czy jesteś odważny?

— To niezbędna cecha żołnierza — odrzekł Donal. — Dlaczego pytasz?

— I żadnego zwątpienia? Żadnego zwątpienia? — ArDell zakręcił złocistym płynem w wysokiej szklance i napił się z niej. — Żadnego ukrywanego strachu, kiedy nadchodzi moment, że nogi uginają się pod tobą i serce wali? Nie odwracasz się wtedy i nie uciekasz?

— Oczywiście, nie odwracam się i nie uciekam — oświadczył Donal. — Poza tym jestem Dorsajem. A jeśli chodzi o to, co czuję. . . mogę jedynie powiedzieć, że nigdy nie czułem się w taki sposób, jak opisałeś. A nawet gdybym czuł. . .

* * *

Nad ich głowami rozległ się pojedynczy łagodny dzwonek.

— Przejście fazowe za jedną standardową godzinę i dwadzieścia minut — oznajmił głos. — Przejście fazowe za standardową godzinę i dwadzieścia minut. Pasażerów prosi się o przyjęcie lekarstwa i przespanie przejścia fazowego dla większej wygody.

— Połknąłeś już pigułkę? — zapytał ArDell.

— Jeszcze nie — odpowiedział Donal.

— Ale połkniesz?

— Oczywiście. — Donal przyjrzał mu się z zainteresowaniem. — Dlaczego nie?

— Czy połykanie pigułki, by uniknąć niewygody przejścia fazowego, nie wydaje ci się formą tchórzostwa? — spytał ArDell. — Co?

— To głupie — stwierdził Donal. — Podobnie jak mówienie, że tchórzostwem jest noszenie ubrań, by uniknąć zimna, lub jedzenie, by nie umrzeć z głodu. Jedno jest kwestią wygody, a drugie... — zastanowił się przez chwilę — obowiązku.

— Odwaga to wypełnianie obowiązku?

— ... Wbrew temu, co osobiście mógłbyś chcieć. Tak — potwierdził Donal.

— Tak — powtórzył ArDell w zamyśleniu. — Tak. — Odstawił pustą szklanę i nacisnął guzik. — Sądziłem, że masz odwagę — powiedział w zadumie, przyglądając się, jak szklaneczka zanurza się, napełnia i pojawia znowu.

— Jestem Dorsajem — oznajmił Donal.

— Och, oszczędź mi pochwały starannego wychowania! — zawołał ArDell ochryple, podnosząc na nowo napełnioną szklanę. Kiedy odwrócił się, Donal zauważył, że mężczyzna ma udreżoną twarz. — Odwaga to coś więcej. Gdyby to było tylko w twoich genach... — urwał nagle i pochylił się do Donala. — Posłuchaj mnie — prawie wyszeptał. — Jestem tchórzem.

— Jesteś pewien? — spytał Donal spokojnie. — Skąd wiesz?

— Jestem przerażony — wyszeptał ArDell. — Chory ze strachu przed światem. Co wiesz o matematyce dynamiki społecznej?

— To system matematycznego przewidywania, nieprawdaż? — powiedział Donal. — Moje wykształcenie nie poszło w tym kierunku.

— Nie, nie! — zawołał ArDell prawie z irytacją. — Mówię o statystyce w analizie społecznej i jej zastosowaniu w dziedzinie wzrostu populacji i rozwoju. — Jeszcze bardziej ściszył głos. — Zbliża się ona do statystyki przypadku!

— Przepraszam — usprawiedliwił się Donal. — Nic to dla mnie nie znaczy.

ArDell chwycił nagle Donala za ramię zdumiewająco silną ręką.

— Nie rozumiesz? — powiedział cicho. — Przypadek dopuszcza każdą możliwość, nawet zagładę. Ona musi nadejść, gdyż decyduje o tym przypadek. Jako że nasza statystyka społeczna zaczyna operować coraz większymi liczbami, przyjmujemy również taką możliwość. W końcu to musi nadejść. Musimy zniszczyć siebie. Nie ma wyboru. A wszystko dlatego, że wszechświat jest dla nas jak zbyt duże ubranie. Pozwala, byśmy za bardzo się rozrastali, za szybko. Osiągniemy statystycznie krytyczną masę... i wtedy — strzelił palcami — koniec!

— Cóż, to jest problem na przyszłość — skonkludował Donal. Po czym jednak, ponieważ nie mógł pozostać obojętny na odczucia tamtego, dodał łagodniej: — Dlaczego tak bardzo cię to martwi?

— Jak to, nie rozumiesz? — spytał ArDell. — Jeśli wszystko ma zniknąć, jak gdyby nigdy nie istniało, to jaki jest w tym sens? Co po nas zostanie? Nie mam na myśli rzeczy, które budujemy... one szybko niszczej. Ani wiedzy. To tylko

kopiowanie z otwartej księgi i przekładanie na nasz język. To muszą być rzeczy, których nie było na początku świata i które dopiero my do niego wnieśliśmy. Rzeczy takie, jak miłość, dobroć... i odwaga.

— Jeśli odczuwasz to w taki sposób — zapytał Donal, delikatnie uwalniając ramię z chwytu ArDella — to dlaczego tyle pijesz?

— Ponieważ jestem tchórzem — odparł ArDell. — Przez cały czas wyczuwam ten ogrom, jakim jest wszechświat. Picie pomaga mi wymazać tę straszną wiedzę, co się może z nami stać. To dlatego piję. Żeby nabrać odwagi, którą czerpię z butelki, żeby dokonywać tak drobnych rzeczy, jak przetrwanie przejścia fazowego bez lekarstwa.

— Po co? — spytał Donal, którego aż kusiło, żeby się uśmiechnąć. — Co dobrego miałyby z tego wynikać?

— W pewnym sensie stawiam temu czoło. — Ar Dell utkwiał w nim spojrzenie ciemnych, proszących oczu. — To tak, jakby mówić — w tej jednej małej sprawie — chodź, rozerwij mnie na kawałki, rozrzuć mnie po swoje najdalsze krańce. Potrafię to znieść.

Donal potrząsnął głową.

— Nie rozumiesz — stwierdził ArDell osuwając się na stołek. — Gdybym mógł pracować, nie potrzebowałbym alkoholu. Ale obecnie jestem odsunięty od pracy. Z tobą jest inaczej. Masz swoje zadanie do wykonania. I masz odwagę... prawdziwą odwagę. Pomyślałem, że może mógłbym... zresztą nieważne. Tak czy inaczej, odwagi nie można przekazać.

— Lecisz na Harmonię? — spytał Donal.

— Dokąd idzie mój książę, tam ja idę — odpowiedział ArDell i znowu parsknął śmiechem. — Powinieneś kiedyś przeczytać mój kontrakt. — Odwrócił się do baru. — Jeszcze jedna whisky?

— Nie — odmówił Donal wstając. — Jeśli mi wybaczysz...

— Zobaczmy się jeszcze — mruknął ArDell, zamawiając następnego drinka. — Odwiedzę cię.

— Dobrze — powiedział Donal. — Na razie.

— Na razie.

ArDell wziął z baru na nowo napełnioną szklaneczkę. Nad ich głowami znowu rozległ się dzwonek i głos oznajmił, że do rozpoczęcia przejścia fazowego pozostało tylko siedemdziesiąt parę minut. Donal wyszedł.

Pół godziny od powrotu do kabiny, gdzie jeszcze raz dokładniej przestudiował umowę Anei, Donal nacisnął guzik na drzwiach apartamentu Williama, księcia i przewodniczącego Rady Cety. Czekał.

— Tak? — odezwał się głos Williama nad jego głową.

— Donal Graeme, sir — powiedział Donal. — Jeśli nie jest pan zajęty...

— Ależ, oczywiście, Donalu. Wejź!

Drzwi otworzyły się przed nim na oścież i Donal wszedł.

William siedział na prostym krześle przed pulpitem, na którym leżał plik papierów i przenośne urządzenie rejestrujące. Pojedyncza lampa świeciła bezpośrednio nad pulpitem, posrebrzając siwe włosy mężczyzny. Donal zawahał się słysząc, jak drzwi zatraskują się za nim.

— Usiądź gdzieś — powiedział William, nie podnosząc wzroku znad papierów. Palcami śmignął po klawiszach sekretarki. — Mam parę rzeczy do zrobienia.

Donal rozejrzał się w mroku poza kręgiem światła, znalazł fotel i usiadł w nim. William pracował przez kilka minut, przeglądając papiery i robiąc notatki na sekretarce.

Po chwili odsunął pozostałe papiery, a uwolniony pulpit podryfował pod przeciwległą ścianę. Pojedyncza lampa zgasła, a kabinę zalało główne światło.

Donal zamrugał nagle w pełnym oświetleniu. William uśmiechnął się.

— A teraz — odezwał się — jaki masz do mnie interes?

Donal znowu zamrugał i wytrzeszczył oczy.

— Sir? — bąknął.

— Myślę, że możemy uniknąć straty czasu rezygnując z udawania — powiedział William w dalszym ciągu miłym głosem. — Wprosiłeś się do naszego stołu, bo chciałeś kogoś poznać. Nie chodziło raczej o marszałka — ze swoimi dorsajskimi manierami mógłbyś znaleźć inny sposób. Z pewnością nie szło ci też o Hugh'a, w najwyższym stopniu nieprawdopodobne, byś miał na myśli ArDella. Pozostaje Anea. Jest dość ładna i oboje jesteście na tyle młodzi, by zrobić podobne głupstwo... ale nie sądzę, biorąc pod uwagę okoliczności. — William splótł szczupłe palce i uśmiechnął się. — Pozostaje ja.

— Sir, ja... — Donal zaczął wstawać z urażoną miną.

— Nie, nie — zawołał William, gestem nakazując mu usiąść. — Głupio byłoby wyjść teraz, po zadaniu sobie tyle trudu, by się tutaj dostać, nieprawdaż? — Jego głos stał się ostrzejszy. — Siadaj!

Donal usiadł.

— Dlaczego chciałeś się ze mną zobaczyć? — spytał William.

Donal rozprostował ramiona.

— Dobrze — powiedział. — Jeśli pan chce, żebym wyjawiał to bez ogródek... Myślę, że mógłbym być dla pana użyteczny.

— Przez co — dorzucił William — mógłbyś być użyteczny dla siebie, wykorzystując niejako moją pozycję i władzę... Mów dalej.

— Tak się złożyło — powiedział Donal — że wszedłem w posiadanie czegoś, co należy do pana.

William bez słowa wyciągnął rękę. Po sekundzie wahania Donal wyjął kontrakt Anei z kieszeni i podał go. William wziął dokument, rozwinął i przebiegł wzrokiem. Potem odłożył niedbale na mały stolik obok.

— Chciała, żebym się go pozbył — oznajmił Donal. — Chciała mnie wynająć, żebym go usunął. Najwyraźniej nie wie, jak trudno zniszczyć papier, na którym spisuje się kontrakty.

— Ale podjąłeś się tego — stwierdził William.

— Niczego nie obiecałem — odparł Donal z przykrością.

— Od samego początku jednak zamierzałeś przynieść go prosto do mnie.

— Uważam — oświadczył Donal — że to pańska własność.

— O tak, oczywiście — powiedział William. Uśmiechał się chwilę do Donala. — Zdajesz sobie oczywiście sprawę — odezwał się w końcu — że nie muszę uwierzyć w żadne twoje słowo. Wystarczy, jeśli przyjmę, że ukradłeś kontrakt sam, a później bałeś się go pozbyć... i wymyśliłeś sobie tę bajeczkę, próbując mi go odsprzedać. Kapitan statku z chęcią cię zaaresztuje na jedno moje słowo i przetrzyma do procesu, kiedy dotrzemy na Harmonię.

Po plecach Donala przebiegł zimny, elektryzujący dreszcz.

— Wybranka z Kultis nie skłamię pod przysięgą — powiedział. — Ona...

— Nie widzę powodu, by mieszać w to Aneę — przerwał mu William. — Można wszystko bez kłopotu załatwić bez niej. Moje oświadczenie przeciwko twojemu.

Donal nic nie odpowiedział. William znów się uśmiechnął.

— Rozumiesz więc — rzekł — co staram ci się udowodnić. Okazałeś się nie tylko przekupny, ale i głupi.

— Sir! — wyrwało się Donalowi.

William obojętnie machnął ręką.

— Zachowaj swój dorsajski gniew dla kogoś, na kim zrobi on wrażenie. Wiem równie dobrze, jak ty, że nie masz zamiaru mnie zaatakować. Może gdybyś był innego rodzaju Dorsajem... ale nie jesteś. Jesteś, jak już powiedziałem, sprzedajny i głupi. Przyjmuj te stwierdzenia jako oczywiste fakty i przystąpmy do interesu.

Spojrzał na Donala. Ten nie odezwał się.

— A zatem bardzo dobrze — ciągnął William. — Przyszedłeś do mnie mając nadzieję, że mi się przydasz. Tak się składa, że masz rację. Anea jest, oczywiście, tylko głupią dziewczyną... ale dla jej dobra, a także mojego jako jej pracodawcy, będziemy musieli dopilnować, by nie wpadła w poważne kłopoty. Już raz ci zaufała. Może zaufać ci znowu. Jeśli tak... to nie zniechęcaj jej pod żadnym pozorem. I żeby dać ci szansę zdobycia takiego zaufania — William uśmiechnął się, tym razem całkiem wesoło — myślę, że kiedy wylądujemy na Harmonii, załatwię ci stanowisko dowódcy kompanii pod rozkazami komendanta Hugh'a Kiliena. Nie ma powodu, by kariera wojskowa nie szła w parze z innymi zadaniami, jakie mogę dla ciebie znaleźć.

— Dziękuję, sir — powiedział Donal.

— Proszę bardzo...

Z ukrytego w ścianie głośnika rozległ się dźwięk dzwonka.

— ...przejście fazowe za pięć minut.
William wziął ze stolika małe srebrne pudełeczko i otworzył je.
— Zażyłeś już lekarstwo? Proszę.
Podsunał Donalowi pigułki.
— Dziękuję, sir — powiedział Donal przezornie. — Już wziąłem.
— A zatem — William połknął tabletkę i odstawił pudełeczko — myślę, że to już wszystko.
— Też tak sędzę — potwierdził Donal.

* * *

Skinął głową i wyszedł. Za drzwiami przystanął na chwilę, by połknąć jedną z własnych tabletek, po czym ruszył w stronę swojej kabiny. Po drodze wstąpił do biblioteki, żeby sprawdzić informacje na temat Pierwszego Kościoła Dysydenckiego na Harmonii. Zajął mu to tyle czasu, że kiedy szedł jednym z długich korytarzy, rozpoczęło się przejście fazowe.

Wszystkie przejścia, które miały miejsce od momentu opuszczenia Dorsaj, przezornie przespał. Oczywiście już wiele lat temu dowiedział się, czego może oczekiwać. Ponadto zażył tabletki. Samo przejście skończyło się, zanim naprawdę się zaczęło. W rzeczywistości nie zaszło w żadnym zauważalnym przedziale czasowym. A jednak odbyło się. Jakaś niewygasła cząstka jego świadomości zarejestrowała, że rozpadł się na najdrobniejsze fragmenty swojej istoty, które rozproszyły się po całym wszechświecie, a następnie się zebrały i ponownie złożyły w jakimś punkcie odległym o całe lata świetlne od miejsca destrukcji. I właśnie ta pamięć, a nie samo przejście fazowe, sprawiła, że zachwiał się lekko, zanim podjął równy marsz do swojej kabiny. Pamięć ta miała już w nim pozostać.

Szedł dalej korytarzem, ale tego dnia czekały go jeszcze inne niemiłe wydarzenia. Kiedy dotarł do końca segmentu, zobaczył Aneę wychodzącą z prostopadłego korytarza, dokładnej kopii tego, w którym spotkał ją po raz pierwszy, znajdującego się kilka poziomów niżej. Jej zielone oczy płonęły.

— Widziałeś się z nim! — krzyknęła zagradzając mu drogę.
— Widziałem się...? Ach, z Williamem.
— Nie zaprzeczaj.
— Dlaczego miałbym zaprzeczać? — Donal popatrzył na nią prawie ze zdziwieniem. — Z pewnością nie ma z czego robić tajemnicy?
Obrzuciła go surowym spojrzeniem.
— Och! — wykrzyknęła. — Nic cię nie obchodzi, prawda? Co zrobiłeś... z tym, co ci dałam?
— Oddałem właścicielowi, oczywiście — odparł Donal. — Nic bardziej rozsądnego nie mogłem zrobić.

Zbladła nagle i już miał zamiar ją chwycić, pewien, że zaraz zemdleje, ale nie zrobiła niczego babskiego. Kiedy utkwiła w nim wzrok, oczy jej zogromniały z oburzenia.

— Och! — wyszeptała. — Ty... zdrajco. Ty oszuście!

I zanim zdołał się poruszyć lub coś powiedzieć, okręciła się i pobiegła korytarzem, z którego właśnie nadszedł.

Trochę zmartwiony — gdyż na przekór swej dość kiepskiej opinii o jej rozsądku naprawdę spodziewał się, że wysłucha jego wyjaśnień — podjął samotny spacer do kabiny. Przez resztę drogi nie spotkał nikogo. Z powodu przejścia fazowego pasażerowie nie spacerowali po statku.

Przechodząc obok jednej z kabin, usłyszał jedynie, że ktoś ma mdłości. Spojrzał w górę i rozpoznał numer na drzwiach, który zapamiętał, zanim poszedł do biblioteki.

Był to apartament ArDella Montora i w środku znajdował się on sam, wymęczony przeżytym właśnie przejściem fazowym, staczający swoją prywatną długą walkę ze wszechświatem.

Dowódca kompanii

— W porządku, panowie — powiedział Hugh Kilien.

Pewny siebie i imponujący w swoim cętkowanym mundurze polowym, stał opierając prawą ręką na łagodnie zaokrąglonej powierzchni przegładarki do map.

— Proszę stanąć tu wokół przegładarki — poprosił.

Pięciu dowódców podeszło. Cała szóstka stłoczyła się wokół urządzenia zajmującego powierzchnię jednego metra kwadratowego. Oświetlenie z przyciemnionej osłony zlało się z wewnętrznym, skierowanym w górę światłem przegładarki. Kiedy Donal popatrzył po swoich kolegach oficerach, nieodparcie przypomnieli mu ludzi zamkniętych w jakimś zakątku piekła, o którym z taką elokwencją mówił Starszy Pierwszego Kościoła Dysydenckiego zaledwie kilka godzin temu podczas mszy przed bitwą.

— ... tutaj jest nasza pozycja — mówił Hugh Kilien. — Jako dowódca zwyczajowo zapewniam was, że jest doskonała do utrzymania i że planowana akcja w żaden sposób nie narusza Kodeksu Najemników. Otóż — kontynuował z większym ożywieniem — jak widzicie, zajmujemy obszar pięć kilometrów w głąb i trzy kilometry wszerz między tymi dwoma pasmami wzgórz. Po naszej prawej stronie znajduje się Drugi Pułk Jednostki Bojowej 176, a po lewej Czwarty Pułk. Planowana akcja wymaga, aby pułki Drugi i Czwarty trzymały się twardo na naszych obu flankach, podczas gdy my ruszymy do przodu sześćdziesięcioma procentami naszych sił i zdobędziemy małe miasteczko o nazwie Faith Will Succour, które znajduje się tutaj... — położył palec wskazujący na zaokrąglonym obrazie mapy — ... około czterech kilometrów od naszej obecnej pozycji. Użyjemy trzech z naszych pięciu kompanii: Skuaka, White'a i Graeme'a. Każdy oddział dotrze do celu inną drogą. Wszyscy otrzymacie własne mapy. Pierwsze tysiąc dwieście metrów pokrywa las. Później będziecie musieli przeprowić się przez rzekę mającą około czterdziestu metrów szerokości, ale wywiad zapewnia, że obecnie jest do przebycia, a maksymalna głębokość wynosi sto dwadzieścia centymetrów. Po drugiej stronie znowu zaczynają się lasy, coraz rzadsze w miarę zbliżania się do miasteczka. Wyruszamy za dwadzieścia minut. Za godzinę będzie świt i chcę, żeby wszystkie trzy kompanie znalazły się po drugiej stronie rzeki, zanim wstanie dzień. Jakież pytania?

— Co z działalnością wroga na tym obszarze? — zapytał Skuak. Był niskim, krępy Cassidaninem o mongoloidalnym wyglądzie, ale w rzeczywistości pochodził z Eskimosów. — Jakiego oporu możemy się spodziewać?

— Wywiad twierdzi, że są tylko patrole. Możliwe, że w samym mieście stacjonuje mały oddział. I to wszystko. — Hugh powiódł wzrokiem po twarzach. — To powinno być proste. Jeszcze jakieś pytania?

— Tak — odezwał się Donal. Studiował mapę. — Jaki nieudolny wojskowy zdecydował, żeby wysłać tylko sześćdziesiąt procent sił?

Nagle atmosfera wyraźnie się ochłodziła. Donal podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Hugh'a Kiliena po drugiej stronie przeglądarki.

— Tak się złożyło — powiedział komendant, nieco zjadliwie — że to moja sugestia, Graeme. Może zapomnieliście — jestem pewien, że żaden z pozostałych dowódców nie zapomniał — ale jest to akcja pokazowa, mająca udowodnić Pierwszemu Kościołowi Dysydenckiemu, że warto nas wynająć.

— Nie tłumaczy to igrania z życiem czterystu pięćdziesięciu ludzi — odparował Donal niewzruszony.

— Graeme — powiedział Hugh — jesteście młodszym oficerem, a ja jestem waszym dowódcą. Powinniście wiedzieć, że nie muszę wam wyjaśniać taktyki. Ale żeby was uspokoić, powiem, że Wywiad nie zanotował żadnej aktywności wroga na tym obszarze.

— A jednak — nalegał Donal — po co podejmować niepotrzebne ryzyko?

Hugh westchnął z irytacją.

— Z pewnością nie muszę udzielać wam lekcji strategii — odparł zgryźliwie. — Myślę, że nadużywacie prawa — które daje wam Kodeks — do kwestionowania decyzji Sztabu. Skończmy jednak z tym. Istnieje powód, żeby użyć minimalnych sił. Nasze główne uderzenie na wroga ma iść przez ten teren. Gdybyśmy ruszyli naprzód wszystkimi siłami, wojska Zjednoczonych Ortodoksów natychmiast zaczęłyby budować umocnienia. Ale robiąc to w taki sposób, sprawimy wrażenie, że zamierzamy jedynie zająć pas ziemi niczyjej wzdłuż frontu. Kiedy tylko okrążymy miasteczko, pułki Drugi i Czwarty wzmocnią nas i będziemy w stanie przeprowadzić prawdziwy atak na równinach poniżej miasta. Czy to jest odpowiedź?

— Tylko częściowa — powiedział Donal. — Ja...

— Cierpliwości! — warknął Freilandczyk. — Mam za sobą pięć kampanii, Graeme. Nie zakładałbym pętli na własną szyję. Ale obejmę dowództwo nad kompanią White'a, a jego zostawię na tyłach. Wy, Skuak i ja wykonamy zadanie. I co, jesteście zadowoleni?

Na to oczywiście nie było odpowiedzi. Donal skinął głową z rezygnacją i odprawa zakończyła się. Wracając jednak razem ze Skuakiem do swojego oddziału Donal do tego stopnia nie był przekonany, że zadał Cassidaninowi dodatkowe pytanie.

— Czy sądzisz, że walczę z cieniami? — zapytał.

— Hm! — chrząknął Skuak. — On jest za to odpowiedzialny. Powinien wiedzieć, co robi.

I na tym się rozstali. Każdy poszedł do swoich żołnierzy.

* * *

Po powrocie do oddziału Donal przekonał się, że jego grupowi już zebrali ludzi, którzy stali pod bronią w trzech pięćdziesięcioosobowych szeregach, z młodszym i starszym grupowym na czele każdego z nich. Najwyższy stopniem grupowy, wysoki, chudy Cetańczyk, weteran o nazwisku Morphy, towarzyszył Donalowi, kiedy ten szedł wzdłuż szeregów, dokonując inspekcji.

Stanowią dobry oddział — pomyślał krocząc między rzędami. Dobrze wyszkoleni ludzie, zaprawieni w bojach, ale w żadnym razie nie elitarne jednostki, gdyż Starsi Pierwszego Kościoła Dysydenckiego wybrali ich przypadkowo. William zastrzegł sobie jedynie wybór oficerów do pokazowej jednostki bojowej. Każdy żołnierz, oprócz normalnego uzbrojenia piechoty, miał pistolet i nóż. Byli strzelcami. Broń przeciwko broni. Ale byle rzezimieszek w ciemnej uliczce wielkiego miasta miał dużo więcej nowoczesnej broni palnej. Sztuka współczesnej walki polegała jednak nie na pokonaniu wroga ilością uzbrojenia, lecz na wyborze broni, której nie mógłby unieszkodliwić. Broń chemiczną i radiacyjną można było łatwo zniszczyć na odległość. Stąd karabin z magazynkiem na pięć tysięcy rozpryskowych naboji, z małym, zajmującym niewiele miejsca niemetalowym mechanizmem, który raz za razem mógł z odległości tysiąca metrów z niezmienną dokładnością trafiać pociskami w cel wielkości człowieka.

A jednak — myślał Donal krocząc w ciemności tuż przed świtem między szeregami milczących mężczyzn — nawet karabin można w tych czasach unieszkodliwić. W końcu piechota wróci do noży i bagnatów. I wtedy jeszcze większego znaczenia nabiorą umiejętności poszczególnych żołnierzy. Nieważne bowiem, w jak fantastyczną broń o długim zasięgu jest się wyposażonym; prędzej czy później trzeba zająć teren. . . a tego mogli dokonać tylko zwykli żołnierze.

Donal zakończył inspekcję i stanął przed oddziałem.

— Spocznij — wydał rozkaz. — Zostać w szeregach. Wszyscy grupowi do mnie.

Odszedł poza zasięg słuchu żołnierzy, a dowódcy grup podążyli za nim. Kucnęli w kręgu, a Donal przekazał im rozkazy Sztabu, które otrzymał do Hugh'a, i dał każdemu z nich mapę.

— Jakies pytania? — spytał podobnie jak Hugh swoich dowódców. . .

Nie mieli żadnych. Czekali, co im jeszcze powie. On zaś rozejrzał się wolno, oceniając ludzi, na których musiał od tej pory polegać.

Miał okazję poznać ich w ciągu trzech tygodni poprzedzających dzisiejszy ranek. Sześciu mężczyzn przyjęło, podobnie jak reszta kompanii, różne postawy wobec mianowania go dowódcą. Ze stu pięćdziesięciu podległych Donalowi ludzi kilku wątpiło weń z racji jego młodego wieku i braku doświadczenia bojowego. Większość, znając reputację Dorsajów, była wyraźnie zadowolona z takiego dowódcy. Niewielu, bardzo niewielu należało do tej kategorii ludzi, którzy odruchowo stają się nieufni, gdy tylko zetkną się z kimś uznanym za lepszego od nich. Instynktowni zabójcy. Do tego typu należał starszy grupowy trzeciej grupy, były górnik z Coby nazwiskiem Lee. Nawet teraz, tuż przed akcją, kucając w kręgu patrzył w oczy Donal z cieniem wyzwania; ciemne włosy sterczały mu sztywno, a szczęki miał zaciśnięte. Tacy ludzie zwykle sprawiali kłopoty, jeśli nie obarczyło się ich żadną odpowiedzialnością. Z początku Donal chciał wyruszyć z trzecią grupą, zmienił jednak zamiar.

* * *

— Rozbijemy się na pododdziały wielkości patroli po dwudziestu pięciu ludzi — oznajmił. — W każdym będzie starszy lub młodszy grupowy. Pododdziały będą posuwały się osobno i jeśli natrafiają na wroga, będą z nim walczyły samodzielnie. Nie chcę, żeby jakiś pododdział szedł na pomoc innemu. Czy to jasne?

Skinęli głowami. Wszystko było jasne.

— Morphy — zwrócił się Donal do chudego starszego grupowego. — Chcę, żebyście poszli z pododdziałem grupy Lee, który zajmie pozycję na tyłach. Lee ze swoją połową grupy pójdzie bezpośrednio przed wami. Chassen — spojrzał na starszego dowódcę drugiej grupy — wy i Zolta zajmiecie pozycję trzecią i czwartą od końca. Chcę, żebyście byli osobiście na pozycji czwartej. Suki, jako młodszy dowódca pierwszej grupy, będziecie bezpośrednio przed Chassenem i tuż za mną. Ja poprowadzę połowę pierwszej grupy jako oddział czołowy.

— Co z porozumiewaniem się? — zapytał Lee.

— Sygnalizacja ręczna. Głos. I to wszystko. Nie chcę, żeby ktoś zbliżał się za bardzo, by ułatwić sobie porozumiewanie się. Zachować między pododdziałami odległość co najmniej dwudziestu metrów. — Donal powiódł wzrokiem po otaczających go twarzach. — Naszym zadaniem jest przedostanie się do miasteczka najprędzej, jak się da. Walczcie tylko wtedy, gdy zostanieie do tego zmuszeni, i wyrwijcie się najszybciej, jak zdołacie.

— Mówi się, że to ma być niedzielny spacer — wtrącił Lee.

— Nie działam na podstawie obozowych plotek — odparł Donal stanowczo, odszukując wzrokiem byłego górnika. — Podejmiemy wszelkie środki ostrożności. Wy, dowódcy grup, będziecie odpowiedzialni za dopilnowanie, żeby wasi ludzie zabrali pełne wyposażenie, z zestawami pierwszej pomocy włącznie.

Lee ziewnął. Nie było to oznaką zuchwalstwa... choć może...

— W porządku — powiedział Donal. — Wracajcie do swoich grup.

Narada zakończyła się.

Kilka minut później ledwie słyszalny dźwięk gwizdka pobiegł od kompanii do kompanii. Zaczęli wyruszać. Jeszcze nie świtało, ale niskie chmury nad wierzchołkami drzew już pojaśniały.

Pierwsze tysiąc dwieście metrów przez las, choć pokonali je dość ostrożnie, okazało się — jak to określił Lee — niedzielnym spacerkiem. Sytuacja zmieniła się, kiedy Donal na czele połowy pierwszej grupy dotarł do brzegu rzeki.

— Zwiadowcy, naprzód! — wydał rozkaz.

Dwóch ludzi z grupy weszło do wolno płynącej wody i trzymając karabiny w górze ruszyło przez szarą toń ku przeciwnemu brzegowi. Błysk karabinów, którymi pomachali, świadczył, że wszystko jest w porządku, więc Donal poprowadził przez rzekę resztę oddziału.

Kiedy znaleźli się po drugiej stronie, wysłał zwiadowców w trzech kierunkach — przed siebie i wzdłuż rzeki w obie strony — i zaczął czekać, dopóki Suki i jego ludzie nie pojawili się na drugim brzegu. Potem, gdy zwiadowcy wrócili nie natknąwszy się na ślad wroga, ustawił ludzi w luźnym bojowym szyku i ruszyli dalej.

Dzień wstawał szybko. Posuwali się pięćdziesięciometrowymi skokami, wysyłając naprzód zwiadowców i czekając na sygnał, że droga jest wolna, a wtedy ruszali pozostali. W czasie całego marszu nie napotkali nieprzyjaciela. Nieco ponad godzinę później, kiedy nad horyzontem pojawiła się pomarańczowa tarcza E. Eridani, Donal pod osłoną krzaków obserwował zniszczone przez bitwę miasteczko, ciche jak grób.

Czterdzieści minut później trzy kompanie Trzeciego Pułku Jednostki Bojowej 176 połączyły się i okopały wokół Faith Will Succour. Nie spotkano żadnych mieszkańców.

Nie stoczono potyczki z wrogiem.

Dowódca kompanii II

Nazwisko dowódcy kompanii mieszano z błotem.

Trzeci Pułk, a przynajmniej jego część okopana wokół miasteczka, nie próbował za bardzo tego przed Graeme'em ukrywać. Gdyby okazał, że zależy mu na opinii, jeszcze mniej by się przejmowali. Ale w jego całkowitej obojętności było coś, co hamowało ich oczywistą pogardę. Niemniej stu pięćdziesięciu ludzi, których zmusił do marszu z pełnym wyposażeniem i z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, oraz trzystu innych, których marsz był łatwiejszy i bardziej bezładny, gratulujących sobie, że nie pozostają pod rozkazami takiego dowódcy, zgadzało się w swojej — jak najgorszej — opinii o Donalu! Istnieje tylko jedna rzecz, której weterani nienawidzą bardziej od zmuszania ich do niepotrzebnego wysiłku w garnizonie. Jest nią niepotrzebny wysiłek na polu bitwy. Mówiono, że dzisiejsze zadanie będzie jak niedzielny spacer. I był to niedzielny spacer dla wszystkich oprócz tych, którzy służyli pod rozkazami dorsajskiego oficera, żółtodzioba o nazwisku Graeme. Żołnierze nie byli uszczęśliwieni.

O zmierzchu, kiedy zachodzące słońce gasło za gęstymi drzewami będącymi miejscową odmianą ziemskich iglaków, które przywieziono w celu przystosowania planety do zasiedlenia, przybył łącznik od Hugh'a z kwatery głównej znajdującej się tuż pod miasteczkiem. Znalazł Donal'a, który siedział okrakiem na zwalonym pniu, studiując mapę terenu.

— Meldunek ze Sztabu — oznajmił łącznik kucając obok pnia.

— Wstać — rozkazał Donal spokojnie. Łącznik się podniósł. — A teraz, co to za meldunek?

— Drugi i Trzeci pułk nie wyruszą aż do jutra rana — odpowiedział łącznik nadąsany.

— Meldunek przyjęty — powiedział Donal, odprawiając go machnięciem ręki. Łącznik odwrócił się i pośpiesznie odszedł, by zrelacjonować kolegom w kwaterze głównej kolejny przykład zachowania nowego oficera.

Pozostawiony sam sobie, Donal zabrał się znowu do studiowania mapy. Kiedy już zrobiło się zupełnie ciemno, odłożył kartę i wyjął mały czarny gwizdek, żeby wezwać najstarszego stopniem grupowego.

Chwilę później chuda postać zarysowała się na tle ledwo już widocznego nad wierzchołkami drzew nieba.

— Morphy, sir. Melduję się — dobiegł głos starszego grupowego.

— Tak... — powiedział Donal. — Warty rozstawione, Morphy?

— Tak, sir. — Ton głosu Morphy'ego był całkowicie obojętny.

— Dobrze. Chcę, żeby byli czujni przez cały czas. A teraz, Morphy...

— Tak, sir?

— Kto w kompanii ma dobry węch?

— Węch, sir?

Donal czekał.

— Cóż, sir — odpowiedział wreszcie Morphy wolno. Jest Lee. Praktycznie wychował się w kopalniach, gdzie trzeba mieć dobry węch. To kopalnie na Coby, sir.

— Przypuszczałem, że właśnie te kopalnie macie na myśli — odparł Donal sucho. — Proszę przywołać Lee.

Morphy wyjął gwizdek i wezwał starszego grupowego trzeciej grupy. Czekali.

— Jest gdzieś w obozie, prawda? — spytał Donal po chwili. — Chcę, żeby wszyscy ludzie oprócz wartowników znajdowali się w zasięgu gwizdka.

— Tak jest, sir — odpowiedział Morphy. — Będzie za chwilę. Wie, że to ja. Każdy trochę inaczej gwizdże i po jakimś czasie rozpoznaje się gwizdki jak głosy, sir.

— Grupowy — powiedział Donal. — Byłbym zobowiązany, gdybyście nie odczuwali potrzeby mówienia mi rzeczy, które już wiem.

— Tak jest, sir — odrzekł Morphy i umilkł.

Kolejny cień wyłonił się z ciemności.

— Co jest, Morphy? — rozległ się głos Lee.

— Chciałem się z wami zobaczyć — odezwał się Donal, zanim starszy grupowy zdążył coś odpowiedzieć. — Morphy mówi, że macie dobry węch.

— Całkiem dobry — odpowiedział Lee.

— Sir!

— Całkiem dobry, sir.

— W porządku — powiedział Donal. — Obaj rzućcie okiem na mapę. Popatrzcie uważnie. Poświecę wam. — Zapalił mały płomynek, osłaniając go dłonią. Ukazała się mapa rozłożona na pniu. — Spójrzcie tutaj — pokazał Donal. — Trzy kilometry stąd. Czy wiecie, co to jest?

— Mała dolina — stwierdził Morphy. — To poza linią naszych posterunków.

— Pójdziemy tam — oznajmił Donal. Zgasił płomyk i podniósł się z pnia.

— My? My, sir? — dobiegł go głos Lee.

— My trzej — odparł Donal. — Idziemy. — I pewnym krokiem ruszył przed siebie w ciemność.

Idąc przez las, z zadowoleniem przekonał się, że obaj dowódcy grup poruszają się w ciemnościach prawie tak pewnie jak on. Szli wolno i ostrożnie przez ponad kilometr. Następnie poczuli, że teren zaczyna się wznosić.

— W porządku. Padnij — powiedział Donal cicho. Trzej mężczyźni położyli się na brzuchu i zaczęli sprawnie, bezszelestnie czołgać się w górę po zboczu. Zajęło im to dobre pół godziny. Wreszcie dotarli do krawędzi pasma wzgórz i leżąc obok siebie spojrzeli z góry na ukrytą dolinkę. Donal złapał Lee za ramię, a kiedy tamten w mroku odwrócił ku niemu twarz, dotknął swojego nosa, wskazując w dół na dolinę i naśladując węszenie. Lee znów spojrzął na dolinę i przez kilka minut trwał w jednej pozycji, pozornie nic nie robiąc. Wreszcie odwrócił się i skinął głową. Donal dał znak powrotu w dół zbocza.

Dwaj grupowi nie odzywali się nie pytani aż do linii własnych posterunków. Gdy dotarli tam bezpiecznie, Donal zwrócił się do Lee.

— A więc... — powiedział. — Co wyczuliście?

Lee zawahał się. Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiała nuta zakłopotania.

— Nie wiem, sir — odpowiedział. — Coś... jakby kwaśnego. Ledwo to wyczułem.

— To wszystko, co możecie powiedzieć? — naciskał Donal. — Coś kwaśnego?

— Nie wiem, sir — odparł Lee. — Mam bardzo dobry nos, naprawdę. — Do jego głosu wkradła się wojownicza nuta. — Mam cholernie dobry nos. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie wahałem. Pamiętałbym.

— Czy którykolwiek z waszych ludzi był już kiedyś na tej planecie?

— Nie — odpowiedział Lee.

— Nie, sir — powiedział Morphy.

— Rozumiem — mruknął Donal. Dotarli do tego samego pnia, skąd wyruszyli niecałe trzy godziny wcześniej. — Cóż, to wszystko. Możecie odejść.

Usiadł znowu na pniu. Dwaj grupowi wahali się przez chwilę. Potem oddalili się razem.

Kiedy Donal został sam, ponownie przyjrzał się mapie. Przez jakiś czas siedział rozmyślając. Następnie wstał i odszukawszy Morphy'ego powiedział mu, żeby przejął dowództwo nad kompanią i nie kładł się spać; on sam wybiera się do kwatery głównej. Zaraz potem odszedł.

Kwaterna główna mieściła się w ciemnej kopule. Nie było w niej nic poza przeglądarką do map, śpiącym dyżurnym i Skuakiem.

— Jest komendant? — zapytał Donal, kiedy wszedł.

— Śpi od trzech godzin — odpowiedział Skuak. — Co ty tu robisz? Mnie by tu nie było, gdybym nie miał służby.

— Gdzie śpi?

— W krzakach około dziesięciu metrów stąd w lewo — powiedział Skuak. — O co chodzi? Nie zamierzasz go chyba budzić?

— Może jeszcze nie śpi — odparł Donal i wyszedł. Po opuszczeniu kopuły i niewielkiego terenu kwatery głównej Donal skradając się jak kot ruszył w kierunku, który wskazał mu Skuak. Między dwoma drzewami wisiał wojskowy hamak i rysowała się na nim jakaś postać. Kiedy jednak Donal podszedł bliżej i położył rękę na ramieniu śpiącego, poczuł jedynie miękki materiał zwiniętej kurtki munduru polowego.

Wypuścił gwałtownie powietrze i rozejrzał się. Potem wrócił tą samą drogą, którą przyszedł, mijając kopułę. Kiedy zbliżał się do miasteczka, zatrzymał go wartownik.

— Przykro mi — powiedział żołnierz. — Rozkaz komendanta. Nikt nie może wejść do miasteczka. Nawet on sam. Pułapki.

— Ach, tak... dziękuję, wartowniku — odparł Donal. Odwrócił się i odszedł w ciemność.

Kiedy tylko znalazł się poza zasięgiem wzroku wartownika, zawrócił w stronę miasteczka omijając linię posterunków. Mały, ale bardzo jasny księżyc, który mieszkańcy Harmonii nazywali Okiem Pana, właśnie wschodził, a jego światło tworzyło między murami zabudowań na przemian srebrne i czarne ścieżki. Przemykając od jednej ciemnej plamy do drugiej, zaczął cierpliwie przeszukiwać dom po domu, budynek po budynku.

Było to żmudne i męczące zajęcie, jako że musiał je wykonywać w całkowitej ciszy. A do tego księżyc świecił wysoko na niebie. Dopiero cztery godziny później znalazł to, czego szukał.

* * *

Pośrodku oświetlonego światłem księżycowym, pozbawionego dachu szkiele-
tu małego budynku stał Hugh Kilien, wysoki i groźny w cętkowanym mundurze
polowym. A obok — niemal w jego ramionach — stała Anea, Wybranka z Kul-
tis. Za nimi, rozmazana pod wpływem działania polaryzatora, unosiła się latająca
mała platforma, dzięki której niewątpliwie dziewczyna dostała się tutaj nie za-
uważona.

— ...kochana — mówił Hugh ściszym głosem, ledwo docierającym do
uszu Donała ukrytego w cieniu zwałonego muru. — Kochanie, musisz mi zaufać.
Razem możemy go powstrzymać, ale pozwól mi się tym zająć. Jego władza jest
ogromna...

— Wiem, wiem! — przerwała mu gwałtownie, omal nie załamując rąk. —
Ale każdy dzień czekania sprawia, że staje się to coraz bardziej niebezpieczne
dla ciebie, Hugh. Biedny Hugh... — delikatnie dotknęła dłonią jego policzka —
w co ja ciebie wplątałam.

— Wplątałaś? — Hugh roześmiał się cicho, z pewnością siebie. — Wiedziałem, co robisz. — Wyciągnął do niej ramiona. — Dla ciebie... Wyśliznęła mu się jednak.

— Teraz nie pora na to — powiedziała. — Tak czy inaczej, nie dla mnie to robisz, lecz dla Kultis. Nie wykorzystaj mnie — wyrzuciła z siebie z zawziętością — żeby opanować mój świat!

— Oczywiście, że to dla Kultis — zgodził się Hugh. — Ale Kultis to ty, Aneo. Jesteś wszystkim, co kocham w Exotikach. Ale czy nie rozumiesz, że musimy opierać się jedynie na twoich podejrzeniach? Sądzisz, że on knuje przeciwko Sayonie. Nie wystarczy to jednak, by polecieć na Kultis z ostrzeżeniem.

— Ale co mam zrobić?! — krzyknęła. — Nie mogę użyć przeciwko niemu jego własnych metod. Nie mogę kłamać, oszukiwać ani nasyłać na niego agentów, gdy on nadal ma mój kontrakt. Ja... ja po prostu nie mogę. Oto, co oznacza być Wybranką! — Zaciśnęła pięści. — Jestem w pułapce własnego umysłu, własnego ciała. — Odwróciła się do niego raptownie. — Kiedy pierwszy raz rozmawiałam z tobą dwa miesiące temu, powiedziałeś, że masz dowód!

— Myliłem się — powiedział Hugh uspokajającym tonem. — Coś słyszałem... tak czy inaczej, myliłem się. Ja również mam swój własny system wartości, Aneo. Może nie ogranicza mnie, jak ciebie, psychologiczna blokada. — Wyprostował się, bardzo wojowniczy w świetle księżyca. — Wiem jednak, co jest uczciwe i słuszne.

— Och, wiem. Wiem, Hugh... — Cała była skruchą. — Ale jestem zdesperowana. Nie wiesz...

— Gdyby tylko wykonał jakiś ruch przeciwko tobie...

— Przeciwko mnie? — zeszywniała. — Nie ośmieliłby się. Wybranka z Kultis... a poza tym — dodała ze sporą dawką rozsądku, o który Donal jej dotąd nie podejrzewał — to byłoby głupie. Nic by nie zyskał. A Kultis stałaby się czujna wobec niego.

— Nie wiem. — Hugh miał nachmurzoną minę. — Jest mężczyzną takim jak inni. Gdybym myślał...

— Och, Hugh! — Zachichotała nagle jak uczennica. — Nie bądź śmieszny!

— Śmieszny! — W jego tonie pobrzmiwały zranione uczucia.

— Ależ... nie miałam tego na myśli. Hugh, przestań zachowywać się jak słoń, którego właśnie osa użądliła w trąbę. To nie ma sensu. On jest zbyt inteligentny, żeby... — Znowu zachichotała, ale zaraz spoważniała. — Nie, musisz martwić się tym, co jest w jego głowie, a nie w sercu.

— Czy martwisz się o moje serce? — zapytał cichym głosem.

Wbiła wzrok w ziemię.

— Hugh... lubię cię — odpowiedziała. — Ale ty nie rozumiesz. Wybranka to symbol.

— Jeśli masz na myśli, że nie możesz...

— Nie, nie, nie to... — Szybko podniosła wzrok. — Nie mam blokady przeciwko miłości, Hugh. Ale gdybym się w coś zaangażowała... coś małego i nędznego, wystarczyłoby to tym na Kultis, dla których Wybranka coś znaczy... Czy rozumiesz?

— Rozumiem, że jestem żołnierzem — odparł. — I nigdy nie wiem, czy będzie jakieś jutro.

— Wiem — powiedziała. — I posyłają cię, żebyś robił różne rzeczy, niebezpieczne rzeczy.

— Moja droga, mała Aneo — powiedział czule. — Jak niewiele rozumiesz, co to znaczy być żołnierzem. Zgłosiłem się na ochotnika do tej pracy.

— Na ochotnika? — wytrzeszczyła oczy.

— Żeby szukać niebezpieczeństw... żeby szukać okazji sprawdzenia samego siebie! — wyznał gwałtownie. — Żeby stać się sławnym, tak by gwiazdy uwierzyły, że jestem mężczyzną, jakiego mogłaby zechcieć Wybranka z Kultis!

— Och, Hugh! — krzyknęła z entuzjazmem w głosie. — Gdybym tylko potrafiła! Gdyby tylko coś uczyniło cię sławnym! Wtedy naprawdę mógłbyś z nim walczyć!

Hugh zawahał się i popatrzył na nią jak ogłuszony, i takim wyrazem twarzy, że Donal omal nie zachichotał w mroku.

— Czy musisz zawsze mówić o polityce?! — krzyknął.

* * *

Donal jednak już odwrócił się od nich. Nie było sensu dłużej tam stać. Cicho oddalił się poza zasięg słuchu, później ruszył szybko, nie martwiąc się hałasem. Poszukując Hugh'a przeszedł całe miasteczko, tak że znalazł się teraz blisko obozu własnej kompanii. Krótka noc północnego kontynentu Harmonii już zaczynała blednąć. Skierował się w stronę swoich ludzi, ogarnięty jednym ze swoich dziwnych przeczuć.

— Stój! — krzyknął wartownik, kiedy Donal wyszedł spomiędzy domów. — Stój i podaj... sir!

— Chodź ze mną! — rozkazał Donal. — Gdzie jest obóz trzeciej grupy?

— Tędy, sir — odpowiedział żołnierz i poprowadził Donal'a, starając się nadać za jego długimi susami.

Wpadli do obozu trzeciej grupy. Donal przyłożył gwizdek do ust i wezwał Lee.

— Co...? — wymamrotał senny głos z odległości kilku metrów. Hamak założył się i wyrzucił kościstą postać byłego górnika. — Co, do diabła... sir!

Donal podszedł dużymi krokami i obiema rękami obrócił go, ustawiając twarzą w stronę terytorium wroga, od którego wiał już poranny wietrzyk.

— Wąchaj! — rozkazał.

Lee zamrugał oczami, potarł nos sęką dłonią i stłumił ziewnięcie. Wziął kilka głębokich oddechów, rozszerzając nozdrza... i nagle całkowicie otrząsnął się ze snu.

— To samo, sir — powiedział do Donala. — Tyle że silniej.

— W porządku! — Donal odwrócił się do wartownika. — Zanieś rozkaz do dowódców pierwszej i drugiej grupy. Niech każą swoim ludziom wejść na drzewa, wysoko na drzewa, i sami niech też wejdą.

— Na drzewa, sir?

— Ruszaj się! Chcę, żeby za dziesięć minut wszyscy żołnierze tej kompanii znaleźli się dwanaście metrów nad ziemią... z bronią! — Wartownik odwrócił się, żeby odejść. — Jeśli będziesz miał jeszcze czas po zanieśieniu; meldunku, spróbuj dotrzeć z nim do kwatery głównej. Jeśli stwierdzisz, że nie zdążysz, wejdź na drzewo. Zrozumiałeś?

— Tak jest, sir!

— Więc ruszaj!

Donal zaczął teraz ściągać śpiących żołnierzy trzeciej grupy z hamaków i kazał im się wspinać na wysokie drzewa. Nie zabrało to dziesięciu minut. W niespełna dwadzieścia wszyscy znaleźli się nad ziemią. Dorsajscy chłopcy dokoniliby tego w czasie o jedną czwartą krótszym, i to wyrwani z głębokiego młodzieńczego snu. Ale ostatecznie — pomyślał Donal wdrapując się w końcu sam na drzewo — zdążyli na czas, a tylko to się liczyło.

Nie zatrzymał się jak inni na wysokości dwunastu metrów. Odruchowo, kiedy wyganiał żołnierzy z hamaków wypatrzył najwyższe drzewo w okolicy. I teraz wdrapywał się dalej, dopóki nie ujrzał wierzchołków niższych drzew. Oślonił oczy przed wschodzącym słońcem, spoglądając między drzewami w kierunku terytorium wroga.

— I co teraz mamy robić? — do wysokiej grzędy dowódcy doleciał z dołu pokrzywdzony głos. Donal odjął dłoń od oczu i pochylił głowę.

— Starszy grupowy Lee — powiedział cichym, lecz donośnym głosem. — Zastrzelisz następnego, który otworzy usta nie zapytany przez ciebie lub przeze mnie. To bezpośredni rozkaz.

Podniósł z powrotem głowę i w ciszy, która nastąpiła, spojrzął ponad drzewami.

Tajemnicą obserwacji jest cierpliwość. Nic nie dostrzegł, ale dalej siedział i rozglądał się, nie patrząc na nic w szczególności. Po czterech długich minutach w nagrodę zarejestrował wzrokiem drobny ruch. Nie usiłował wysledzić go ponownie, lecz nadal obserwował ten sam teren. I wreszcie zauważył ludzi przeskakujących od ukrycia do ukrycia, jeden po drugim, jak postacie z filmu wyłaniające się z dalekiego planu. Duża grupa zbliżała się do obozu.

Nachylił się w dół przez gałęzie.

— Nie strzelać, dopóki nie zagwizdę — powiedział jeszcze cichszym głosem niż poprzednio. — Przekażcie dalej... tylko cicho.

Usłyszał jakby szum wiatru wśród gałęzi: jego rozkaz przesłano aż do ostatniego żołnierza trzeciej grupy i — miał nadzieję — również do grupy drugiej i pierwszej.

Figurki w strojach maskujących posuwały się. Zerkając na nie przez osłonę liści i konarów, Donal dostrzegł małe czarne krzyże wyszyte na prawych rękawach wszystkich mundurów polowych. To nie byli najemnicy, lecz miejscowe elitarne oddziały Zjednoczonego Kościoła Ortodoksyjnego, wspaniali żołnierze i zarazem fanatycy. W chwili gdy ich rozpoznał, nadchodzący rzucili się w czerwonoszarym świetle poranka do ataku na obóz, wrzeszcząc na całe gardło i wydając okrzyki bojowe, do których po sekundzie dołączył wysoki świst pocisków karabinowych, rozrywających powietrze, drzewa i ciała.

Nie dotarli jeszcze do drzew, na których ukrywał się oddział Donala. Ale jego ludzie byli najemnikami i mieli przyjaciół w obozie atakowanym przez żołnierzy Ortodoksów. Trzymał ich, dopóki tylko mógł, i jeszcze kilka sekund dłużej. Potem, przyłożywszy gwizdek do ust, dmuchnął z całej siły, aż odpadł ustnik i echo rozbrzmiało od jednego końca obozu do drugiego.

* * *

Jego ludzie, rozwścieczeni, otworzyli ogień z drzew. Przez kilka chwil na ziemi panowało dzikie zamieszanie. Niełatwo od razu stwierdzić, z jakiego kierunku strzela karabin rozpryskowy. Przez może pięć minut atakujący mieli złudzenie, że koszące ich karabiny ukryte są w jakiejś zasadzce na ziemi. Sami bezlitośnie zabijali wszystko, co mogli dostrzec na poziomie własnego wzroku, i zanim odkryli pomyłkę, było już za późno. Na ich malejących szeregach skoncentrował się ogień ze stu pięćdziesięciu karabinów. I chociaż celność tylko jednego z nich odpowiadała dorsajskim standardom, pozostałe również spełniały swoje zadanie. W niecałe czterdzieści minut od momentu, kiedy Donal zapędził wyrwanych ze snu ludzi na drzewa, bitwa była zakończona.

Trzecia grupa opuściła się z drzew, a jeden z pierwszych, którzy znaleźli się na dole — żołnierz o nazwisku Kennebuc — spokojnie wymierzył i przestrzelił szyję Ortodoksowi wijącemu się na ziemi.

— Dość tego! — krzyknął Donal ostro i wyraźnie.

Jego głos poniósł się po całym obozie. Najemnicy nienawidzą bezsensownego zabijania; ich zadaniem jest wygrywanie bitew, a nie wyrzynanie ludzi. Nie oddano już więcej żadnego strzału. Fakt ten świadczył o wyraźnej zmianie postawy kompanii wobec nowego oficera o nazwisku Graeme.

Donal rozkazał zebrać rannych obu stron i opatrywać tych z poważnymi ranami. Oddział atakujących został wybity prawie do ostatniego człowieka. Straty były

jednak nie tylko po jednej stronie. Z ponad trzystu ludzi, którzy znajdowali się na ziemi w momencie ataku, ocalało zaledwie czterdziestu trzech, w tym dowódca kompanii, Skuak.

— Przygotować się do odwrotu — rozkazał Donal... i w tym momencie żołnierz stojący twarzą do niego przesunął spojrzenie na coś, co znajdowało się za Donalem. Dowódca obejrzał się. Ze zniszczonego miasteczka nadbiegał ciężkim krokiem komendant Kilien z karabinem w garści.

Ci jego żołnierze, którzy przeżyli, w milczeniu i bezruchu patrzyli, jak ku nim pędzi. Pod ich spojrzeniami zawahał się. Potoczył wokół wzrokiem i zatrzymał go na Donalu. Zwolnił i dużymi krokami podszedł do młodszego oficera.

— I co, Graeme! — warknął. — Co się stało?

Donal nie odpowiedział mu bezpośrednio. Podniósł rękę, wskazał na Hughę i odezwał się do dwóch najemników stojących obok.

— Żołnierze — powiedział. — Aresztujcie tego człowieka. Zostanie oskarżony z artykułu czwartego Kodeksu Najemników i natychmiast osądzony.

Weteran

Bezpośrednio po przybyciu do miasta, z anulowanym kontraktem w kieszeni, i po umyciu się w hotelowym pokoju Donal zszedł dwie kondygnacje w dół, żeby złożyć wizytę marszałkowi Hendrikowi Galtowi. Zastał go u siebie, załatwił z nim parę spraw, po czym opuścił go, by udać się do innego hotelu w drugim końcu miasta.

Wbrew sobie czuł słabość w kolanach, kiedy przy drzwiach wejściowych zgłaszał swoje przybycie. Tę słabość wybaczyłyby mu większość ludzi. Williamowi, księciu Cety, niewiele osób odważyłoby się stawić czoło. A Donal, pomimo niedawnych przeżyć, był nadal młodym, bardzo młodym człowiekiem. Jednakże wpuszczono go do środka i Graeme, przybierając najspokojniejszy wyraz twarzy, dużymi krokami wszedł do apartamentu.

Podobnie jak podczas ich ostatniego spotkania William pracował przy biurku. Nie była to poza, o czym mogło zaświadczyć wielu ludzi z różnych światów. Rzadko kto załatwiał tyle spraw w ciągu jednego dnia co książę. Donal podszedł i skinął głową na powitanie. William podniósł na niego wzrok.

— Jestem zdumiony, że cię widzę — powiedział.

— Doprawdy, sir? — odparł Donal.

William przyglądał mu się w milczeniu może przez pół minuty.

— Nieczęsto robię błędy — odezwał się. — Może pocieszę się myślą, że zwykle okazują się równie wielkie jak moje sukcesy. Jaką nieludzką zbroję nosisz, młody człowieku, że ośmielasz się znowu mi zaufać?

— Być może zbroję opinii publicznej — odrzekł Donal. — Ostatnio byłem na widoku. Jestem teraz znany.

— Tak — przyznał William. — Znam ten rodzaj zbroi z własnego doświadczenia.

— I dlatego — dodał Donal — posłał pan po mnie.

— Tak. — I wtedy niespodziewanie twarz Williama zmieniła się, przybierając wyraz takiej wściekłości, jakiej Donal nigdy przedtem nie widział. — Jak śmiałeś?! — warknął starszy mężczyzna ze złością. — Jak śmiałeś?!

— Sir — powiedział Donal z kamienną twarzą. — Nie miałem innego wyjścia.

— Nie miałeś wyjścia! Przychodzisz do mnie i masz czelność mówić — nie miałem wyjścia?!

— Tak, sir — odparł Donal.

William podniósł się szybkim, zwinnym ruchem. Pełnym godności krokiem obszedł biurko, stanął twarzą w twarz z Donalem i wbił świdrujące spojrzenie w oczy wysokiego młodego Dorsaja.

— Zatrudniłem cię, żebyś słuchał moich rozkazów, nic więcej! — stwierdził lodowato. — A ty... wielki bohater... zniweczyłeś wszystko.

— Sir?

— Tak... sir. Ty kretynie z lasów! Imbecylny! Kto ci kazał zadzierać z Hugh Kiliem? Kto ci kazał podejmować jakieś kroki przeciwko niemu?

— Sir — powiedział Donal. — Nie miałem wyboru.

— Nie miałeś wyboru? Jak to... nie miałeś wyboru?

— Mój oddział był oddziałem najemników — odparł Donal nieporuszony. — Komendant Kilien złożył przysięgę zgodnie z Kodeksem Najemników. Nie tylko jej nie dotrzymał, ale opuścił swój oddział w czasie bitwy i na terytorium wroga. Pośrednio jest odpowiedzialny za śmierć ponad połowy swoich ludzi. Jako najwyższy stopniem z obecnych wtedy oficerów nie miałem innego wyjścia, jak aresztować go i zatrzymać do procesu.

— Doraźnego?

— Tak mówi Kodeks — odparł Donal. Zamilkł na chwilę. — Żałuję, że trzeba go było rozstrzelać. Sąd wojenny nie pozostawił mi innego wyjścia.

— Znowu! — krzyknął William. — Brak innego wyjścia! Graeme, przestrzeń międzygwiazdna nie jest dla ludzi, którzy nie potrafią znaleźć wyjścia!

Odwrócił się raptownie, obszedł biurko i usiadł za nim.

— W porządku — powiedział chłodno i już całkiem spokojnie — wynoś się stąd. — Donal ruszył w stronę drzwi, a William wziął z biurka jakiś papier. — Zostaw swój adres robotowi przy drzwiach wyjściowych — polecił. — Znajdę dla ciebie jakieś stanowisko na innej planecie.

— Żałuję, sir... — zaczął Donal.

William podniósł wzrok.

— Nie przyszło mi do głowy, że będzie mnie pan jeszcze potrzebował. Marszałek Galt znalazł już dla mnie zajęcie.

William przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Jego oczy były zimne jak u bazyliuszka.

— Rozumiem — powiedział w końcu wolno. — Cóż, Graeme, może będziemy mieli jeszcze ze sobą do czynienia w przyszłości.

— Mam nadzieję — odparł Donal i wyszedł. Wydawało mu się jednak, że nadal czuje na sobie wzrok Williama przewiercający się na wylot przez zamknięte drzwi.

Miał jeszcze jedną rozmowę do przeprowadzenia przed opuszczeniem tej planety. Na korytarzu sprawdził adres i ruszył schodami w dół.

* * *

Robot zaprosił go do środka. ArDell Montor, jak zwykle gruby i niechlujny, ze wzrokiem tylko lekko zamglonym od alkoholu, przywitał go w połowie drogi od drzwi.

— Nie ma mowy! — zawołał, kiedy Donal wyjaśnił mu, po co przyszedł. — Nie będzie się chciała z tobą widzieć. — Przygarbił potężne plecy, gdy patrzył na Donalę. Na sekundę jego spojrzenie stało się trzeźwe. W oczach pojawiło się coś smutnego i dobrego, ale zaraz zostało zastąpione gorzką ironią. — Ale staremu lisowi nie spodoba się to. Zapytam ją.

— Powiedz jej, że to dotyczy czegoś, co powinna wiedzieć — poprosił Donal.

— Zrobię to. Zaczekaj tutaj. ArDell wyszedł.

Wrócił po jakichś piętnastu minutach.

— Możesz wejść na górę — oznajmił. — Apartament tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt. — Donal skierował się w stronę drzwi. — Nie przypuszczam — powiedział Newtonczyk niemal ze smutkiem — żebym cię jeszcze kiedyś zobaczył.

— Dlaczego, może się spotkamy? — odpowiedział Donal.

— Tak — powiedział ArDell. Popatrzył na Dorsaja badawczo. — Być może. Być może.

* * *

Donal wyszedł i udał się do wskazanego apartamentu. Robot wpuścił go. Anea czekała, szczupła i sztywna w jednej ze swych długich niebieskich sukni z wysokim kołnierzem.

— A więc? — odezwała się.

Donal przyjrzał się jej prawie ze smutkiem.

— Ty mnie szczerze nienawidzisz, prawda? — zapytał.

— Zabiłeś go! — wybuchnęła.

— Oczywiście. — Mimo woli poczuł irytację, którą dziewczyna zawsze potrafiła w nim wzbudzić. — Musiałem... dla twojego własnego dobra.

— Dla mojego dobra!

— Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął mały przyrząd, który, o dziwo, nie zaświecił się. W apartamencie nie było podłuchu! Oczywiście, stale zapominam, kim ona jest — pomyślał zaraz.

— Posłuchaj mnie — powiedział. — Poprzez selekcję genetyczną i wychowanie zostałaś wspaniale przygotowana do tego, by zostać Wybranką... ale do niczego więcej. Dlaczego nie możesz zrozumieć, że międzygwiazdne intrygi to nie zajęcie dla ciebie?

— Międzygwiazdne... o czym ty mówisz?

— Och, spuść na chwilę z tonu — powiedział ze znużeniem... i bardziej młodzieńczo, niż zdarzyło mu się, odkąd opuścił dom. — William jest twoim wrogiem. Tyle rozumiesz. Ale nie rozumiesz, dlaczego ani w jaki sposób, chociaż wiesz, że tak jest. Ja również tego nie rozumiem — przyznał się — chociaż mam pewne wyobrażenie. Żeby jednak pokrzyżować mu plany, nie możesz walczyć jego bronią. Musisz zastosować własne reguły gry. Bądź Wybranką z Kultis. Jako Wybranka jesteś nietykalna.

— Jeśli — odezwała się — nie masz nic więcej do powiedzenia... .

— W porządku. — Zrobił krok w jej stronę. — Posłuchaj więc. William próbował cię skompromitować. Jego narzędziem był Kilien... .

— Jak śmiesz?! — krzyknęła gniewnie.

— Jak śmiem? — powtórzył ze zmęczeniem. — Czy jest w tej międzygwiazdnej społeczności szaleńców ktoś, kto nie zna tego zwrotu i nie używa go na mój widok? Śmiem, ponieważ to prawda.

— Hugh — zawołała — był wspaniałym, uczciwym człowiekiem! Żołnierzem i dżentelmenem. A nie... .

— Najemnikiem? — podpowiedział. — Ale był nim.

— Był zawodowym oficerem — odparła gniewnie. — A to różnica.

— Nie ma żadnej różnicy. — Potrząsnął głową. — Ale nie zrozumiałabyś tego. „Najemnik” to wcale nie tak haniebne określenie, jak ci wmówiono. Mniejsza z tym. Hugh'a Kiliena można nazwać znacznie gorszym słowem niż mnie. Był głupcem.

— Och! — odwróciła się.

Złapał ją za łokieć i przyciągnął do siebie. Na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie. Nie przypuszczała, że jest tak silny. I teraz, wstrząśnięta swą fizyczną bezradnością, popadła w niezwykle dla siebie milczenie.

— Posłuchaj więc prawdy — powiedział. — William nęcił tobą Kiliena jak kosztownym podarunkiem. Natchnął go głupią nadzieją, że może mieć... . ciebie. Wybrankę z Kultis. Umożliwił ci odwiedzenie Hugh'a tej nocy w Faith Will Succor... . tak — dodał, gdy zaparło jej dech. — Wiem o tym. Widziałem was. Zadbał o to, by Hugh się z tobą spotkał, podobnie jak zadbał, by żołnierze Ortodoksów zaatakowali.

— Nie wierzę w to... . — opanowała się.

— Nie bądź głupia — rzucił Donal szorstko. — Jak myślisz, w jaki inny sposób przeważające, doborowe siły Ortodoksów mogłyby ruszyć na nasz obóz o odpowiedniej porze? Na jakich innych ludziach prócz fanatycznych żołnierzy Orto-

doksów można było polegać, że nie zostawią przy życiu nikogo z naszej jednostki? Prawdopodobnie tylko jeden człowiek miał wyjść z tego cało... Hugh Kilien, który byłby wtedy w stanie zrobić na tobie wrażenie jako bohater. Widzisz, ile jest warta twoja dobra opinia?

— Hugh nigdy...

— Hugh był głupcem — przerwał jej Donal. — Głupcem, ale dobrym żołnierzem. William niczego więcej nie potrzebował. Wiedział, że Hugh będzie na tyle głupi, żeby się z tobą spotkać, i na tyle dobrym żołnierzem, by niepotrzebnie nie poświęcać życia, kiedy zobaczy, że jego ludzie zginęli. Jak powiedziałem, wróciłby sam... jako bohater.

— Ale ty go przejrzałeś! — rzekła sucho. — Jaki jest twój sekret? Podkop do obozu Ortodoksów?

— Wynikało w oczywisty sposób z sytuacji — jednostka pozostawiona samej sobie, komendant na schadzce miłosnej — że atak jest nieunikniony. Zadałem sobie pytanie, jakie wojska zostaną użyte i jak można je wysledzić. Żołnierze Ortodoksów jedzą wyłącznie miejscowe zioła, gotowane na miejscową modłę. Zapach tych potraw przesiąka ich ubrania. Każdy weteran kampanii na Harmonii wykryłby ich obecność w taki sam sposób.

— Gdyby miał wystarczająco czuły węch. Gdyby wiedział, gdzie ich szukać...

— Logicznie rzecz biorąc, było tylko jedno miejsce...

— Tak czy inaczej — przerwała mu chłodno — to nie ma nic do rzeczy. Chodzi o to — nagle uniosła się gniewem — że Hugh był niewinny. Sam to powiedziałeś. Był, nawet przyznając ci rację, tylko głupcem! A ty go zamordowałeś!

Westchnął ze znużeniem.

— Zbrodnia — powiedział — za którą został skazany komendant Kilien, polegała na tym, że źle poprowadził swoich ludzi i opuścił ich na terytorium wroga. Właśnie za to zapłacił życiem.

— Morderca! — zawołała. — Wynoś się!

— Przecież — powiedział zbity z tropu — dopiero co wyjaśniłem.

— Niczego nie wyjaśniłeś — odparła z rezerwą. — Usłyszałam jedynie stek kłamstw, kłamstw i jeszcze raz kłamstw, o człowieku, któremu nie jesteś godzien czyścić butów. A teraz wyjdiesz sam, czy mam zawołać straż hotelową?

— Nie wierzysz...? — Wytrzeszczył na nią oczy.

— Wynoś się. — Odwróciła się do niego plecami.

Jak nieprzytomny ruszył na oślep do drzwi i odrętwiały wyszedł na korytarz. Idąc potrząsał głową jak człowiek pogrążony w koszmarnym śnie, z którego nie może się obudzić.

Jakie przekleństwo na nim spoczywało? Dziewczyna nie kłamała... nie była w stanie robić tego przekonywająco. Wysłuchała jego wyjaśnień i... nic one dla

niej nie znaczyły. Wszystko było tak oczywiste, tak proste — machinacje Williama, głupota Kiliena. A ona nic nie dostrzegała, chociaż Donal jej to wykazał. Ona, spośród wszystkich ludzi właśnie ona, Wybranka z Kultis!

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Dręczony zwątpieniem i samotnością, Donal wracał do hotelu Galta.

Adiutant

Spotkali się w gabinecie marszałka w jego freilandzkim domu. Ogromna powierzchnia podłogi i wysoko zawieszony sufit sprawiały, że trzech mężczyźni stojący wokół pustego biurka wydawali się drobni.

— Kapitanie Llundrow, to mój adiutant, komendant Donal Graeme — Galt szorstko dokonał prezentacji. — Donalu, oto Russ Llundrow, dowódca mojego Niebieskiego Patrołu.

— Jestem zaszczycony, sir — powiedział Donal i skinął głową.

— Miło mi pana poznać, Graeme — odpowiedział Llundrow. Był dość niskim, krępy męczyzną po czterdziestce, o bardzo ciemnej cerze i oczach.

— Przekażesz Donalowi wszelkie informacje sztabowe — powiedział Galt. — A co mówi Wywiad?

— Nie ma wątpliwości, że planują ekspedycję na Oriente. — Llundrow odwrócił się do biurka i nacisnął guziki na pulpicie. Błat stał się przezroczysty i ujrzeli mapę systemu Syriusza. — Jesteśmy tutaj — powiedział wskazując palcem Freilandię. — Tu jest Nowa Ziemia — jego palec przesunął się na siostrzaną planetę Freilandii — a tu Oriente — pokazał mniejszą planetę leżącą bliżej Słońca — w położeniach, w jakich znajdują się względem siebie za dwanaście dni od tej chwili. Jak widzicie, Słońce będzie między dwoma naszymi światami, a także między nami a Oriente. Nie mogliby wybrać korzystniejszego taktycznie położenia.

Galt chrząknął studiując mapę. Donal patrzył na Llundrowa z ciekawością. Akcent zdradzał go jako mieszkańca Nowej Ziemi, ale przecież zajmował wysokie stanowisko w sztabie armii freilandzkiej. Oczywiście dwa światy Syriusza były naturalnymi sprzymierzeńcami, stojąc po stronie Starej Ziemi przeciwko koalicji Mars-Wenus-Newton-Cassida. Leżąc jednak tak blisko siebie, rywalizowały w wielu dziedzinach, zawodowy oficer więc zwykle działał dla dobra rodzimej planety.

— Nie podoba mi się — stwierdził wreszcie Galt. — Z tego, co widzę, to głupi pomysł. Ludzie, którzy tam wylądują, będą musieli nosić respiratory. I co, do diabła, spodziewają się zdziałać zakładając przyczółek? Oriente leży zbyt blisko Słońca, by przystosować ją do życia ziemskiego, inaczej zrobilibyśmy to już dawno temu.

— Możliwe — powiedział Llundrow spokojnie — że zamierzają zorganizować stamtąd ofensywę przeciwko naszym dwóm planetom.

— Nie, nie — głos Galta był chrapliwy i podszyty irytacją. Grubo ciosaną twarz pochylał nad mapą. — To równie dziki pomysł jak zasiedlenie Oriente. Nie byłiby w stanie utrzymać tam bazy, którą mogliby wykorzystać do zaatakowania dwóch dużych planet, gęsto zaludnionych i uprzemysłowionych. Poza tym nie podbija się cywilizowanych światów. Taka jest zasada.

— A jednak czasem łamie się zasady — wtrącił Donal.

— Co? — zapytał Galt podnosząc wzrok. — A... Donal. Nie przerywaj nam teraz. Odnoszę wrażenie — mówił dalej do Llundrowa — że to tylko ostre ćwiczenia... wiesz, co mam na myśli.

Llundrow skinął głową... Zrobił to nieświadomie także Donal. Ostre ćwiczenia to coś, do czego nie przyznałby się żaden szef sztabu, ale co znał każdy wojskowy. Były to prawdziwe małe bitwy ze znajdującym się pod ręką wrogiem, prowokowane w celu nadania ostatecznych szlifów szkolonym oddziałom lub utrzymania w formie wojsk zbyt długo stacjonujących w jednym miejscu bez walki. Galt, niemal jedyny spośród dowódców planetarnych swoich czasów, zdecydowanie sprzeciwiał się podobnym akcjom. Uważał, że uczciwiej jest wynająć oddziały — jak ostatnio na Harmonii — kiedy zaczynają tracić energię. Donal prywatnie zgadzał się z nim, chociaż zawsze istniało niebezpieczeństwo, że wynajęte wojska stracą poczucie swojej przynależności, a czasami zmarnują się pod złym dowództwem.

— Co o tym sądzisz? — zapytał Galt swojego dowódcę Patrolu.

— Nie wiem, sir — odpowiedział Llundrow. — Wydaje się, że to jedyna sensowna interpretacja.

— Dobrze jest — przerwał znowu Donal — wziąć pod uwagę również bezsensowne interpretacje, by stwierdzić, czy któraś z nich nie stanowi potencjalnego zagrożenia. I...

— Donalu — wtrącił Galt sucho — jesteś moim adiutantem, a nie oficerem operacyjnym.

— A jednak... — upierał się Donal, lecz marszałek uciszył go wyraźnym rozkazem.

— Wystarczy!

— Tak jest, sir — powiedział Donal z rezygnacją.

— A zatem — Galt zwrócił się do Llundrowa — uznamy to za zesłaną z nieba okazję do odcięcia rąk połączonej flocie i wojskom lądowym Newtona i Cassidy. Wracaj do swojego Patrolu. Przyślij rozkazy.

Llundrow uklonił się i już miał odwrócić się i odejść, kiedy rozległ się cichy syk rozsuwających się dużych drzwi gabinetu i stuk damskich obcasów na wypolerowanej podłodze. Obejrzel się i zobaczyli wysoką, uderzająco piękną kobietę o rudych włosach, która szła przez pokój w ich stronę.

— Elvine! — zawołał Crau.

— Nie przeszkadzam, prawda? — zapytała, zanim jeszcze podeszła do nich. — Nie wiedziałam, że masz gości.

— Russ — powiedział Galt. — Znasz córkę mojej siostry, Elvine Rhy? Elvine, to dowódca mojego Niebieskiego Patrolu, Russ Lłudrow.

— Jestem wielce zaszczycony. — Lłudrow ukłonił się.

— Spotkaliśmy się już. . . a przynajmniej widzieliśmy się wcześniej. — Podała mu rękę, po czym zwróciła się do Donala. — Donalu, chodź ze mną na ryby.

— Przykro mi — odparł Donal. — Jestem na służbie.

— Nie, nie — Galt odprawił go gestem dużej dłoni. — To wszystko na razie. Biegnij, jeśli chcesz.

— Jestem więc do twoich usług — powiedział Donal.

— Cóż za chłodne przyjęcie! — Odwróciła się do Lłudrowa. — Jestem pewna, że dowódca Patrolu nie wahałby się w taki sposób.

Lłudrow ponownie się ukłonił.

— Nigdy bym się nie wahał, jeśli chodzi o kogoś z rodu Rhy.

— Otóż to! — powiedziała. — To wzór dla ciebie, Donalu. Powinieneś poćwiczyć dobre maniery i taki sposób mówienia.

— Jeśli tak uważasz — odparł Donal.

— Och, Donalu. — Potrząsnęła głową. — Jesteś beznadziejny. Ale chodź, tak czy owak. — Odwróciła się i wyszła, a Donal podążył za nią.

* * *

Przeszli przez ogromny główny hol i znaleźli się na ogrodowym tarasie nad niebieskozieloną zatoką płytkiego, śródlądowego morza, które podchodziło pod dom Galt. Donal spodziewał się, że dziewczyna pójdzie w dół do doku, tymczasem jednak zatrzymała się w altance i stanęła przed nim twarzą w twarz.

— Dlaczego mnie tak traktujesz? — spytała. — Dlaczego?

— Jak cię traktuję? — Spojrzał na nią w dół.

— Och, ty człowieku z drewna! — Odstłoniły się jej piękne zęby. — Czego się boisz. . . że ciebie zjem?

— Nie zjadłabyś? — zapytał ją całkiem poważnie, a ona zawahała się po jego słowach.

— Chodź. Idziemy na ryby! — krzyknęła, okręciła się i pobiegła w dół w stronę doku.

Udali się więc na połów. Jednak nawet w pościgu za rybami, przecinając wodę na głębokości trzydziestu metrów, Donal był myślami gdzie indziej. Pozwalał, by małe urządzenie odrzutowe umieszczone na plecach popychało go zgodnie z wymogami pościgu, a pod osłoną hełmu potępił się za własną ignorancję — gdyż właśnie do niej czuł wstręt większy niż do czegokolwiek innego. W tym

wypadku jego ignorancja dotyczyła kobiecej duszy — uwierzył bowiem, że może sobie pozwolić na luksus zwykłej, przyjacielskiej znajomości z dziewczyną, która bardzo go pragnie, a której on nie pragnie wcale.

Mieszkała tutaj, w tym domu, kiedy Galt sprowadził Donalą jako osobistego adiutanta. Na mocy zawiłych freilandskich praw dziedziczenia znajdowała się pod prawną opieką marszałka, pomimo że żyła jeszcze matka dziewczyny oraz kilku innych członków rodziny. Była jakieś pięć lat starsza od Donalą, chociaż różnica ta ginęła w jej dzikiej energii i gwałtowności uczuć. Początkowo ekscytacje Elvine wydały mu się interesujące, a towarzystwo stanowiło balsam — chociaż nie przyznałby się do tego przed samym sobą — dla zranionej ostatnio, bardzo delikatnej części jego jaźni.

— Wiesz — powiedziała mu w jednym ze swoich szczególnych napadów szczerości — każdy by mnie chciał.

— Każdy by chciał — przyznał podziwiając jej urodę. Dopiero później skonsternowany odkrył, że przyjął zaproszenie, którego istnienia nawet nie podejrzewał.

Od czterech miesięcy mieszkał w posiadłości marszałka, studiując zasady kierowania Sztabem, a także — ku swojemu rosnącemu przerażeniu — zawiłości kobiecego umysłu. W dodatku głowił się, dlaczego nie pragnie dziewczyny. Z pewnością lubił Elvine Rhy. Jej towarzystwo było miłe, atrakcyjność niezaprzeczalna, a pewne cechy, jak żywość usposobienia i głód wrażeń, przypominały jego własne. Mimo to nie pragnął jej. Ani trochę.

Po kilku godzinach zrezygnowali z połowów. Elvine złapała cztery ryby, około siedmiu, ośmiu kilogramów każda. On nie złowił żadnej.

— Elvine. . . — zaczął, wchodząc za nią po stopniach tarasu. Ale zanim zdołał dokończyć starannie przemyślaną mowę, cicho zabręczał sygnalizator ukryty w krzaku róży.

— Komendancie — odezwał się krzak łagodnie — starszy grupowy Tage Lee chce się widzieć z panem. Czy życzy pan sobie zobaczyć się z nim?

— Lee. . . — mruknął Donal. Podniósł głos. — Z Harmonii?

— Mówi, że jest z Harmonii — odpowiedział krzak róży.

— Zobaczę się z nim — zdecydował Donal, sadząc dużymi krokami w stronę domu.

Usłyszał za sobą odgłos biegnących stóp i Elvine chwyciła go za ramię.

— Donalu. . . — zaczęła.

— To zajmie chwilę — odpowiedział. — Spotkamy się w bibliotece za parę minut.

— Dobrze. . . — puściła go i zwolniła kroku.

Donal wszedł do domu.

* * *

Lee, ten sam Lee, który dowodził jego trzecią grupą, czekał na niego.

— No i co, grupowy — spytał Donal, wymieniając z nim uścisk dłoni — co cię tutaj sprowadza?

— Pan, sir — odparł Lee. Spojrzał Donalowi w oczy jakby z wyzwaniem, podobnie jak przy pierwszym spotkaniu. — Nie potrzebuje pan ordynansa?

Donal przyjrzał mu się.

— Po co?

— Jeździłem ze swoim kontraktem, odkąd nas wszystkich rozpuścili po tej historii z Kiliem — powiedział Lee. — Jeśli chce pan wiedzieć, hulałem. To mój krzyż. W cywilu jestem alkoholikiem. W mundurze jakoś się trzymam, ale wcześniej czy później popadam w tarapaty. Zwlekałem z zaciągnięciem, bo nie mogłem się zdecydować, czego chcę. W końcu dotarło do mnie, że chcę pracować dla pana.

— Wyglądasz teraz na całkiem trzeźwego — stwierdził Donal.

— Przez kilka dni mogę wszystko... nawet przestać pić. Gdybym przyszedł tutaj z dygotką, nigdy by mnie pan nie wziął.

Donal skinął twierdząco głową.

— Nie jestem drogi — powiedział Lee. — Niech pan spojrzy na mój kontrakt. Jeśli może pan sobie na mnie pozwolić, zaciągnę się jako żołnierz liniowy, a pan załatwi, żeby mnie przydzielili do pana. Nie piję, kiedy mam coś do roboty. I mogę być użyteczny. Niech pan spojrzy...

Wyciągnął rękę przyjacielskim gestem, jak gdyby chciał wymienić uścisk dłoni — i nagle znalazł się w niej nóż.

— To sztuczka najemnych morderców z zaułków — rzekł Donal. — Czy myślisz, że uda ci się ze mną?

— Z panem... nie. — Lee schował nóż. — Właśnie dlatego chcę pracować dla pana. Jestem dziwnym facetem, komendancie. Potrzebuję jakiegoś zaczepienia. Tak jak zwykli ludzie potrzebują jedzenia, picia, domu, przyjaciół. To wszystko jest w opinii psychologów w kontrakcie, jeśli chce pan kopię, żeby mnie sprawdzić.

— Wierzę ci na słowo, na razie — odparł Donal. — Co ci jest?

— Jestem prawie psychopata — odpowiedział Lee. — Urodziłem się z pewnym brakiem. Mówią mi, że nie mam poczucia dobra i zła i nie mogę się kierować abstrakcyjnymi zasadami. Tak stwierdzili lekarze, kiedy dostałem pierwszy kontrakt. Przez cały czas muszę mieć swojego własnego, osobistego, żywego boga. Każe mi pan poderznąć gardła wszystkim dzieciom poniżej piątego roku życia, jakie spotkam, świetnie! Każe mi pan poderznąć sobie gardło, zrobię to. Wszystko zrobię.

— Nie starasz się przedstawić z najlepszej strony.

— Mówię panu prawdę. Nie mogę powiedzieć nic innego. Przez całe życie jestem jak bagnet szukający karabinu, do którego będzie pasował. I teraz znalazłem. Więc niech mi pan nie ufa. Niech mnie pan weźmie na próbę na pięć, dziesięć lat... na resztę mojego życia. Niech mnie pan jednak nie wyrzuca. — Lee zrobił półobrót i wskazał kościstym palcem na drzwi za sobą. — Tam jest dla mnie piekło, komendancie. Wszystko tu w środku jest niebem.

— Nie wiem — powiedział Donal wolno. — Nie wiem, czy chcę wziąć na siebie odpowiedzialność.

— Żadnej odpowiedzialności. — Oczy Lee błyszczały. I nagle Donal zdał sobie sprawę, że mężczyzna jest przerażony; boi się odrzucenia. — Niech mi pan tylko powie. Niech mnie pan teraz wypróbuje. Niech mi pan każe uklęknąć i szczekać jak pies. Niech mi pan każe odciąć sobie lewą dłoń. Jak tylko wyhodują mi nową, wrócę, żeby zrobić wszystko, czego pan zażąda. — W jego dłoni z powrotem znalazł się nóż. — Chce pan zobaczyć?

— Odłóż to! — warknął Donal. Nóż zniknął. — W porządku, osobiście wykupię twój kontrakt. Mój apartament to trzecie drzwi na prawo u szczytu schodów. Idź tam i zaczekaj na mnie.

Lee skinął głową. Nie podziękował. Odwrócił się jedynie i wyszedł. Donal zadrżał w duchu, jak gdyby emocjonalne napięcie ostatnich paru minut legło mu na plecach fizycznym ciężarem. Odwrócił się i poszedł do biblioteki.

* * *

Elvine już tam stała, patrząc przez wielką oszkloną ścianę na ocean. Odwróciła się szybko na odgłos kroków i podeszła do niego.

— Kto to był? — zapytała.

— Jeden z moich żołnierzy z Harmonii — powiedział. — Zatrudniłem go jako swego ordynansa. — Spojrzał na nią. — Ev...

Natychmiast odsunęła się od niego. Spojrzała na ocean i opuściła rękę, żeby pobawić się srebrną statuetką, która stała na niskim stoliku obok.

— Tak? — powiedziała.

Donal stwierdził, że trudno mu wydobyć z siebie słowa.

— Ev, wiesz, że jestem tutaj już długo — zaczął.

— Długo? — Odwróciła do niego twarz, na której malowało się lekkie zaskoczenie. — Cztery miesiące? Wydaje się, że zaledwie parę godzin.

— Może — powiedział z uporem. — Ale minęło już dużo czasu. Więc chyba dobrze będzie, jak wyjadę.

— Wyjedziesz? — Otworzyła szeroko oczy, piwne oczy wpatrzone w niego. — Kto powiedział, że masz wyjechać?

— Muszę oczywiście — odparł. — Ale pomyślałem, że powinienem wyjaśnić coś przed wyjazdem. Bardzo cię polubiłem, Ev...

Była jednak dla niego za szybka.

— Polubiłeś?! — krzyknęła. — Tak sędzę! Patrzcie, nie miałam ani chwili dla siebie, bo zabawiałam cię. Przysięgam, że nigdzie indziej nie bywałam. Polubiłeś mnie! Z pewnością powinieneś mnie polubić po tym, jak dałam ci z siebie wszystko!

Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej rozzłoszczonej twarzy, a potem uśmiechnął się smutno.

— Masz całkowitą rację — przyznał. — Sprawilem ci mnóstwo kłopotu. Wybacz mi, że byłem zbyt tępy, by to zauważyć. — Pochylił głowę. — Pójdę już.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia. Ledwo jednak zdążył zrobić kilka kroków przez zalaną słońcem bibliotekę, kiedy zawołała go.

— Donalu!

Obejrzał się i zobaczył, że spogląda za nim z zawziętą twarzą i zaciśniętymi pięściami.

— Donalu, ty... nie możesz odejść — powiedziała spięta.

— Słucham? — Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Nie możesz odejść — powtórzyła. — Tutaj pełnisz służbę. Tutaj zostałeś przydzielony.

— Nie. — Potrząsnął głową. — Nie rozumiesz, Ev. Wynikła ta sprawa z Oriente. Mam zamiar poprosić marszałka, żeby przydzielił mnie na jeden ze statków.

— Nie możesz. — Głos jej się łamał. — Nie ma go tutaj. Poszedł do portu kosmicznego.

— Dobrze, więc pójdę tam i poproszę go.

— Nie możesz. Już go prosiłam, żeby cię tutaj zostawił. Obiecał.

— Co zrobiłaś? — Słowa wyrwały się z jego ust, a ton bardziej pasował do pola bitwy niż do tej cichej rezydencji.

— Poprosiłam go, żeby cię tutaj zostawił.

Odwrócił się i odszedł dumnym krokiem.

— Donalu! — Usłyszał, jak krzyczy za nim zrozpaczonym głosem, ale nic nie mogła zrobić — ani nikt w tym domu — żeby go powstrzymać.

Znalazł Galta badającego nowy eksperymentalny model dwuosobowego statku przeznaczonego do niszczenia żywych celów. Starszy mężczyzna spojrział zaskoczony, kiedy Donal wszedł.

— O co chodzi? — zapytał.

— Czy mógłbym z panem pomówić chwilę na osobności, sir? — poprosił Donal. — To osobista i pilna sprawa.

Galt przeszył go spojrzeniem, ale przyzwalająco skinął głową i obaj schronili się w zaciszu kabiny sterowniczej.

— O co chodzi? — zapytał marszałek.

— Sir — powiedział Donal. — Wiem, że Elvine poprosiła pana, żebym pełnił służbę w pańskim domu w czasie tej akcji, o której rozmawialiśmy dzisiaj z dowódcą Patrolu, Llundrowem.

— To prawda. Prosiła.

— Nie wiedziałem o tym — oświadczył Donal, patrząc w oczy starszemu mężczyźnie. — To nie było moje życzenie.

— Nie twoje życzenie?

— Nie, sir.

— Aha — mruknął Galt. Wziął głęboki oddech i potarł brodę szeroką dłonią. Odwrócił głowę w bok i spojrzał przez ekran kabiny na eksperymentalny statek. — Rozumiem — powiedział. — Nie zdawałem sobie sprawy.

— I wcale pan nie musiał. — Donal poczuł nagłe wzruszenie na widok wyrazu twarzy marszałka. — Powinienem wcześniej z panem porozmawiać, sir.

— Nie, nie. — Galt machnięciem ręki zbył sprawę. — Odpowiedzialność, spoczywa na mnie. Nigdy nie miałem dzieci. Brak mi doświadczenia. Pewnego dnia ona musi się ustatkować. I... cóż, mam o tobie dobre zdanie, Donalu.

— Był już pan dla mnie zbyt łaskawy, sir — zaprotestował Donal przygnębiony.

— Nie, nie... cóż, pomyłki się zdarzają. Dopilnuję oczywiście, żebyś znalazł się bezzwłocznie w oddziałach bojowych.

— Dziękuję — powiedział Donal.

— Nie dziękuj mi, chłopcze. — Galt wydał się nagle znacznie starszy. — Powinienem być pamiętać. Jesteś Dorsajem.

Łącznik Sztabowy

— Witaj na pokładzie — powiedział młodszy kapitan o sympatycznej twarzy, kiedy Donal przeszedł przez gazową barierę wewnętrznej śluzy. Kapitan miał niewiele ponad dwadzieścia lat, czarne włosy, kwadratową twarz i atletyczną sylwetkę. — Jestem kapitan Allmin Clay Andresen.

— Donal Graeme. — Zasalutowali sobie nawzajem, po czym uścisnęli dłonie.

— Masz jakieś doświadczenie w lataniu? — spytał Andresen.

— Osiemnaście miesięcy letnich rejsów szkoleniowych na Dorsaj — odpowiedział Donal. — Dowodzenie i uzbrojenie. . . żadnych technicznych stanowisk.

— Dowodzenia i uzbrojenia — powiedział Andresen — jest dosyć na statku klasy 4J. Szczególnie dowodzenia. Będiesz starszym oficerem po mnie. . . jeśli coś się stanie. — Wykonał mały rytualny gest, dotykając białej ściany ze sztucznego tworzywa. — Nie sugeruję, że przejmiesz w takim wypadku dowództwo. Mój pierwszy oficer potrafi poradzić sobie ze wszystkim. Ale może będziesz mógł mu pomóc, gdyby coś się wydarzyło.

— Będę zaszczycony — odparł Donal.

— Chcesz rozejrzeć się po statku?

— Nie mogę się doczekać.

— Dobrze. Chodźmy więc do sali klubowej.

Andresen poprowadził go przez mały salon, następnie przez rozsuwaną przegrodę na korytarz, który zakręcał w prawo i w lewo. Przeszli przez kolejne drzwi oraz mały korytarzyk i znaleźli się w dużym, przyjemnie urządzonej, okrągłym pokoju.

— Sala klubowa — powiedział Andresen. — Sterownia jest dokładnie pod nami. Antygravitacja. — Wcisnął guzik w ścianie i część podłogi odsunęła się. — Będziesz musiał skoczyć — ostrzegł i głową naprzód zanurkował w otwór.

Donal wiedział, czego się spodziewać, i poszedł za jego przykładem. Znalazł się w innym okrągłym pokoju takiej samej wielkości, w którym wszystko znajdowało się do góry nogami, przyśrubowane do sufitu, gdyby nie drobny fakt, że gravitacja była tu ujemna. To, co było na dole, znajdowało się na górze, i na odwrót.

— Tutaj — objaśnił Andresen, kiedy Donal wylądował miękko na podłodze po drugiej stronie otworu — jest nasze Oko Kontrolne. Jak zapewne zauważyłeś, kiedy wchodziłeś na pokład, 4J to statek typu „piłka i młot”.

Nacisnął kilka guzików i w dużej kuli unoszącej się pośrodku podłogi pojawił się obraz ich statku, jak gdyby widzianego z zewnątrz z niewielkiej odległości. Jego sylwetka płynęła na tle gwiazd i wąskiego sierpa Freilandii widniejącego z boku. Kula o średnicy trzydziestu metrów połączona była za pomocą dwóch cienkich wałów, o długości stu metrów każdy, z romboidalnym kształtem stanowiącym zespół napędowy statku, o średnicy pięciu metrów w najszerszym miejscu, i wyglądającym jak duży dziecięcy bąk osadzony na dwóch drutach, które spinały go pośrodku. To był „młot”. Właściwy statek był „piłką”.

— Nie ma urządzenia do przejścia fazowego? — zapytał Donal. Miał na myśli tradycyjny cylindryczny kształt dużych statków międzygwiazdnych.

— Nie wygłupiaj się — odparł Andresen. — Siatka jest tam. Mamy po prostu nadzieję, że wróg jej nie zobaczy i nie zniszczy. Nie możemy jej chronić, więc próbujemy uczynić ją niewidoczną. — Palcem wskazał pozornie nagie wały. — Przez całą długość statku, od zespołu napędowego po dziób, biegnie siatka ochronna pomalowana na czarno.

Donal pokiwał głową w zamyśleniu.

— Szkoda, że polaryzator nie będzie działał w próżni — powiedział.

— Masz rację — zgodził się Andresen. Wyłączył Oko. — Rozejrzyjmy się po reszcie statku.

Poprowadził go przez mały korytarzyk podobny do tego, którym szli do sali klubowej. Dotarli do większego przejścia, takiego samego jak w pierwszej części statku.

* * *

— Kabiny załogi i mesa po tamtej stronie — wyjaśniał Andresen. — Kabiny oficerów, magazyn, sekcja napraw po tej.

Otworzył drzwi znajdujące się przed nimi i weszli do pomieszczenia mniej więcej wielkości małego pokoju hotelowego. Z jednej strony ograniczała je zaokrąglona powłoka zewnętrzna właściwego statku. Akurat w tej chwili była ona przezroczysta, a skomplikowany „fotel dentystyczny” stojący przed pulpitem sterowniczym pod ścianą zajmowała jakaś postać. Miała na sobie tylko kombinezon.

— Mój pierwszy — przedstawił Andresen.

Postać obejrzała się ponad zagłówkiem fotela. Była to kobieta w wieku czterdziestu kilku lat.

— Cześć, Ali — powiedziała. — Właśnie sprawdzam działa rozpryskowe. Andresen zrobił kwaśną minę.

— Broń do niszczenia celów żywych — wyjaśnił. — Nikt nie lubi strzelać z nieba do biednych, bezbronnych ludzi w czasie ataku... więc jest to zadanie dla oficera. Zwykle biorę to na siebie, jeśli akurat nie jestem zajęty czymś innym. Łącznik sztabowy Donal Graeme... pierwszy oficer Coa Benn.

Donal i kobieta uścisnęli sobie dłonie.

— I co, ruszamy dalej? — zapytał Andresen.

Zwiedzili resztę statku, aż w końcu dotarli pod drzwi kabiny Donala.

— Przykro mi — powiedział Andresen — ale mamy mało miejsca do spania. W warunkach gotowości bojowej jest komplet. Musieliśmy więc zakwaterować twojego ordynansa razem z tobą. Jeśli nie masz nic przeciwko temu...

— Nie mam — odparł Donal.

— Dobrze. — Andresenowi wyraźnie ulżyło. — Właśnie dlatego lubię Dorsajów. Są tacy rozsądni. — Klepnął Donala po plecach i odszedł pośpiesznie do swoich obowiązków związanych z przygotowaniem statku i załogi do akcji.

* * *

Wszedłszy do kabiny Donal przekonał się, że Lee już rozpakował ich bagaż, ze swoim hamakiem włącznie. Miał on zawisnąć obok pojedynczej koi przeznaczonej dla komendanta.

— Wszystko zrobione? — spytał Donal.

— Wszystko — odpowiedział Lee. Chronicznie zapominał dodawać „sir”, ale Donal, doświadczywszy już fanatycznej dosłowności i gotowości, z jaką ów mężczyzna wykonywał każdy rozkaz, powstrzymał się od robienia z tego kwestii spornej. — Załatwił już pan mój kontrakt?

— Nie miałem czasu — odparł Donal. — Nie można tego zrobić w ciągu jednego dnia. Przecież wiedziałeś o tym?

— Nie — przyznał Lee. — Jedyne, co zawsze robiłem, to wręczałem go, a kiedy kończył się okres służby, odbierałem. Razem z pieniędzmi.

— W porządku. Zwykle zajmuje to kilka tygodni lub miesięcy — powiedział Donal.

Wyjaśnił — choć nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że ktoś może tego nie wiedzieć — iż właścicielem kontraktów jest rodzima planeta lub społeczność, do której należy dana osoba, a warunki umowy są kwestią do uzgodnienia między rządami pracownika i pracodawcy. Celem jest nie tyle zagwarantowanie tej osobie pracy i środków utrzymania, co zapewnienie rządowi dogodnego bilansu pieniężnego i kontraktowego, który pozwoliłby na wynajęcie z kolei potrzebnych specjalistów. W przypadku kontraktu Lee, ponieważ Donal był prywatnym pracodawcą i miał pieniądze, ale nie zapewniał kontraktowych kredytów, sprawę zatrudnienia należało wyjaśnić z władzami dorsajskimi, a także z władzami Coby, skąd pochodził Lee.

— To tylko formalność — zapewnił go Donal. — Mam prawo mieć ordynansa, odkąd dostałem stopień komendanta. Zgłosiłem również zamiar wynajęcia ciebie. To oznacza, że twój rząd nie odkomenderuje cię do innej służby.

Lee skinął głową, co było u niego wyrazem najwyższej ulgi.

— ...Meldunek! — odezwał się nagle sygnalizator w ścianie kabiny. — Meldunek dla łącznika sztabowego Graeme'a. Zgłosić się natychmiast na statku flagowym. Łącznik sztabowy Graeme, zgłosić się na statku flagowym.

Donal ostrzegł Lee, żeby trzymał się z dala od stałej załogi statku, i wyszedł.

* * *

Flagowy statek bojowy, na którego pokładzie znajdował się Czerwony i Zielony Patrol freilandskiej armii kosmicznej, krążył już, podobnie jak 4J, na tymczasowo wolnej orbicie wokół Oriente. Czterdzieści minut zajęło Donalowi dotarcie do niego. Kiedy wszedł do salonu i podał swoje nazwisko oraz stopień, wyznaczono przewodnika, który zaprowadził go do sali odpraw we wnętrzu statku.

Donal zastał tam dwudziestu kilku innych łączników sztabowych. Mieli rangi od podoficerów kurierów po dowódcę podpatrolu kosmicznego; był nim mężczyzna w wieku pięćdziesięciu pięciu lat. Wszyscy już siedzieli twarzami do podwyższenia i kiedy Donal się zjawił — był najwyraźniej ostatnim, którego oczekiwano — wszedł starszy kapitan statku flagowego, a tuż za nim dowódca Niebieskiego Patrolu, Lłudrow.

— Proszę o uwagę, panowie — powiedział starszy kapitan i obecni uciszylesię. — Oto sytuacja. — Machnął ręką i ściana za nim zniknęła, ukazując plastyczną wizję zbliżającej się bitwy. W czarnej przestrzeni kosmicznej unosiła się Oriente, wokół której krążyła pewna liczba statków o różnych kształtach. Rozmiary statków znacznie wyolbrzymiono, żeby były widoczne na tle planety, której średnica stanowiła około dwóch trzecich średnicy Marsa. Największe z nich — długie, cylindryczne międzygwiazdne statki wojenne klasy patrolowej — znajdowały się na różnych orbitach od osiemdziesięciu do pięciuset kilometrów nad powierzchnią planety, tak że ich trajektorie oplatały Oriente jak sieć. Chmara mniejszych statków C4J, A9, kurierskie, platformy strzelnicze oraz jedno- i dwuosobowe jednostki zajmowały pozycje za nimi oraz bliżej planety, tuż nad atmosferą.

— Sądźmy — powiedział starszy kapitan — że przy efektywnej prędkości i już rozpoczętym hamowaniu wróg wejdzie w fazę gdzieś tutaj... — Chmara atakujących statków pojawiła się nagle pół miliona kilometrów od Oriente, od strony jej słońca. Szybko zbliżały się, rosnąc w oczach. Kiedy dotarły do planety, zawisły wokół na kołowej orbicie desantowej. Nadleciały mniejsze jednostki i obie floty starły się ze sobą, tworząc tak skomplikowany wzór, że oko nie mogło początkowo nadążyć za poszczególnymi ruchami. Następnie atakująca flota ukazała się poniżej obrońców, wypluwając nagle chmurę drobnych obiektów, które

okazały się oddziałami desantowymi. Atakowane przez mniejsze jednostki, dryfowały w dół, podczas gdy większość szturmowych statków z Newtona i Cassidy zaczęła znikać jak zdmuchnięte świece, szukając ratunku w przejściu fazowym, które oddalało je o całe lata świetlne od pola bitwy.

Dla Donala, z jego wyszkolonym umysłem i profesjonalnym spojrzeniem, było to widowisko zarazem piękne i porywające, jak i całkowicie nieprawdziwe. Żadna bitwa od początku świata nie rozegrała się z taką baletową gracją i równowagą sił i nigdy nie miała się rozegrać. Było to tylko wyobrażenie, jak powinna wyglądać. Nie przewidywało nieuniknionych złych rozkazów, indywidualnych wahań, niedoceniania przeciwnika, błędów nawigacyjnych prowadzących do kolizji lub ostrzelania jednego z własnych statków. Wszystko to zagrażało prawdziwej akcji, jak harpie obsiadające o świcie konary jeszcze nie spalonych drzew na polu, gdzie ma zostać stoczona walka. W przyszłej bitwie nad Oriente miały być dobre akcje i złe, mądre decyzje i głupie... i żadna z nich z osobna nie będzie się liczyć. Jedynie ich rezultat pod koniec dnia.

— ...Dobrze, panowie — mówił starszy kapitan — tak widzi to Sztab. Wszym zadaniem jako łączników sztabowych jest obserwacja. Chcemy wiedzieć o wszystkim, co zobaczycie, o wszystkim, co odkryjecie, o wszystkim, co możecie lub sądzicie, że możecie wydedukować. I oczywiście... — zawahał się z krzywym uśmiechem — najcenniejszy byłby jeńiec.

Słowa te skwitował ogólny śmiech, gdyż wszyscy obecni wiedzieli, jak nie-realna była szansa zgarnięcia jeńca ze zniszczonego nieprzyjacielskiego statku w warunkach bitwy kosmicznej i przy takich prędkościach... a w razie sukcesu — znalezienia go żywym.

— To wszystko — zakończył starszy kapitan.

Łącznicy sztabowi wstali i zaczęli gromadzić się przy drzwiach.

* * *

— Chwileczkę, Graeme!

Donal obejrzał się. Głos należał do Lłudrowa. Dowódca Patrolu zszedł z podwyższenia i zbliżał się do niego. Donal zawrócił, żeby się z nim przywitać.

— Chciałbym porozmawiać z panem — poprosił Lłudrow. — Zaczekajmy, aż inni wyjdą. — Stali razem w milczeniu, dopóki ostatni łącznik sztabowy nie opuścił sali. Zniknął również starszy kapitan.

— Tak, sir? — odezwał się Donal.

— Zaciekało mnie coś, co pan powiedział... lub zamierzał powiedzieć tamtego dnia, kiedy spotkaliśmy się w domu marszałka Galta w czasie omawiania akcji na Oriente. Powiedział pan coś, co zdawało się podważać wnioski, do których doszliśmy. Ale nie wiem, co pan miał na myśli. Może mi pan wyjaśnić teraz?

— Ależ to nic, sir — odparł Donal. — Sztab i marszałek bez wątpienia wiedzą, co robią.

— Nie jest zatem możliwe, że dostrzega pan w całej sytuacji coś, czego my nie zdołaliśmy dostrzec?

Donal zawahał się.

— Nie, sir. Nie wiem więcej o siłach i planach wroga niż pozostali. Tylko... — Donal popatrzył w dół na śniadą twarz, nie mogąc zdecydować się na wypowiedzenie zdania. Od historii z Aneą był na tyle ostrożny, by zatrzymać dla siebie rezultaty swoich przemyśleń i przeczuć. — Może po prostu jestem podejrzliwy, sir.

— Podobnie jak my wszyscy, człowieku! — powiedział Llundrow z lekkim zniecierpliwieniem. — I co pan na to? Co zrobiłby pan na naszym miejscu?

— Na waszym miejscu — odparł Donal odrzucając całą ostrożność — zaatakowałbym Newtona.

Llundrow aż otworzył usta ze zdziwienia.

— Na Boga! — odezwał się po chwili. — Nie cofa się pan przed żadnymi środkami, prawda? Nie wie pan, że nie podbija się cywilizowanego świata?

Donal pozwolił sobie na luksus lekkiego westchnienia. Uczynił jeszcze raz wysiłek, by wyjaśnić swoje myśli w słowach, które inni byli w stanie zrozumieć.

— Pamiętam, jak marszałek to powiedział — odrzekł. — Nie jestem takim optymistą. Jednak tę właśnie zasadę chciałbym kiedyś obalić. Ale... nie to miałem na myśli. Nie zamierzałem sugerować, żebyśmy próbowali zdobyć Newtona, lecz jedynie zaatakować go. Podejrzewam, że Newtończycy są równie przywiązani do zasad jak my. Widząc, że próbujemy dokonać czegoś niemożliwego, dojdą prawdopodobnie do wniosku, iż nagle odkryliśmy sposób, jak uczynić to możliwym. Możemy dużo dowiedzieć się z ich reakcji... także na temat Oriente.

Wyraz zdumienia na twarzy Llundrowa zmienił się w niezadowolenie.

— Jakielwiek siły atakujące Newtona poniosłyby ogromne straty — zaczął.

— Tylko gdyby zamierzały przeprowadzić atak do końca — przerwał mu Donal z ożywieniem. — To mógłby być manewr pozorny... nic ponadto. Celem nie byłoby dokonanie prawdziwych zniszczeń, ale pokrzyżowanie strategicznych planów wroga przez wprowadzenie niespodziewanego czynnika.

— A jednak — powiedział Llundrow — żeby manewr pozorny był skuteczny, atakujące wojska musiałyby ryzykować, że zostaną rozbite w pył.

— Niech mi pan da tuzin statków... — zaczął Donal, a Llundrow zamrugał oczami jak człowiek budzący się ze snu.

— Dać panu... — powtórzył i uśmiechnął się. — Nie, nie, komendancie, mówiliśmy teoretycznie. Sztab nigdy nie zgodziłby się na tak szalony, ryzykowny krok, a ja nie mam upoważnienia, by wydać taki rozkaz. A gdybym wydał... jak mógłbym usprawiedliwić decyzję oddania dowództwa młodemu człowiekowi,

który ma tylko doświadczenie polowe i który nigdy w życiu nie dowodził statkiem? — Potrząsnął głową. — Nie, Graeme... ale przyznaję, że pański pomysł jest ciekawy. I chciałbym, żeby jeden z nas przynajmniej o tym pomyślał.

— Nie zaszkodziłoby chyba napomknąć... .

— Nic dobrego nie wynikłoby z kwestionowania planu, który Sztab opracowuje już od tygodnia. — Uśmiechnął się szeroko. — Prawdę mówiąc, moja reputacja ucierpiałaby mocno. Ale to był dobry pomysł, Graeme. Ma pan zadatki na stratega. Wspomnę o tym w raporcie dla marszałka.

— Dziękuję, sir — odparł Donal.

— Niech pan wraca na swój statek — powiedział Llundrow.

— Do widzenia, sir.

Donal zaszutował i odszedł. Llundrow ze zmarszczonym czołem rozmyślał przez chwilę nad tym, o czym rozmawiali, następnie skierował umysł ku innym sprawom.

Kapitan

Twierdzi się, że wojny gwiazdne — dumał Donal — prowadzone są wyłącznie za obopólną zgodą. Była to jedna z tych maksym, w które nie wierzył i które postanowił obalić, gdy tylko będzie miał okazję. Jednakże — teraz kiedy stał przed ekranem Oka Kontrolnego w głównej sterowni C4J, patrząc, jak pojawiające się nieprzyjacielskie statki rosą w oczach — musiał przyznać, że w tym wypadku była to prawda. Przynajmniej o tyle, o ile można mówić o obopólnej zgodzie, kiedy atakuje się pozycję wroga wiedząc, że będzie jej bronił.

A co byłoby, gdyby mimo wszystko jej nie bronił? Gdyby zrobił coś zupełnie nieoczekiwanego...

— Kontakt za sześćdziesiąt sekund. Kontakt za sześćdziesiąt sekund! — odezwał się głośnik nad jego głową.

— Zapiąć pasy — powiedział Andresen spokojnie. Usiadł w „fotelu dentystrycznym” po przeciwnej stronie pomieszczenia, z pierwszym i drugim oficerem po bokach. Obserwował sytuację nie bezpośrednio, jak to robił Donal, lecz odczytywał wskazania przyrządów. W ten sposób jego wiedza była pełniejsza. Niezdarny w swoim bojowym skafandrze kosmicznym, Donal wdrapał się powoli na podobny fotel, który ustawiono dla niego przed Okiem, i zapiął pasy. W razie gdyby statek został trafiony, przytwierdzony do fotela Donal mógłby przy odrobinie szczęścia w ciągu czterdziestu lub pięćdziesięciu godzin dotrzeć do statku ratunkowego krążącego na orbicie wokół Oriente... o ile nie stanąłby temu na przeszkodzie żaden z kilkunastu czynników.

Zdążył usadowić się przed Okiem, zanim doszło do kontaktu. W ciągu tych ostatnich kilku sekund rozejrzał się wokół. I na przekór temu, co widział, nie mógł uwierzyć, że ta cicha, biała sterownia, której ciszy nie zakłócało najbliższe drżenie, znajduje się u progu bezlitosnej walki i całkiem prawdopodobnego zniszczenia. Później nie było czasu na rozmyślanie. Nastąpił kontakt z wrogiem i Donal musiał obserwować rozwój wydarzeń.

Rozkazy mówiły, żeby raczej nękać nieprzyjaciela niż zewrzeć się z nim. Straży oceniano na dwadzieścia procent po stronie wroga i na pięć procent po stronie obrońców. Liczby takie są jednak mylące. Dla człowieka walczącego nie oznaczają, że zostanie ranny w dwudziestu lub pięciu procentach. W gwiazdnej bitwie

nie oznaczają również, że jeden żołnierz na pięciu lub jeden na dwudziestu zostanie zabity. Oznaczają jeden statek z pięciu lub jeden z dwudziestu... i wszystkie żywe istoty na jego pokładzie, gdyż w przestrzeni kosmicznej sto procent strat to dziewięćdziesiąt osiem procent zabitych.

Były trzy linie obrony. Pierwszą stanowiły lekkie jednostki, które miały zmniejszyć prędkość nadlatujących statków po to, by większe, cięższe statki mogły się do niej dostosować i użyć ciężkiej broni. Następne w kolejności były duże statki na swoich obecnych orbitach. Ostatnią linię tworzyły znowu mniejsze jednostki przeznaczone do niszczenia ludzi i wchodzące do akcji, kiedy atakujący zrzucali swoje oddziały desantowe w skafandrach kosmicznych. Donal na C4J znajdował się w pierwszej linii.

Nie było żadnego ostrzeżenia. Nie było właściwej walki.

Na sekundę przed kontaktem obsługa C4J otworzyła ogień. Potem...

Było już po wszystkim.

Donal podniósł powieki i zamrugał, próbując przypomnieć sobie, co się stało. Ale nie było mu to dane. Pomieszczenie, w którym leżał przypięty do swojego fotela, wyglądało jak rozplątane gigantycznym toporem. Przez dziurę w ścianie mógł dostrzec fragment kabiny oficerskiej. Gdzieś nad głową czerwona lampka awaryjna ostrzegała, że w sterowni nie ma powietrza. Oko Kontrolne było lekko przekrzywione, ale nadal działało. Przez przezroczystą osłonę hełmu Donal widział znikające światła, znaczące odlot nieprzyjacielskich statków w kierunku Oriente. Z wysiłkiem wyprostował się w fotelu i odwrócił głowę w stronę pulpitu sterowniczego.

Dwóch ludzi było martwych. Cokolwiek rozerwało pomieszczenie, dosięgło również ich. Trzeci oficer nie żył, podobnie jak Andresen. Coa Benn jeszcze żyła, ale sądząc po słabych ruchach, była ciężko ranna. I nikt nie mógł jej teraz pomóc, gdyż z powodu braku powietrza wszyscy byli uwięzieni w skafandrach.

Wyszkolone ciało Donala zareagowało, zanim umysł zdążył to zarejestrować. Stwierdził nagle, że odpina pasy przytwierdzające go do fotela. Niepewnie, chwiejnym krokiem przeszedł przez sterownię, odsunął opartą o pulpit głowę Andresena i nacisnął guzik łączności.

— C4J jeden-dwadzieścia-dziewięć — powiedział. — C4J jeden-dwadzieścia-dziewięć... — powtarzał liczby, dopóki ekran przed nim nie rozjaśnił się i nie pojawiła się twarz osłonięta hełmem i równie bezkrwista, jak twarz martwego mężczyzny w fotelu obok.

— KL — powiedział tamten człowiek. — Dwadzieścia-trzy? — Był to szyfr oznaczający: Czy możesz pilotować statek?

Donal spojrzął na tablicę przyrządów. O dziwo, była wprawdzie uszkodzona przez to, co rozplątało kabinę, ale niewiele. Przyrządy działały.

— Dwadzieścia-dziewięć — odpowiedział twierdząco.

— M-czterdzieści — powiedział tamten i wyłączył się.

Donal zdjął palec z przycisku łączności. M-czterdzieści oznaczało: postępować według rozkazów.

* * *

Dla statku C4J jeden-dwadzieścia-dziewięć, na którym znajdował się Donal, „postępować według rozkazów” znaczyło zbliżyć się do Oriente i wystrzelać tylu żołnierzy oddziałów desantowych, ilu się da. Donal wziął się za niemiłe zadanie usuwania zabitych i umierających z foteli sterowniczych.

Coa, jak zauważył, kiedy prznosił ją delikatniej niż innych, wyglądała na oszołomioną i nieświadomą niczego. Nie miała złamanych kości, ale zdawało się, że jeden bok ma zgnieciony lub zmiądzony przez uderzenie, które zabiło tamtych. Jej skafander był cały i szczelny. Pomyślał, że może się z tego mimo wszystko wyliże.

Usiadł w fotelu kapitańskim i wywołał sekcje strzeleckie oraz inne stanowiska załogi.

— Meldować się — rozkazał.

Sekcje strzeleckie od Piątej do Ósmej oraz Pierwsza zgłosiły się.

— Lecimy w kierunku planety — powiedział. — Wszyscy ludzie zdolni do pracy, opuścić stanowiska strzeleckie i utworzyć ekipę naprawczą w celu uszczelnienia statku i przepompowania powietrza. Pozostali, zebrać się w sali klubowej. Dowództwo obejmie najstarszy stopniem członek załogi.

Nastąpiła krótka przerwa, po czym odezwał się jakiś głos.

— Konserwator broni, Ordovya — powiedział. — Zdaje się, że jestem najstarszy stopniem z tych, którzy przeżyli, sir. Czy to kapitan?

— Łącznik sztabowy Graeme, pełniący obowiązki kapitana. Wasi oficerowie nie żyją. Jako najstarszy stopniem przejąłem dowództwo. Zna pan rozkazy, konserwatorze.

— Tak jest, sir. — Głos wyłączył się.

Donal spróbował przypomnieć sobie lekcje pilotażu. Wziął kurs na Oriente i sprawdził wszystkie przyrządy. Po chwili lampka nad jego głową zgasła i dał się słyszeć syk... z początku słaby, a później szybko nasilający się aż do gwizdu. Skafander utracił szczelność.

Kilka chwil później jakaś dłoń spoczęła na ramieniu Donala. Obejrzał się i zobaczył członka załogi o blond włosach, w odsuniętym hełmie.

— Statek jest szczelny, sir — zameldował. — Nazywam się Ordovya.

Donal odrzucił hełm, z przyjemnością wdychając powietrze kabiny.

— Zajmijcie się pierwszym oficerem — rozkazał. — Czy mamy na pokładzie jakiegoś medyka?

— Nie mamy żywego medyka, sir. Jesteśmy zbyt małą jednostką. Ale mamy aparaturę do zamrażania.

— Zamroźcie więc ją. I niech ludzie wracają na swoje stanowiska. Wejździemy znowu do akcji za dwadzieścia minut.

Ordovya wyszedł. Donal siedział przy pulpicie sterowniczym, pilotując C4J ostrożnie i z największym możliwym marginesem bezpieczeństwa. Ogólnie wiedział, jak prowadzić ten statek, ale nikt lepiej od niego nie zdawał sobie sprawy, że daleko mu do doświadczonego pilota i kapitana. Mógł radzić sobie ze statkiem jak ktoś, kto po kilku lekcjach jazdy radziłby sobie z koniem... to znaczy wiedział, co należy robić, ale żadnej czynności nie wykonywał instynktownie. Podczas gdy Andresen rzuciwszy okiem na odczyty wszystkich przyrządów reagował natychmiast, Donal koncentrował się na kilku głównych wskaźnikach i zastanawiał się, zanim podjął jakieś działanie.

W ten sposób dolecieli spóźnieni do atmosfery Oriente, gdzie trwała walka. Nie na tyle jednak spóźnieni, by oddziały desantowe znalazły się bezpieczne poza zasięgiem rażenia. Donal przeszukał wzrokiem tablicę przyrządów i znalazł przycisk broni do niszczenia celów żywych.

— Przygotować działa rozpryskowe! — zawołał do mikrofonu.

Patrzył na przyrządy, ale w wyobraźni widział opadające ciemne, ubrane w skafandry sylwetki żołnierzy oddziałów desantowych i pomyślał o kilku milionach drobnych odłamków stali węglowej, które rozprysną się wśród nich za dotknięciem jego palca.

— Sir... jeśli pan chce... strzelcy mówią, że są przyzwyczajeni do obsługi broni...

— Konserwatorze! — warknął Donal. — Słyszeliście rozkaz.

— Tak jest, sir.

Donal spojrział na pole obstrzału. Komputer już nakierował broń na cele. Donal nacisnął guzik.

Dwie godziny później C4J, znajdujący się wtedy na orbicie stacjonarnej, dostał rozkaz powrotu do punktu zbornego, a jego kapitan — rozkaz zameldowania się u dowódcy swojego pododdziału patrolowego. W tym samym czasie powiadomiono wszystkich łączników sztabowych, że mają zgłosić się na statku flagowym, a łącznika sztabowego Donala Graeme'a — że ma się stawić osobiście u dowódcy Niebieskiego Patrolu, Lłudrowa. Zastanawiając się nad tymi trzema rozkazami, Donal wezwał Ordovę przez telefon wewnętrzny i uczynił go odpowiedzialnym za wykonanie pierwszego z poleceń. Sam postanowił, że weźmie na siebie dwa pozostałe, które mogły — choć nie musiały — mieć ze sobą związek.

Po przybyciu na statek flagowy wyjaśnił sytuację oficerowi dyżurnemu, który przekazał wiadomość Sztabowi i dowódcy Niebieskiego Patrolu.

— Ma pan się udać prosto do Lłudrowa — poinformował Donala i wyznaczył mu przewodnika.

* * *

Donal znalazł Lłudrowa w prywatnym gabinecie na statku flagowym. Pomieszczenie nie było dużo większe od kabiny Donala na C4J.

— W porządku! — powiedział Lłudrow, wstając zza biurka i szybko je obchodząc.

Począł, aż przewodnik wyjdzie, i wtedy położył dłoń na ramieniu Donala.

— W jaki sposób twój statek wyszedł cało? — zapytał.

— Pilotowałem go — odpowiedział Donal. — Sterownia dostała bezpośrednie uderzenie. Wszyscy oficerowie nie żyją.

— Wszyscy oficerowie? — Lłudrow przyjrzał mu się badawczo. — A ty?

— Przejąłem oczywiście dowództwo. Nic jednak nie zostało oprócz broni do niszczenia ludzi.

— Mniejsza z tym — powiedział Lłudrow. — Przez część akcji pełniłeś obowiązki kapitana?

— Tak.

— Świetnie. To lepiej, niż się spodziewałem — pochwalił Lłudrow. — A teraz powiedz mi coś. Czy jesteś gotów nadstawić karku?

— Z powodów, które akceptuję, oczywiście — odparł Donal.

Popatrzył na niskiego, dość brzydkiego mężczyznę i stwierdził, że zaczyna lubić dowódcę Niebieskiego Patrolu. Podobna bezpośredniość była dla niego rzadkim doświadczeniem, odkąd opuścił Dorsaj.

— W porządku. Jeśli się zgodzisz, obaj nadstawimy karku. — Lłudrow spojrział na drzwi, ale były zamknięte. — Mam zamiar naruszyć ścisłą tajemnicę i wyznaczyć cię do akcji sprzeczej z rozkazami Sztabu, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Ścisłą tajemnicę? — powtórzył Donal, czując nagły chłód na karku.

— Tak. Dowiedzieliśmy się, co kryło się za lądowaniem Newtona i Cassidy na Oriente. Znasz Oriente?

— Uczyłem się o niej, oczywiście — odpowiedział Donal. — W szkole i ostatnio, kiedy zaciągnąłem się na Freilandię. Temperatury do siedemdziesięciu ośmiu stopni Celsjusza, skały, pustynie, jakiś miejscowy gatunek winorośli i dżungla kaktusowa. Brak dużych zbiorników wodnych wartych uwagi i nadmiar dwutlenku węgla w atmosferze.

— Dobrze — skwitował Lłudrow. — Najważniejsze, że jest wystarczająco duża, by można się ukryć. Oni tam teraz są, a my nie możemy ich wykurzyć tak szybko... albo wcale, o ile nie wylądujemy za nimi. Myśleliśmy, że przeprowadzają ostre ćwiczenia, i spodziewaliśmy się dać im łupnia, kiedy będą wracali za kilka dni lub tygodni. Myliliśmy się.

— Myliliście się?

— Odkryliśmy powód lądowania na Oriente. Wcale nie był taki, jak sądziliśmy.

— Szybka robota — stwierdził Donal. — Co się nim okazało... cztery godziny polądowaniu?

— Szybko się z tym uwinęli — powiedział Llundrow. — Rozpracowuje się właśnie tę informację. Zaobserwowano, że używają miotaczy nowego rodzaju promieniowania, które strzelają najpierw z jednego miejsca, potem przemieszczają się i znowu strzelają z nowego, zamaskowanego miejsca... Bardzo dużo jest tych miotaczy, a serie dosięgają samego starego Syriusza. Rejestrujemy wzrastającą aktywność plam słonecznych.

Skończył mówić i spojrzął na Donalą przenikliwym wzrokiem, jak gdyby czekając na komentarz. Donal nie śpieszył się, rozważając sytuację.

— Anomalie pogodowe? — odezwał się w końcu.

— Otóż to! — zawołał Llundrow z entuzjazmem, jakby Donal był jego najlepszym uczniem, który znowu zabłysnął. — Meteorologowie mówią, że to może mieć poważne skutki. Już usłyszeliśmy cenę za wycofanie się. Zdaje się, że na Nowej Ziemi przebywa teraz komisja handlowa. Żadnych oficjalnych kontaktów... ale komisja wyraziła się jasno.

Donal pokiwał głową. Wcale nie zaskoczyło go, że dwa światy prowadzą normalne negocjacje handlowe, jednocześnie tocząc między sobą wojnę. Takie właśnie było życie między gwiazdami. Przepływ wyszkolonego personelu był podstawą cywilizacji. Świat, który próbowałby radzić sobie sam, zostałby w tyle w niedługim czasie i usechł jak winorośl... lub musiałby kupować artykuły pierwszej potrzeby po rujnujących cenach. Konkurencja oznaczała handel zdolnymi umysłami, co z kolei oznaczało kontrakty, te zaś oznaczały prowadzenie negocjacji.

— Żądają umowy wzajemnej o pośrednictwie — powiedział Llundrow.

Donal popatrzył na niego badawczo. Wolnego handlu kontraktami zaniechano już prawie pięćdziesiąt lat temu. Przerodził się on w spekulowanie ludzkim losem. Pozbawiał jednostkę resztek godności i poczucia bezpieczeństwa, traktował jak żywy inwentarz lub sprzęt, który można sprzedać, mając jedynie na uwadze jak największy zysk. Dorsaj razem z Marą i Kultis prowadziła z tym walkę. Był jednak również inny punkt widzenia. Na „ściśłych” planetach, jak te z grupy Wenus — do których zaliczały się Newton i Cassida — Zaprzyjaźnione i Coby, wolny rynek stał się kolejnym narzędziem grupy rządzącej, podczas gdy na „luźnych” planetach — jak Freilandia — stał się słabym punktem, który mogli wykorzystywać obcy kredytodawcy.

— Rozumiem — powiedział Donal.

— Mamy trzy wyjścia — stwierdził Llundrow. — Poddać się... i zaakceptować umowę. Odczuwać skutki anomalii pogodowych przez całe miesiące, dopóki nie zrobimy porządku na Oriente tradycyjnymi militarnymi środkami. Lub też zapłacić wysoką cenę, ponosząc duże straty podczas pośpiesznie zmontowa-

nej kampanii na Oriente. Stracilibyśmy równie wielu ludzi z powodu warunków panujących na planecie, co w wyniku skoncentrowanego ataku na nieprzyjaciela. Sądę więc, że czas podjąć ryzyko... a tak przy okazji, to mój pomysł, a nie Sztabu. Tam nic o nim nie wiedzą. I nie poparliby go, gdyby wiedzieli. Czy nadal chcesz wypróbować swój plan przestraszenia Newtona?

— Z przyjemnością! — odparł Donal szybko, z błyszczącymi oczami.

— Zachowaj swój entuzjazm do chwili, kiedy usłyszysz, co będziesz musiał zrobić — ostudził go Llundrow. — Newton utrzymuje stale wokół siebie ekran ochronny w postaci dziewięćdziesięciu najwyższej klasy statków na orbicie defensywnej. Ja mogę dać ci pięć.

Dowódca podpatrolu

— Pięć! — wykrzyknął Donal.

Poczuł, że po plecach przebiega mu dreszcz. Zanim Lłudrow odmówił mu za pierwszym razem, Donal starannie przemyślał, co można by zrobić z Newtonem i w jaki sposób się do tego zabrać. Jego plan wymagał małej, zwartej jednostki bojowej składającej się z trzydziestu statków pierwszej klasy, podzielonej na trzy patrole po dziesięć statków każdy.

— Zrozum — wyjaśniał Lłudrow — nie chodzi o to, że nie mam tylu statków — nawet przy stratach, jakie ostatnio ponieśliśmy, sam mój Niebieski Patrol liczy ponad siedemdziesiąt jednostek pierwszej klasy. Chodzi o to, ile statków mogę ci powierzyć do wykonania zadania w sytuacji, gdy przynajmniej oficerowie, a prawdopodobnie i członkowie załogi, będą zdawali sobie sprawę, że jest to misja całkowicie ochotnicza i odbywająca się za plecami Sztabu. Kapitanowie tych statków są wobec mnie bardzo lojalni, inaczej nie mógłbym ich wybrać. — Popatrzył na Donalą. — W porządku — powiedział. — Wiem, że to niemożliwe. Zgódź się ze mną i zapomnijmy o całej sprawie.

— Czy mogę liczyć na posłuszeństwo? — zapytał Donal.

— To jedyna rzecz — odpowiedział Lłudrow — którą mogę ci zagwarantować.

— Będę musiał improwizować — stwierdził Donal. — Spotkam się z nimi, rozejrzę w sytuacji i zobaczę, co da się zrobić.

— To całkiem uczciwe. Zatem postanowione?

— Postanowione — powiedział Donal.

— Chodźmy więc. — Lłudrow poprowadził go przez korytarze do śluzy. Tam wsiedli do czekającego na nich siateczka kurierskiego, który zabrał ich na statek pierwszej klasy znajdujący się w odległości piętnastu minut lotu.

W dużej głównej sterowni statku Donal zastał pięciu starszych kapitanów. Oczekiwali go. Lłudrow przyjął honory od siwowłosego, potężnego mężczyzny, który okazał się kapitanem.

— Kapitan Bannerman — przedstawił go Lłudrow Donalowi. — Kapitan Grame.

Donal dobrze ukrył zaskoczenie. W swoich rozważaniach zapomniał o konieczności awansu. Trudno byłoby mianować sztabowego łącznika w randze komendanta dowódcą kapitanów statków pierwszej klasy.

— Panowie — powiedział Lłudrow zwracając się do pozostałych oficerów. — Byłem zmuszony utworzyć dość pośpiesznie z waszych pięciu statków nowy pododdział patrolowy. Kapitan Graeme będzie waszym nowym dowódcą. Utworzycie grupę zwiadowczą do wykonania pewnego zadania w obszarze powietrznym nieprzyjaciela. Chcę podkreślić, że władza kapitana Graeme'a jest absolutna. Będziecie słuchali wszelkich jego rozkazów i wykonywali je bez sprzeciwu. Czy chcielibyście zadać jakieś pytania, zanim kapitan przejmie dowództwo?

Pięciu kapitanów milczało.

— Świetnie. — Lłudrow kolejno przedstawił oficerów Donalowi. — Kapitanie Graeme, to kapitan Aseini.

— Jestem zaszczycony — powiedział Donal wymieniając uścisk dłoni.

— Kapitan Cole.

— Jestem zaszczycony.

— Kapitan Sukaya-Mendez.

— Do usług, kapitanie.

— Kapitan el Man.

— To dla mnie zaszczyt — powiedział Donal. Popatrzył na pokrytą bliznami twarz trzydziestoparoletniego Dorsaja. — Wydaje mi się, że znam pańskie nazwisko, kapitanie. Południowy kontynent, okolice Tamlin, nieprawdaż?

— Sir, okolice Bridgevort — sprostował el Man. — Słyszałem o rodzie Graeme'ów.

Donal przesunął się dalej.

— I kapitan Ruoul.

— Jestem zaszczycony.

— W porządku — powiedział Lłudrow cofając się. — Oddaję dowództwo w pańskie ręce, kapitanie Graeme. Jakieś specjalne życzenia?

— Torpedy, sir — odpowiedział Donal.

— Każę służbie zaopatrzenia skontaktować się z panem — powiedział Lłudrow i wyszedł.

Pięć godzin później, po załadowaniu kilkuset dodatkowych torped, pięć statków patrolowych wyruszyło w przestrzeń. Życzeniem Donala było, żeby jak najszybciej oddalić się od macierzystej bazy i znaleźć się tam, gdzie nie będzie groziło odkrycie charakteru ich ekspedycji i odwołanie jej. Wraz z torpedami przybył na pokład Lee. Donal przypomniał sobie, że ordynans został na C4J. Lee wyszedł z bitwy nietknięty, będąc przez cały czas zaplątany w uprząży hamaka w części statku nie uszkodzonej przez uderzenie, które zniszczyło sterownię. Donal miał teraz dla niego określone instrukcje.

— Chcę, żebyś tym razem był przy mnie — powiedział. — Zostaniesz ze mną. Wątpię, czy będę cię potrzebował, ale jeśli tak, chcę, żebyś był pod ręką.

— Będę tutaj — odparł Lee bez emocji.

Rozmawiali w kabinie dowódcy Patrolu, którą przeznaczono dla Donala. Teraz szedł on do głównej sterowni, a Lee podążał za nim. Kiedy Donal dotarł do tego mózgu statku, zastał tam trzech oficerów zajętych obliczeniami związanymi z przejściem fazowym i Bannermana, który ich nadzorował.

— Sir! — powiedział Bannerman, kiedy Donal wszedł. Patrząc na niego, Donal przypomniał sobie nauczyciela matematyki ze szkoły. Nagle i boleśnie wróciły do niego młodzińcze lata.

— Gotowi do przejścia? — zapytał.

— Za mniej więcej dwie minuty. Ponieważ nie wyznaczył pan konkretnego punktu wyjścia z podprzestrzeni, komputer uporał się z tym szybko. Dokonaliśmy jedynie rutynowego sprawdzenia, czy nie ma niebezpieczeństwa zderzenia się z jakimś obiektem. Skok o cztery lata świetlne, sir.

— Dobrze — powiedział Donal. — Niech pan pozwoli ze mną, Bannerman.

Podszedł do większego i znacznie bardziej skomplikowanego Oka Kontrolnego, które zajmowało środek sterowni, i nacisnął klawisze. Kulę wypełniła scena przekazywana z biblioteki statku. Przedstawiała zielono-białą planetę z okrążającymi ją dwoma księżycami, oświetloną przez słońce typu GO.

— Pomarańcza i dwie pestki — powiedział Bannerman, przejawiając niechęć mieszkańca pozbawionej księżyca Freilandii wobec naturalnych satelitów planety.

— Tak — rzekł Donal. — Newton. — Spojrzał na Bannermana. — Z jakiej najmniejszej odległości możemy na nią uderzyć?

— Sir? — Bannerman obejrzał się w kierunku dowódcy. Donal czekał utkwivszy wzrok w starszym mężczyźnie. Ten przesunął spojrzenie z powrotem ku scenie w Oku. — Możemy wyjść z podprzestrzeni tak blisko, jak pan chce, sir — odpowiedział. — W czasie długich skoków musimy zatrzymywać się, żeby dokonać obserwacji i ustalić precyzyjnie swoje położenie. Ale dokładne położenie wszystkich cywilizowanych planet jest już określone. Żeby wyjść w bezpiecznej odległości od ich linii obronnych, sir...

— Nie pytałem pana o bezpieczną odległość od ich linii obronnych — przerwał mu Donal spokojnie. — Pytałem o najmniejszą odległość.

Bannerman znowu spojrzał na niego. Twarz mu nie pobladła, lecz znieruchomiała. Przez kilka sekund wpatrywał się w Donala.

— Najmniejsza odległość? — powtórzył. — Dwie średnice planety.

— Dziękuję, kapitanie — powiedział Donal.

— Skok za dziesięć sekund — zapowiedział głos pierwszego oficera i rozpoczął odliczanie. — Dziewięć sekund... osiem... siedem... sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... skok!

Wykonali polecenie.

— Tak — powiedział Donal, jak gdyby nie zwracając uwagi na skok — tu, gdzie jest tak miło i pusto, opracujemy manewr i chcę, żeby wszystkie statki przeciwiczyły go. Proszę zwołać naradę oficerów, kapitanie.

Bannerman podszedł do tablicy przyrządów i nadał wezwanie. Piętnaście minut później, zwolniwszy wszystkich młodszych oficerów, zebrali się w zaciszu sterowni na statku Bannermana i Donal przedstawił swój plan.

— Teoretycznie — powiedział — nasz patrol zajmuje się rekonesansem. W rzeczywistości spróbujemy przeprowadzić symulowany atak na Newtona.

Odczekał minutę, by dotarła do nich waga jego słów, po czym kontynuował wyjaśnienia. Na przyrządach swoich statków musieli zaprogramować obraz planety. Mieli zbliżyć się do tego wizerunku — przedstawiającego Newtona — z różnych kierunków i w różnym szyku, najpierw pojedynczym statkiem, później dwoma, następnie serią pojedynczych statków, i tak dalej. Powinni — teoretycznie — pojawić się tuż przed planetą, wystrzelić jedną lub kilka torped, przelecieć na jej drugą stronę i natychmiast wykonać skok. Celem była symulacja rozkładu eksplozji pokrywających całą powierzchnię planety.

Istniała jednak zasadnicza różnica. Ich torpedy eksplodowałyby poza zewnętrznym pierścieniem defensywnych orbit wokół Newtona, jak gdyby zadanie polegało na uwolnieniu jakiegoś promieniowania lub materiału, który miał opaść na planetę, rozpryskując się po drodze.

Po drugie, ataki miały być tak zsynchronizowane, by za sprawą rotacji oddział pięciu statków wydawał się dużą flotą przeprowadzającą ciągłe bombardowanie.

— ... Jakież sugestie lub komentarze? — zapytał Donal na zakończenie. Z tyłu za grupą oficerów widział Lee przechadzającego się wzdłuż sterowni i patrzącego na kapitanów bezbarwnym spojrzeniem.

Nie było natychmiastowej odpowiedzi. Wreszcie Bannerman odezwał się wolno, jak gdyby czuł, że spoczął na nim przykry obowiązek przemówienia w imieniu grupy.

— Sir — powiedział — a co z prawdopodobieństwem kolizji?

— Będzie wysokie, wiem — odparł Donal. — Szczególnie ze statkami obronnymi. Musimy jednak zaryzykować.

— Czy mogę zapytać, ile ataków wykonamy?

— Tyle — odpowiedział Donal — ile zdołamy. — Popatrzył na grupę z zastanowieniem. — Chcę, żebyście, panowie, to zrozumieli. Uczynimy wszystko, żeby nie dopuścić do otwartej bitwy lub przypadkowych starć. Ale tego może nie da się uniknąć, biorąc pod uwagę konieczną liczbę ataków.

— Jaką liczbę ma pan na myśli, kapitanie? — zapytał Sukaya-Mendez.

— Nie wyobrażam sobie — odpowiedział Donal — żebyśmy skutecznie mogli stworzyć iluzję dużej floty bombardującej planetę bez co najmniej dwóch godzin ciągłych nalotów.

— Dwóch godzin! — powtórzył Bannerman. Wśród grupy dał się słyszeć pomruk. — Sir — mówił dalej kapitan — jeśli nawet jeden nalot potrwa pięć minut, to przy pięciu statkach — na jeden przypadną więcej niż dwa naloty na godzinę. Jeśli nalot będą wykonywały dwa statki naraz lub jeśli będą straty, liczba ta wzrośnie do czterech. To oznacza osiem przejść fazowych na godzinę... szesnaście w ciągu dwóch godzin. Sir, nawet pod działaniem środków uspokajających nasi ludzie tego nie wytrzymają.

— Czy zna pan kogoś, kto próbował czegoś takiego, kapitanie?

— Nie, sir... — zaczął Bannerman.

— Więc skąd możemy wiedzieć, że tego nie da się zrobić? — Donal nie czekał na odpowiedź. — W tym rzecz, że musimy to zrobić. Od was żąda się jedynie, żebyście pilotowali swoje statki i w miarę możliwości odpalili dwie torpedy. Nie wymaga to tylu ludzi, co walka w zwykłych okolicznościach. Jeśli któryś z waszych podkomendnych będzie niezdolny do pełnienia obowiązków, wykonacie przejście przy pomocy tych, którzy zostaną.

— *Shai Dorsai!* — powiedział półgłosem poznaczony bliznami el Man.

Donal spojrział w jego stronę, równie wdzięczny za poparcie, co za komplement.

— Czy ktoś chce się jeszcze wycofać? — zapytał szorstko. Rozległ się cichy, lecz jednomyślny i stanowczy pomruk zaprzeczenia.

— Dobrze. — Donal cofnął się o krok. — Weźmy się więc do przeciwiczenia ataków. Jesteście wolni, panowie.

Patrzył, jak kapitanowie czterech statków opuszczają sterownię.

— Niech załoga zje coś i odpocznie — powiedział Donal zwracając się do Bannermana. — I niech pan również odpocznie. Ja mam taki zamiar. Niech przysła mi posiłek do kabiny.

— Sir — odpowiedział Bannerman.

Donal wyszedł ze sterowni, a za nim jak cień podążył Lee, który milczał, dopóki nie znaleźli się w kabinie. Wtedy zapytał mrukliwie:

— Dlaczego ten człowiek z bliznami nazwał pana bojaźliwym?

— Bojaźliwym? — Donal obejrzał się zdumiony.

— Bojaźliwym... czy coś w tym rodzaju.

— Aha. — Donal uśmiechnął się widząc wyraz twarzy tamtego. — To nie była obraza, Lee. To było jak klepięcie po plecach. On powiedział *shai*. Oznacza to — prawdziwy, czysty.

Lee chrząknął. Potem skinął głową.

— Myślę, że może pan na niego liczyć — powiedział.

* * *

Przyniesiono jedzenie, po tacy dla każdego. Donal zjadł trochę i wyciągnął się na koi. Wydawało się, że natychmiast zapadł w sen. A kiedy obudził się pod dotknięciem ręki Lee, wiedział, że coś mu się śniło, ale nie mógł sobie przypomnieć co. Pamiętał jedynie kształty poruszające się w ciemności — jakby jakiś złożony problem fizyczny sprowadzający się do określenia kierunku i masy.

— Zaraz rozpoczną się ćwiczenia — oznajmił Lee.

— Dziękuję, ordynansie — odpowiedział automatycznie. Wstał i poszedł do sterowni, otrząsając się po drodze z resztek snu. Lee szedł za nim, ale Donal nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki ordynans nie wcisnął mu do ręki kilku małych białych tabletek.

— Leki — powiedział.

Donal połknął je automatycznie. Bannerman pochylony nad tablicą sterowniczą zobaczył go, wstał i podszedł.

— Gotowi do pierwszego ćwiczebnego nalotu — zameldował. — Gdzie chciałby pan obserwować, na tablicy przyrządów czy w Oku?

Donal zauważył, że ustawiono dla niego fotele w obu miejscach.

— W Oku — zdecydował. — Lee, możesz zająć tamten drugi fotel, bo zdaje się, że nie ma żadnego dla ciebie.

— Kapitanie. . .

— Wiem, Bannerman — uspokoił go Donal. — Powinienem wspomnieć, że chcę mieć przy sobie ordynansa. Przepraszam.

— Nie ma za co, sir.

Bannerman odszedł i usadowił się w swoim fotelu. Lee poszedł w jego ślady. Donal całą uwagę skupił na Oku.

Pięć statków znajdowało się w jednej linii w otchłani kosmosu, w odległości tysiąca kilometrów od siebie. Spojrzał na ich równy szyk i powiększył obraz. Pomimo oddalenia, przy którym nawet najbliższe rzeczy powinny być niewidoczne, ujawniły się szczegóły przekazane przez Oko.

— Sir — odezwał się Bannerman, a jego cichy głos z łatwością niósł się przez sterownię. — Kiedy wykonamy przejście fazowe, mikrofilm z biblioteki zastąpi obraz w Oku, tak że będzie mógł pan zobaczyć nasz atak.

— Dziękuję, kapitanie.

— Przejście fazowe za dziesięć sekund. . .

Odliczanie przypominało tykanie zegarka. Potem nastąpił skok. I nagle Donal sunął tuż nad planetą, zaledwie pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od jej powierzchni.

— Ognia. . . ognia. . . — powtarzał głos dobiegający z sufitu sterowni.

I ponownie to niemożliwe do opisanie uczucie rozpadania się, a potem powstawania na nowo. Planeta zniknęła i znowu znajdowali się w podprzestrzeni.

Donal popatrzył na cztery pozostałe statki w szyku. Nagle prowadzący gdzieś przepadł. Reszta wisiała w tym samym miejscu pozornie bez ruchu. W sterowni panowała zupełna cisza. Mijały sekundy, przechodziły w minuty. Minuty ciągnęły się. Nagle... statek pojawił się przed nimi. Donal spojrział w tył na pozostałe trzy. Były już tylko dwa.

Nalot trwał, dopóki wszystkie statki nie wykonały manewru.

— Jeszcze raz — rozkazał Donal. Powtórzyli całą operację. Poszła całkiem gładko.

— Odpoczynek — zarządził Donal wstając z fotela. — Kapitanie, niech pan przekaże do wszystkich statków, że załoga ma teraz pół godziny przerwy. Proszę dopilnować, żeby wszyscy się najedli, odpoczęli i dostali tabletki. Niech każdy otrzyma dodatkowe leki, które weźmie w razie potrzeby. Potem chciałbym z panem porozmawiać osobiście.

Kiedy Bannerman wykonał rozkazy i podszedł, Donal wziął go na bok.

— Jakie są reakcje ludzi? — zapytał.

— Świetne, kapitanie — odpowiedział Bannerman i Donal z zaskoczeniem usłyszał w jego głosie szczery entuzjazm. — Mamy dobre załogi. Dobrze wyszkolone i doświadczone.

— Miło mi to słyszeć — powiedział Donal z wdzięcznością. — A teraz, jeśli chodzi o odstęp czasowy...

— Dokładnie pięć minut, sir. — Bannerman spojrział na niego pytająco. — Możemy go skrócić jeszcze lub wydłużyć, o ile pan sobie życzy.

— Nie — powiedział Donal. — Chciałem tylko wiedzieć. Ma pan skafandry dla mnie i dla mojego ordynansa?

— Zaraz przyniosą z magazynu.

Pół godziny minęło szybko. Kiedy zajęli miejsca w fotelach i zapięli pasy, Donal zauważył, że na chronometrze na ścianie sterowni jest dwudziesta trzecia dziesiątka, a pół godziny miało minąć o dwudziestej trzeciej dwanaście.

— Ruszamy o dwudziestej trzeciej piętnaście — wydał rozkaz Bannermanowi. Przekazano go pozostałym statkom. Wszyscy byli w skafandrach, czekając w swoich fotelach i na swoich stanowiskach. Donal poczuł w ustach dziwny metaliczny posmak, a na skórze powoli zaczął mu występować pot.

— Połączcie mnie ze wszystkimi statkami — powiedział. Nastąpiło kilka sekund przerwy, po czym trzeci oficer odezwał się z nad pulpitu sterowniczego:

— Ma pan połączenie, sir.

— Żołnierze — zaczął Donal. — Tu kapitan Graeme. — Zrobił przerwę. Nie miał pojęcia, co zamierzał powiedzieć. Pod wpływem impulsu poprosił o połączenie, żeby przełamać napięcie ostatnich kilku chwil, które musiało ciążyć wszystkim tak jak jemu. — Powiem wam jedną rzecz. To będzie coś, czego Newton nigdy nie zapomni. Powodzenia. To wszystko.

Zasygnalizował trzeciemu oficerowi, żeby go rozłączył, i spojrzął na zegar. Przez statek przebiegło ciche brzęczenie. Była dwudziesta trzecia piętnaście.

Dowódca podpatrolu II

Newton nigdy nie miał zapomnieć.

Na świat ustępujący jedynie Wenus w osiągnięciach technicznych — a niektórzy twierdzili, że dorównujący jej — na świat obfitujący w dobra materialne, pyszniący się wiedzą i w błogim zadowoleniu podziwiający swoją liczną armię — padł cień najeźdźcy. W jednej chwili jego mieszkańcy byli bezpieczni jak zawsze, za pierścieniem dziewięćdziesięciu statków krążących na orbicie... a w następnej spadły na nich nieprzyjacielskie maszyny, atakując planetę ze wszystkich stron i bombardując... czym?

Nie, Newton nigdy nie miał zapomnieć. Ale to była przyszłość.

Dla ludzi w pięciu statkach liczyło się tylko tu i teraz. Pierwszy nalot na bogaty świat poniżej wydawał się zaledwie kolejnym ćwiczeniem. Dziewięćdziesiąt statków było na swoich miejscach, podobnie jak cała chmara innych jednostek. Zarejestrowały je — a przynajmniej te, których nie przesłaniała tarcza planety — przyrządy statków freilandzkich. I to było wszystko. Nawet drugi nalot odbył się prawie bez incydentów. Zanim prowadzący statek Donal rozpoczął trzeci atak, Newton zaczął brzęczeć jak gniazdo rozszoszczonych szerszeni.

Pot spływał Donalowi po twarzy, kiedy przedarli się w pobliże planety. Napięcie nie było jedyną tego przyczyną. Fizyczny szok wywołany pięcioma przejściami fazowymi dawał o sobie znać. W połowie lotu nagłe ostre drżenie wstrząsnęło ich małym światem o białych ścianach, jakim była sterownia, ale statek leciał dalej, jakby nie poniósł żadnego szwanku. Wystrzelił drugą torpedę i bezpiecznie zanurkował w szóste przejście fazowe.

— Zniszczenia?! — zawołał Donal i ze zdziwieniem zarejestrował kraczące brzmienie swego głosu. Przełknął ślinę i zapytał ponownie, już normalniejszym, kontrolowanym tonem: — Zniszczenia?

— Żadnych zniszczeń — odpowiedział szybko oficer przy pulpicie sterowniczym. — Bliska eksplozja.

Donal z powrotem wbił wzrok w scenę rozgrywającą się w Oku. Pojawił się drugi statek. Potem trzeci. Czwarty. Piąty.

— Tym razem atakujemy dwoma statkami! — rozkazał ochryple Donal.

Nastąpiła minuta lub dwie ciszy, a potem przyprawiające o mdłości szarpnięcie kolejnego przejścia fazowego.

W Oku, w którym obraz raptem powiększył się, Donal zobaczył dwa newtoniańskie statki, jeden lecący w kierunku planety, a drugi na prawo od linii ataku, który właśnie rozpoczęli.

— Obrona. . . — zaczął Donal, ale obsługa dział nie czekała na rozkaz. Komputery były rozgrzane, namiary dokonane. Na jego oczach newtoniański statek, lecący przed nimi w tej samej płaszczyźnie, rozprysnął się jak przekłuty balon i został z tyłu.

Następne przejście fazowe.

* * *

Przez chwilę pomieszczenie wirowało Donalowi w oczach. Poczł nagły przyływ mdłości, a tuż potem usłyszał, jak ktoś wymiotuje przy pulpicie. Zmusił się do gniewu, żeby zwalczyć nudności.

To jest w twoim umyśle. . . to wszystko jest w twoim umyśle — powtarzał jak zakłęcie. Pokój znieruchomiał, a mdłości trochę ustąpiły.

— Czas. . . — To Bannerman wołał przerywanym głosem. Donal zamrugał i spróbował skoncentrować się na scenie rozgrywającej się w Oku. Cierpki zapach własnego potu uderzył go w nozdrza. . . albo pomieszczenie było przesiąknięte odorem spoconych ciał?

Zdołał dostrzec w Oku, że cztery statki zakończyły ostatni nalot. Wreszcie pojawił się ostatni.

— Jeszcze raz! — krzyknął ochryple. — Tym razem niżej. — Od strony pulpitu dobiegło jakby zdławione łkanie. Ale Donal rozmyślnie nie obejrzał się. Nie chciał wiedzieć czyje.

Kolejne przejście fazowe.

Zamglona planeta w dole. Ostre szarpnięcie. Kolejne.

Następny skok.

Sterownia. . . pełna mgły? Nie. . . to tylko jego oczy. Zamrugaj. Nie poddawaj się nudnościom.

— Zniszczenia?

Brak odpowiedzi.

Uszkodzenie!

— . . . lekkie trafienie. Na rufie. Uszczelnione. . .

— Jeszcze raz.

— Kapitanie — głos Bannermana — nie damy już rady. Jeden z naszych statków. . .

Sprawdź w Oku. Tańczące obrazy. . . rozmywające się. . . tak, tylko cztery statki.

— Który?
— Myślę, że... — ciężko dyszący Bannerman. — Mendez.
— Jeszcze raz.
— Kapitanie, nie może pan wymagać...
— Daj mi połączenie. — Pauza. — Słyszysz mnie? Daj mi połączenie.
— Połączenie... — głos jakiegoś oficera. — Ma pan połączenie, kapitanie.
— Dobrze. Tu kapitan Graeme. — Krakanie i skrzek. Czy to jego głos? —
Wzywam ochotników... jeszcze jeden rajd. Tylko ochotnicy. Kto leci, niech się zgłosi.

Długa przerwa.
— *Shai Dorsai!*
— *Shai el Man!*... Jeszcze ktoś?
— Sir. — Bannerman. — Pozostałe dwa statki nie zgłaszają się.
Zerknięcie w Oko. Koncentracja. To prawda. Dwa z trzech statków wyłamują się z szyku.

— Więc tylko nasze dwa, Bannerman?
— Według rozkazu — krakanie — sir.
— Wykonać nalot.

Oczekiwanie...

Przejsście fazowe!

Planeta, wirowanie, wstrząs... czerń. Nie mogę teraz zemdleć...

— Pociągnij! — Cisza. — Bannerman!

Słaba odpowiedź: — Tak, sir.

PRZEJŚCIE FAZOWE.

Ciemność...

* * *

— ... Wstawaj!

Charczący, przejmujący szept dobiegł uszu Donala. Z zamkniętymi oczami zastanawiał się, skąd dochodzi. Usłyszał go znowu i jeszcze raz. Powoli dotarło do niego, że mówi sam do siebie.

Z wysiłkiem otworzył oczy.

W sterowni panowała śmiertelna cisza. W Oku przed nimi widać było trzy sylwetki statków w pełnym powiększeniu, jeden daleko od drugiego. Zdrętwiały mi palcami zaczął gmerać przy pasach, którymi był przypięty. Odpiął je po kolei, zsunął się z fotela i upadł na kolana.

Chwiejnie wstał i zataczając się ruszył w stronę pięciu foteli przy pulpicie sterowniczym.

W czterech zwieszali się bezwładnie trzej nieprzytomni oficerowie i Bannerman. Trzeci z oficerów wyglądał raczej na martwego. Miał kredowobiałą twarz i wydawało się, że nie oddycha. Wszyscy czterej wcześniej wymiotowali.

W piątym fotelu Lee skrecony wisiał na pasach. Nie stracił przytomności. Miał szeroko otwarte oczy, a z kącika ust ciekła mu strużka krwi. Najwyraźniej próbował na siłę wyrwać się z pasów, jak bezmyślne zwierzę, i pójść prosto do Donala. Mimo to w jego oczach nie było szaleństwa, lecz nienaturalna nieruchomość spojrzenia utkwionego w jednym punkcie. Kiedy Donal się zbliżył, Lee próbował coś powiedzieć. Udało mu się jednak wydobyć z siebie tylko zduszony dźwięk, a z kącika ust popłynęło mu więcej krwi.

— Jest pan cały? — wymamrotał w końcu.

— Tak — wychrypiął Donal. — Uwolnię cię zaraz. Co ci się stało?

— Ugryzłem się w język... — odpowiedział Lee bełkotliwie. — Wszystko w porządku.

Donal odpiął pasy, a potem wyciągnął ręce i otworzył Lee usta. Musiał użyć do tego sporo siły. Popłynęło jeszcze trochę krwi, ale Donal mógł zajrzeć do środka. Lee miał odgryziony kawałek języka.

— Nic nie mów — polecił Donal. — Nie poruszaj nim, dopóki ci go nie opatrzą.

Lee skinął głową bez żadnych oznak emocji i zaczął i z trudem gramolić się z fotela.

Zanim udało mu się z niego wydostać, Donal uwolnił; z pasów nieruchome ciało trzeciego z oficerów. Wyciągnął mężczyznę z fotela i położył na podłodze. Nie wyczuł bicia serca. Spróbował zastosować sztuczne oddychanie, ale przy pierwszym wysiłku zakręciło mu się w głowie i musiał przestać. Wolno wyprostował się i zaczął rozpinać pasy Bannermana.

— Zajmij się drugim, jeśli czujesz się na siłach — polecił ordynansowi. Lee chwiejnym krokiem podszedł do drugiego oficera i zaczął rozpinać mu pasy.

Na podłodze między nimi leżało już trzech Freilandczyków ze zdjętymi hełmami. Bannerman i drugi oficer zaczynali odzyskiwać przytomność i Donal zostawił ich, żeby jeszcze raz spróbować sztucznego oddychania u trzeciego oficera. Ale kiedy dotknął ciała, przekonał się, że już zaczynało stygnąć.

Odwrócił się i zajął pierwszym oficerem, który nadal leżał nieprzytomny. Po chwili mężczyzna zaczął oddychać głębiej i równomierniej. Otworzył oczy, ale jasne było, że nie widzi nikogo ani nie wie, gdzie się znajduje. Wpatrywał się w pulpity sterownicze pustym wzrokiem jak człowiek oszołomiony narkotykiem.

— Jak się czujesz? — zapytał Donal Bannermana.

Freilandzki kapitan chrząknął i zrobił wysiłek, by unieść się na łokciu. Donal pomógł mu. Obaj z Lee wzięli go między siebie i unieśli do pozycji siedzącej, potem pomogli mu uklęknąć, a wreszcie — podsuwając pod plecy fotel — wstać.

Gdy tylko Bannerman otworzył oczy, od razu skierował je na pulpit sterowniczy. Bez słowa opadł na swój fotel i niezdarnie zaczął przyciskać guziki.

— Wszystkie sekcje statku — zakrakał do mikrofonu przed sobą. — Meldować się.

Nie było żadnej odpowiedzi.

— Meldować się — powtórzył. Palcem wskazującym nacisnął kolejny guzik i przez cały statek przebiegło głośne metaliczne brzęczenie dzwonka alarmowego.

Kiedy ucichło, z głośnika dobiegł słaby głos:

— Zgłasza się czwarta sekcja strzelecka, sir. . .

Bitwa nad Newtonem skończyła się.

Bohater

Syriusz właśnie zaszedł, a mała, jasna tarcza jego towarzysza, białego karta, dla którego mieszkańcy Freilandii i Nowej Ziemi mieli wiele niepochlebnych określeń, pokazała się za oknem sypialni Donala. Siedział skąpany we wpadającym do pokoju świetle, ubrany jedynie w sportowe spodenki, przeglądając interesujące wiadomości, które nadeszły od czasu wyprawy na Newtona.

Był tym tak pochłonięty, że nie zwracał na nic uwagi, dopóki Lee nie poklepał go po opalonym na brąz ramieniu. — Czas ubrać się na przyjęcie — powiedział. Przez ramię miał przewieszzone mundurowe spodnie i marynarkę, skrojone na wzór freilandzki. Na mundurze nie było żadnych dystynkcji. — Mam dla pana kilka nowin. Po pierwsze, ona tu znowu jest.

Donal zmarszczył czoło, zakładając mundur. Elvine wpadła na pomysł, że musi go pielęgnować w okresie rekonwalescencji. Doszła do wygodnego dla siebie wniosku, że Donal nadal odczuwa psychiczne skutki przedawkowania przejść fazowych. Wbrew opinii lekarzy i samego Donala z uporem obstawała przy swoim, aż w końcu zaczął się zastanawiać, czy nie wolałby przejść fazowych. Czoło szybko mu się jednak rozpozodziło. — Myślę, że to się skończy — powiedział. — Co jeszcze?

— Ten William z Cety, który tak pana interesuje — odpowiedział Lee. — Będzie na przyjęciu.

Donal odwrócił głowę i spojrzał badawczo na ordynansa. Ale Lee jedynie przekazywał wiadomości. Koścista twarz pozbawiona była wyrazu, nawet tych drobnych oznak, które Donal nauczył się z niej odczytywać w ciągu minionych tygodni.

— Kto ci powiedział, że interesuję się Williamem? — zapytał.

— Przysłuchuje się pan, kiedy ludzie rozmawiają o nim — odparł Lee. — Może nie powinienem był wspominać?

— Nie, wszystko w porządku — uspokoił go Donal. — Chcę, żebyś przekazywał mi wszystko, czego się o nim dowiesz. Nie przypuszczałem, że tak uważnie potrafisz obserwować.

Lee wzruszył ramionami. Podał Donalowi marynarkę.

— Skąd przyleci? — zapytał Donal.

— Z Wenus — powiedział Lee. — Ma ze sobą Newtończyka. . . dużego, młodego pijaka o nazwisku Montor. I dziewczynę. . . jedną z Exotików.

— Wybranekę z Kultis?

— Właśnie.

— Co oni tutaj robią?

— On jest na samym szczycie — odparł Lee. — Czy jest teraz na Freilandii ktoś, kto nie przyjdzie na pańskie przyjęcie?

Donal znowu zmarszczył czoło. Prawie udało mu się zapomnieć, że to na jego cześć zbierze się tu dzisiaj kilkaset znanych osób. O, nie żeby oczekiwano od niego, że postara się wszystkim zaimponować. Według tutejszych reguł towarzyskich traktowanie kogoś, jakby był wybitną osobistością — to znaczy wyrażanie tego w bezpośredni sposób — uważano za nieuprzejme. Okazywało się szacunek człowiekowi, przyjmując jego gościnność — tak mówiła teoria.

A ponieważ Donal miał niewielkie możliwości wykazania się gościnnością, marszałek wziął to na siebie. Mimo wszystko tego rodzaju uroczystość była przeciwna naturze Donala.

Odłożył sprawę na bok i zaczął myśleć o Williamie. Gdyby ten człowiek przypadkiem odwiedził Freilandię, nie do pomyslenia byłoby, żeby go nie zaproszono, i mało prawdopodobne, by odmówił przyjścia. To mogło być właśnie tak. Może — myślał Donal ze znużeniem nietypowym dla swojego wieku — boję się cień. Ale ledwo jego umysł sformułował tę myśl, Donal wiedział, że to nieprawda. Jego odmienność odezwała się z jeszcze większą siłą po psychicznym wstrząsie spowodowanym licznymi przejściami fazowymi w czasie bitwy newtoniańskiej. Rzeczy, które przedtem widział nieostro, zaczęły teraz dla niego nabierać kształtu i treści. Zaczął się formować pewien wzór, z Williamem w centrum, i Donalowi nie podobało się to, co zobaczył.

— Przekaż mi wszystko, czego zdołasz dowiedzieć się o Williamie — powtórzył.

— Dobrze — odparł Lee. — A o Newtończyku?

— I o dziewczynie od Exotików. — Donal skończył się ubierać i tylną pochylnią udał się do gabinetu marszałka. Oprócz niego i Elvine zastał tam gości — Williama i Aneę.

* * *

— Wejdz, Donalu! — zawołał Galt, kiedy tamten zawahał się w drzwiach. — Pamiętaj o Williamie i Aneę!

— Mało prawdopodobne, żebym zapomniał.

Donal podszedł i przywitał się z przybyłymi. Uśmiech Williama był ciepły, a uścisk dłoni mocny. Ale Anea szybko wyrwała zimną dłoń z ręki Dona-

la i uśmiechnęła się tylko dla formy. Donal zauważył, że Elvine obserwuje ich uważnie, i w jego umyśle obudziła się czujność.

— Oczekiwałem chwili, kiedy znowu cię zobaczę — powiedział William. — Winien ci jestem przeprosiny, Donalu. Nie doceniłem twojego geniuszu.

— To żaden geniusz — zaprotestował Donal.

— Geniusz — upierał się William. — Skromność jest dla małych ludzi. — Uśmiechnął się szczerze. — Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że ta historia z Newtonem uczyniła cię supernową na militarnym firmamencie?

— Będę musiał uważać, żeby pańskie pochlebstwa nie uderzyły mi do głowy, księżę. — Donal również potrafił bawić się w dwuznaczności.

Pierwsza uwaga Williama prawie go uspokoiła. To nie wilki w ludzkiej skórze wprawiały go w zakłopotanie, lecz psy pasterskie, które zeszyły na złą drogę. Ludzie predestynowani do czegoś innego, a przez przypadek lub przewrotność zachowujący się wbrew swojej naturze. Możliwe — pomyślał — że to był powód, dla którego łatwiej mu przychodziło utrzymywać kontakty z mężczyznami niż z kobietami — byli mniej skłonni do oszukiwania samych siebie. W tej chwili jednak jego uwagę zwrócił przyspieszony oddech Anei.

— Jesteś skromny — powiedziała, ale delikatne rumieńce na jej zazwyczaj bladej twarzy oraz nieprzyjazne spojrzenie przeczyły tym słowom.

— Może to dlatego — odpowiedział lekkim tonem — że tak naprawdę nie wierzę, bym miał jakiś powód do okazywania skromności. Każdy mógłby zrobić na Newtonie to samo... i w istocie, dokonało tego kilkuset ludzi. Tych, którzy byli ze mną.

— Och, ale to był twój pomysł — wtrąciła Elvine.

Donal roześmiał się.

— W porządku — powiedział. — Jeśli chodzi o pomysł, przypiszę sobie tę zasługę.

— Proszę bardzo — odparła Anea.

— Cóż — włączył się Galt widząc, że sytuacja wymyka się spod kontroli. — Właśnie mieliśmy udać się na przyjęcie, Donalu. Pójdiesz z nami?

— Nie mogę się doczekać — odpowiedział Donal gładko.

Wyszli przez duże drzwi gabinetu i udali się do głównego holu rezydencji. Był już pełen gości, między którymi dryfowały stoliki uginające się od jedzenia i picia. Czteroosobowa grupka wtopiła się w tłum jak kropla substancji barwiącej rozpuszczająca się w szklance wody. Pozostali goście rozpoznawali, przechwytywali i zagarniali nowo przybyłych. W ciągu kilku sekund rozdzielono ich... oprócz Donala i Elvine, która zaborczo chwyciła go pod ramię, kiedy tylko wyszli z gabinetu. Wciągnęła go w zacisze małej wnęki.

— Więc to o tym marzyłeś! — powiedziała gwałtownie. — O niej!

— O niej? — uwolnił ramię. — Co się z tobą dzieje, Ev?

— Wiesz, kogo mam na myśli! — wybuchnęła. — Tę Wybrankę. To na niej ci zależy... choć nie wiem dlaczego. Nie ma w niej nic szczególnego. I nawet jeszcze nie jest dorosła.

Ochłódł raptem. A ona, zdając sobie nagle sprawę, że tym razem posunęła się za daleko, cofnęła się z przestachem. Starał się zapanować nad sobą, ale był to jeden z autentycznych napadów dorsajskiego gniewu, który odziedziczył po przodkach. Ręce i nogi miał zimne, widział wszystko z nienaturalną jasnością, umysł pracował jak niezależna maszyna ukryta gdzieś w jego wnętrzu. W tym momencie czuł w sobie chęć mordy. Balansował na jego krawędzi.

— Do widzenia, Ev — powiedział.

Znowu cofnęła się przed nim na sztywnych nogach o krok, potem jeszcze jeden, aż wreszcie odwróciła się i uciekła. Donal obejrzał się i zobaczył zaszokowane twarze stojących obok osób. Przeszył je spojrzeniem, aż rozstały się przed nim. Przeszedł między nimi przez cały hol, jak gdyby był sam.

Chodził w tę i z powrotem w samotności gabinetu marszałka, czekając, by opadł poziom adrenaliny, pobudzonej wskutek gwałtownej emocji. Wtem otworzyły się drzwi. Odwrócił się błyskawicznie, ale to był tylko Lee.

— Potrzebuje mnie pan? — zapytał ordynans.

Te trzy słowa przełamały czar. Napięcie nagle opadło. Donal wybuchnął śmiechem. Śmiał się długo i głośno, aż w oczach ordynansa pojawiło się najpierw zdumienie, a później coś w rodzaju strachu.

— Nie... nie... wszystko w porządku — wysapał Donal w końcu. Niechętnie dotykał ludzi, ale tym razem klepnął Lee po plecach, by go uspokoić, gdyż ten wyglądał na zmartwionego. — Zobaczymy, czy potrafisz zdobyć dla mnie drinka... trochę dorsajskiej whisky.

Lee wyszedł z pokoju i wrócił po paru sekundach ze szklaneczką w kształcie tulipana, zawierającą ze sto gramów brązowej whisky. Donal opróżnił ją do dna, czując w gardle przyjemne palenie.

— Dowiedziałeś się czegoś o Williamie? — Oddał szklaneczkę Lee.

Ordynans potrząsnął głową.

— Nie jestem zaskoczony — mruknął Donal. Zmarszczył brwi. — Widziałeś gdzieś ArDell Montora... tego Newtonczyka, który przyleciał z Williamem?

Lee skinął głową.

— Pokażesz mi, gdzie go mogę znaleźć?

Lee skinął ponownie. Poprowadził Donala na taras i krótszą drogą do biblioteki przez rozsuwaną ścianę. Tam, w jednym z wydzielonych kącików do czytania, znalazł ArDella siedzącego samotnie z butelką i kilkoma książkami.

— Dzięki, Lee — odprawił go Donal.

Ordynans zniknął. Donal podszedł i usiadł przy małym stoliku w niszy naprzeciwko ArDella i jego butelki.

— Witam — powiedział ArDell podnosząc wzrok. Nie był pijany ani trochę bardziej niż zwykle. — Miałem nadzieję, że porozmawiam z tobą.

— Dlaczego nie przyszedłeś do mojego pokoju? — zapytał Donal.

— Nie dało rady. — ArDell ponownie napełnił szklaneczkę, rozejrzał się po stole w poszukiwaniu innej i zobaczył tylko wazon z jakąś miejscową odmianą lilii. Wyrzucił je na podłogę, napełnił wazon i podał uprzejmie Donalowi.

— Nie, dziękuję — powiedział Graeme.

— Potrzyмай go jednak — poprosił ArDell. — Czuję się nieswojo, kiedy piję z człowiekiem, który nie pije. A poza tym łatwiej się stuknąć. — Spojrzał nagle na Donalę w jednym ze swoich nieoczekiwanych przeblysków trzeźwości i przenikliwości. — On znowu się tym zajmuje.

— William?

— A któż by inny? — ArDell napił się. — I co miałby robić z Projektem Blaine'em? — Potrząsnął głową. — To mężczyzna. I naukowiec. Wystarczy za dwóch takich jak my. Nie wyobrażam sobie, żeby William mógł wodzić Blaine'a za nos... ale jednak...

— Niestety — powiedział Donal — jesteśmy wszyscy do końca życia związani kontraktami ze swoim zawodem. A właśnie w tej dziedzinie błyszczy William.

— Ależ to nie ma sensu! — ArDell zakręcił szklaneczką. — Weź mnie. Dlaczego miałbyś chcieć mnie zniszczyć? Ale niszczy. — Zachichotał nagle. — Przestraszyłem go.

— Tak? — zapytał Donal. — W jaki sposób?

ArDell postukał w butelkę palcem wskazującym.

— Tym. Boi się, że mogę się wykończyć. Najwyraźniej tego nie chce.

— A wykończysz się? — spytał Donal bez ogródek. ArDell potrząsnął głową.

— Nie wiem. Czy mógłbym jeszcze z tego wyjść? To już pięć lat. Zacząłem rozmyślnie, żeby mu zrobić na złość... nawet nie lubiłem tego paskudztwa, podobnie jak ty. Teraz dziwię się. Powiem ci — nachylił się nad stolikiem — że mogą mnie oczywiście wyleczyć. Ale czy byłoby jeszcze coś ze mnie, gdyby nawet wyleczyli? Matematyka... to piękna rzecz. Piękna jak sztuka. Właśnie tak ją pamiętam, ale nie jestem pewien. Zupełnie nie jestem pewien. — Znowu potrząsnął głową. — Kiedy przychodzi czas, żeby to rzucić, potrzebujesz czegoś, co więcej znaczy dla ciebie. A nie wiem, czy praca jeszcze coś dla mnie znaczy.

— A co z Williamem? — zapytał Donal.

— Tak — powiedział ArDell wolno — jest jeszcze on. To mogłoby pomóc. Któregoś dnia zamierzam dowiedzieć się, dlaczego mi to zrobił. I wtedy...

— Do czego on zdaje się dążyć? — spytał Donal. — Mam na myśli tak ogólnie?

— Kto wie? — ArDell rozłożył ręce. — Interesy. Więcej interesów. Kontrakty... więcej kontraktów. Umowy ze wszystkimi rządami, udział w każdej sprawie. To jest nasz William.

— Tak — powiedział Donal. Odepchnął krzesło i wstał.
— Usiądź — poprosił ArDell. — Poczekaj i porozmawiaj. Nigdy nie posiedzisz spokojnie. Jak kocham pokój, jesteś jedynym człowiekiem między gwiazdami, z którym mogę rozmawiać, a ty nie chcesz posiedzieć spokojnie.
— Przykro mi — powiedział Donal. — Ale muszę zrobić kilka rzeczy. Może nadejdzie dzień, kiedy będziemy mogli usiąść i porozmawiać.
— Wątpię — mruknął ArDell. — Bardzo wątpię.

* * *

Donal zostawił go wpatrującego się w butelkę.
Ruszył w poszukiwaniu marszałka. Ale najpierw natknął się na Aneę stojącą samotnie na małym balkonie. Patrzyła w dół na hol. Jej twarz miała wyraz takiego zmęczenia i zarazem takiej tęsknoty, że widok ten poruszył go nagle i głęboko.
Zbliżył się do niej, a ona odwróciła się na odgłos jego kroków. Kiedy go zobaczyła, wyraz jej twarzy zmienił się.
— To znowu ty — powiedziała niezbyt przyjaznym tonem.
— Tak — odparł Donal szorstko. — Miałem zamiar poszukać cię później, ale to zbyt dobra okazja, żeby ją przepuścić.
— Zbyt dobra.
— Miałem na myśli, że jesteś sama... że mogę porozmawiać z tobą prywatnie — wyjaśnił Donal niecierpliwie.
Potrząsnęła głową.
— Nie mamy o czym rozmawiać — powiedziała.
— Nie mów głupstw — odparował Donal. — Oczywiście, że mamy o czym... o ile nie zrezygnowałaś ze swojej kampanii przeciwko Williamowi.
— No proszę! — Jej oczy rozbłyły zielonym płomieniem. — Za kogo się uważasz?! — krzyknęła z wściekłością. — Kto dał ci prawo wypowiadać się o tym, co robię?
— Jestem częściowo Marańczykiem po obu babkach — oświadczył. — Może dlatego czuję wobec ciebie odpowiedzialność.
— Nie wierzę! — zawołała. — W to, że jesteś częściowo Marańczykiem. Nie mógłby być Marańczykiem ktoś taki jak ty... — zawahała się szukając odpowiedniego słowa.
— No? — uśmiechnął się do niej dość posępnie. — Kto?
— Najemnik! — krzyknęła triumfalnie, znajdując w końcu słowo, które w jej interpretacji miało zranić go najbardziej.
Czuł się dotknięty i zły, ale udało mu się to ukryć. Ta dziewczyna potrafiła w dzieciennie łatwy sposób przebić się przez jego obronę, z czym nie mógł sobie poradzić taki człowiek jak William.

— Mniejsza z tym — powiedział. — Pytałem o ciebie i Williama. Mówiłem ci ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, żebyś nie próbowała intrygować przeciwko niemu. Czy posłuchałaś mojej rady?

— Cóż, z pewnością nie muszę odpowiadać na twoje pytanie — rzuciła mu prosto w twarz. — I nie odpowiem.

— A więc — stwierdził przejrzawszy ją nagle i prawdopodobnie zrekompensował sobie jej niezwykłą przenikliwość — posłuchałaś. Cieszę się z tego. — Odwrócił się, żeby odejść. — Zostawiam cię teraz.

— Zaczekaj! — krzyknęła. Donal obejrzał się. — Zrobiłam tak wcale nie ze względu na ciebie!

— Doprawdy?

O dziwo, spuściła oczy.

— No dobrze! — złagodniała. — Tak się złożyło, że pomyślałeś o tym samym co ja.

— Albo też to, co powiedziałem, było rozsądne — odparował — i ty z pewnością nie mogłaś tego nie dostrzec.

Znowu spojrzała na niego gniewnie.

— Więc on po prostu dalej będzie robił swoje... a ja mam być do niego uwiązana przez następne dziesięć lat... .

— Zostaw to mnie — uciął Donal.

Otworzyła usta.

— Tobie! — Była tak zaskoczona, że powiedziała to słabym głosem.

— Zajmę się tym.

— Ty! — zawołała. I tym razem zabrzmiało to całkiem inaczej. — Przeciwstawisz się takiemu człowiekowi jak William... — Urwała i odwróciła się. — Och! — powiedziała ze złością. — Nie rozumiem, dlaczego słucham cię, jakbyś rzeczywiście mówił prawdę. Przecież wiem, jaki jesteś.

— Nie masz pojęcia, jaki jestem! — odciął się zirytowany. — Dokonałem paru rzeczy od czasu, kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy.

— O tak — powiedziała — kazałeś zastrzelić człowieka i udawałeś, że bombardujesz planetę.

— Do widzenia — rzekł ze znużeniem i odwrócił się. Wyszedł przez drzwi balkonowe, opuszczając ją. Nie wiedział jednak, że nie zostawił jej pałającej słusznym oburzeniem i triumfem, jak się spodziewała, lecz zakłopotaną i skonsternowaną.

Przeszukał całą rezydencję i w końcu znalazł marszałka. Był sam w swoim gabinecie.

— Czy mogę wejść, sir? — zapytał w drzwiach.

— Oczywiście, oczywiście... — Galt spojrzał znad biurka. — Zamknij za sobą drzwi. Ciągłe tu zaglądną, myśląc, że to dodatkowa sala klubowa. Dlaczego nie zwrócą uwagi, że nie ma w niej wygodnych foteli i poduszek?

Donal zamknął za sobą drzwi i podszedł do biurka.

— O co chodzi, chłopcze? — zapytał marszałek. Podniósł potężną głowę i przyjrzał się bacznie Donalowi. — Co się stało?

— Parę rzeczy — przyznał Donal. Usiadł w wolnym fotelu przed biurkiem, który mu wskazał Galt. — Mogę zapytać, czy William przyszedł tu dzisiaj z zamiarem zrobienia z panem jakiegoś interesu?

— Możesz zapytać — odparł Galt, kładąc obie ręce na biurku — ale nie wiem, dlaczego miałbym ci odpowiedzieć.

— Oczywiście, nie musi pan — powiedział Donal. — Zakładając jednak, że to prawda, chciałbym wyrazić swoją opinię, że wyjątkowo nieroztropne byłoby obecnie robienie interesów z Ceta. . . a w szczególności z Williamem.

— A dlaczego taka jest twoja opinia? — zapytał Galt z zauważalną ironią w głosie.

Donal zawahał się.

— Sir — powiedział po chwili. — Chciałbym przypomnieć panu, że miałem rację na Harmonii i w sprawie Newtona, więc może także teraz mam rację.

* * *

Dla marszałka była to duża dawka impertynencji do przełknięcia, gdyż fakt, że Donal miał dwa razy rację, dowodził, że Galt mylił się dwukrotnie. . . po pierwsze, wyznaczając Hugh'a Kiliena na głównodowodzącego, a po drugie, oceniając powody lądowania Newtonczyków na Oriente. Ale będąc na tyle Dorsajem, by czuć drażliwość na punkcie swojej dumy, był nim też na tyle, by okazać się uczciwym.

— W porządku — powiedział. — William przyszedł z propozycją. Chce przejąć dużą część nadwyżki naszych sił lądowych, ale nie w celu przeprowadzenia określonej kampanii, lecz wynajęcia ich innym pracodawcom. Nadal byłyby to nasze wojska. Sprzeciwiłem się na tej podstawie, że konkurowałyby z nami na obcych rynkach, ale udowodnił mi, że suma, którą gotów jest zapłacić, pokryłaby zawiązką ewentualne straty. Nie rozumiałem również, jak zamierza osiągnąć przy tym własny zysk, ale najwyraźniej będzie szkolić żołnierzy w szczególnych specjalnościach, na co nie może pozwolić sobie planeta dążąca do równowagi sił. A Bóg wie, że Ceta jest wystarczająco duża, by szkolić w taki sposób, jak chce William, i że jej nieco mniejsza grawitacja również nie zaszkodzi. . . mam na myśli, naszym wojskom.

Z szuflady biurka wyjął fajkę i zaczął ją nabijać.

— Jakie masz obiekcje? — zapytał.

— Czy może mieć pan pewność, że nasze wojska nie zostaną wynajęte komuś, kto mógłby użyć ich przeciwko nam? — spytał Donal.

Grube palce Galta znieruchomiały nad fajką.

— Możemy domagać się gwarancji.

— A ile warte są gwarancje w takim przypadku jak ten? — zapytał Donal. — Człowiek, który ich udziela, czyli William, nie jest tym, który wykorzysta wojska przeciwko panu. Gdyby wynajęte freilandzkie wojska nagle zaatakowały freilandzką ziemię, mógłby pan zyskać zagwarantowaną sumę, a stracić planetę.

Galt zmarszczył brwi.

— Nadal nie rozumiem — powiedział — jaką korzyść miałby z tego William.

— Miałby — stwierdził Donal. — Gdyby to, co spodziewa się zyskać w wyniku bratobójczej walki Freilandczyków, było więcej warte niż suma gwarancji.

— Co by to mogło być?

Donal zawahał się, czy zdradzić swoje prywatne podejrzenia. Doszedł jednak do wniosku, że nie są na tyle mocne, by przedstawić je marszałkowi. W rzeczywistości mógłby nawet osłabić swoje argumenty.

— Nie wiem — odparł. — Ale myślę, że mądrzej byłoby nie ryzykować.

— Ha! — prychnął Galt i znowu wziął się do nabijania fajki. — Nie ty musisz odmówić temu człowiekowi... i usprawiedliwić swoją odmowę przed Sztabem i rządem.

— Nie proponuję, żeby pan odmówił od razu — powiedział Donal. — Sugeruję jedynie, żeby pan się wahał. Proszę powiedzieć, że według pana sytuacja międzygwiazdowa nie pozwala obecnie na zmniejszenie liczebności freilandzkich wojsk. Pańska reputacja wystarczy, by taka odpowiedź nie była kwestionowana.

— Tak... — Galt włożył fajkę do ust i zapalił w zamyśleniu — sądzę, że mogę działać na podstawie twojej opinii. Wiesz, Donalu, myślę, że powinieneś zostać przy mnie jako adiutant, bym w razie potrzeby mógł korzystać z twoich opinii.

Donal skrzywił się.

— Przykro mi, sir — rzekł. — Ale myślałem o ruszeniu się stąd... jeśli mnie pan zwolni.

Brwi Galta ściągnęły się nagle w grubą linię. Wyjął fajkę z ust.

— O — powiedział. — Ambitny, co?

— Po części — odparł Donal. — Ale po części... łatwiej mi będzie działać przeciwko Williamowi z pozycji wolnego strzelca.

Galt posłał mu długie, nieruchome spojrzenie.

— Na miły Bóg! — zachnął się. — Co ma znaczyć ta osobista wendeta przeciwko Williamowi?

— Boję się go — odpowiedział Donal.

— Zostaw go w spokoju, a i on z pewnością da ci spokój. Ma inne sprawy na głowie. — Galt urwał, wetknął fajkę do ust i mocno przygryzł cybuch.

— Obawiam się — powiedział Donal ze smutkiem — że są ludzie między gwiazdami, którzy nie zamierzają zostawić siebie nawzajem w spokoju. — Wyprostował się w fotelu. — Więc zwolni mnie pan?

— Nie będę zatrzymywał nikogo wbrew jego woli — burknął marszałek. — Chyba że sytuacja byłaby krytyczna. Dokąd masz zamiar się udać?

— Mam parę propozycji — odparł Donal. — Ale myślałem o przyjęciu oferty Rady Zjednoczonych Kościołów na Harmonii i Zjednoczeniu. Starszy Kościoła obiecał mi stanowisko głównodowodzącego wojsk obu Zaprzyjaźnionych.

— Starszy Bright? Usunął wszystkich dowódców, którzy mieli w sobie iskrę niezależności.

— Wiem — powiedział Donal. — I dlatego spodziewam się tym mocniej za-jaśnić. To powinno pomóc mi utrwalić swoją reputację.

— Do... — zamierzał zakląć Galt. — Ciągłe myślisz, nieprawdaż?

— Chyba ma pan rację — stwierdził Donal niezbyt wesoło. — Taki się urodziłem.

Głównodowodzący

Adiutant podszedł do biurka Donala, stukając obcasami wysokich czarnych butów po posadzce przestronnego gabinetu Kwatery Głównej na Harmonii.

— Specjalna, pilna i prywatna, sir. — Położył na biurku taśmę z niebieską pieczęcią.

— Dziękuję — powiedział Donal i odprawił go gestem ręki. Złamał pieczęć na taśmie, umieścił ją w urządzeniu stojącym na biurku i poczekawszy, aż adiutant opuści pokój, wcisnął guzik.

Z głośnika dobiegł niski głos ojca:

„Donalu, mój synu. . . Ucieszyliśmy się z twojej ostatniej taśmy i twoich sukcesów. W ciągu pięciu ostatnich pokoleń nikt w rodzinie nie dokonał tak wiele w tak krótkim czasie. Jesteśmy wszyscy szczęśliwi, modlimy się za ciebie i czekamy na wiadomości.

Zwracam się jednak teraz do ciebie z powodu nieszczęścia. Twój wuj, Kensie, pewnej nocy ponad miesiąc temu został zamordowany w zaułkach Blauvain na St. Marie przez miejscową antyrządową grupę terrorystyczną. Ianowi, który był oficerem w tej samej jednostce, udało się później odkryć w jakiejś uliczce siedzibę owej grupy i własnymi rękami zabić trzech terrorystów. To jednak nie przywróci Kensiemu życia. Był ulubieńcem nas wszystkich i jesteśmy wstrząśnięci jego śmiercią.

Obecnie jednak to Ian stanowi przyczynę naszej troski. Przywiózł do domu ciało Kensiego, odmawiając pochowania go na St. Marie, i jest tu z nami od kilku tygodni. Wiesz, że zawsze był ponurego usposobienia, podczas gdy Kensie zdawał się mieć w sobie dwa razy więcej pogody i radości niż przeciętny człowiek. Twoja matka mówi, że jest teraz tak, jakby Ian utracił swojego anioła stróża i został wydany na pastwę złych mocy, które zawsze miały na niego taki wpływ.

Nie mówi tego, oczywiście, w ten sposób. Przemawia przez nią kobieta i Maranka. . . ale przeżyłem z nią trzydzieści dwa lata i zdaję sobie sprawę, że ona lepiej ode mnie potrafi wejrzeć w duszę drugiego człowieka. W pewnym stopniu odziedzyczyłeś po niej ten dar, Donalu. Może więc lepiej zrozumiesz, co ona ma

na myśli. Tak czy inaczej, to na jej nalegania wysyłam ci tę wiadomość, chociaż i tak opowiedziałbym ci o śmierci Kensiego.

Jak wiesz, zawsze uważałem, że członkowie najbliższej rodziny nie powinni służyć w tej samej jednostce lub garnizonie, żeby uczucia rodzinne nie wpływały na wypełnianie obowiązków zawodowych. Ale twoja matka uważa, że Ian nie może siedzieć tu, tak jak teraz, w posępnym milczeniu, lecz musi znowu znaleźć się w akcji. I prosi mnie, żebym zapytał ciebie, czy nie znalazłbyś dla niego miejsca w swoim sztabie, gdzie będziesz mógł mieć na niego oko. Wiem, że dla was obu będzie to trudna sytuacja, gdyż Ian zostanie twoim podkomendnym, ale matka uważa, że obecnie byłoby to najlepsze wyjście.

Ian nie wyraził ochoty na powrót do aktywnego życia, ale posłuchałby mnie, gdybym porozmawiał z nim jako głowa rodziny. Twojemu bratu Morowi dobrze wiedzie się na Wenus; dostał ostatnio awans na komendanta. Matka namawia cię, żebyś napisał do niego, niezależnie od tego, czy on pisze, gdyż — mimo że jest starszy — może wahać się przed napisaniem do ciebie bez konkretnego powodu, biorąc pod uwagę, ile osiągnąłeś w tak krótkim czasie.

Kochamy cię. Eachan”.

Szpuła widoczna przez przezroczystą osłonę przestała się obracać. Echo głosu Eachana Khana Graeme’a zanikło między szarymi ścianami gabinetu. Donal siedział bez ruchu za biurkiem, na nic nie patrząc i wspominając Kensiego.

Kiedy tak siedział, wydało mu się dziwne, że może sobie przypomnieć tak niewiele konkretnych zdarzeń. Widział swoje dzieciństwo przepełnione obecnością uśmiechniętego wuja... a przecież Kensie nie bywał w domu zbyt często. Donalowi wydawało się, że będzie pamiętał poszczególne wyjazdy i przyjazdy Kensiego, ale zamiast tego we wspomnieniach utkwiła mu raczej jego wszechobecność, jakby jasność wypełniająca cały dom.

Donal westchnął. Wyglądało na to, że systematycznie gromadzi wokół siebie ludzi. Najpierw Lee. Potem, kiedy opuszczał Freilandię, el Man z pokrytą bliznami twarzą zapytał, czy może mu towarzyszyć. A teraz Ian. Cóż, Ian był dobrym oficerem, niezależnie od urazu, jaki spowodowała w nim śmierć brata bliźniaka. Donal z łatwością mógłby znaleźć miejsce dla niego. Właściwie mógłby go zatrzymać przy sobie.

Donal nacisnął guzik i pochylił się do mikrofonu urządzenia nagrywającego.

— Eachan Khan Graeme, rezydencja Graeme, Okręg Południowy, Kanton Foralie, Dorsaj — powiedział. — Miło mi było ciebie usłyszeć, chociaż sądzę, że wiesz, co czuję z powodu Kensiego. Poproś Iana, żeby bezzwłocznie do mnie przyjechał. Będę zaszczycony, mając go w swoim sztabie. Prawdę mówiąc, potrzebuję tutaj kogoś takiego. Większość oficerów, których odziedziczyłem jako głównodowodzący, została tak zastraszona przez Starszych Kościoła, że mały jest z nich pożytek. Wiem, że nie będę musiał martwić się o Iana pod tym względem.

Gdyby objął dowództwo nad moim programem szkoleniowym, wart by był w diamentach — naturalnych oczywiście — tyle, ile sam waży. Mógłbym mu również dać stanowisko w moim osobistym sztabie lub stanowisko dowódcy patrolu. Powiedz matce, że napiszę do Mora, ale list może być na razie dość ogólnikowy. Jestem teraz po uszy zagrzebany w pracy. To dobrzy oficerowie i żołnierze, ale tak dostawali po głowie za każde złe posunięcie, że teraz nawet nosa nie wydumchają bez rozkazu. Pozdrowienia dla wszystkich w domu. Donal.

Ponownie nacisnął guzik, kończąc nagrywanie i pieczętując taśmę do wysłania razem z resztą korespondencji wychodzącej codziennie z jego biura. Ciche brzęczenie od strony biurka przypomniało mu, że czas porozmawiać jeszcze raz ze Starszym Brightem. Wstał i wyszedł z gabinetu.

* * *

Szef wspólnego rządu dwóch zaprzyjaźnionych planet, Harmonii i Zjednoczenia, miał swoje biura w Centrum Rządowym, niecałe pięćset metrów od wojskowego centrum dowodzenia. Nie było to przypadkowe. Starszy Bright jako Wojujący lubił mieć oko na zbrojne ramię Prawdziwych Kościołów Bożych. Pracował właśnie przy biurku, ale wstał, kiedy wszedł Donal.

Podszedł przywitać się — wysoki, szczupły, cały ubrany na czarno, z barami rzezimieszka z ciemnej uliczki i oczami Torquemady, wielkiego inkwizytora starożytnej Hiszpanii.

— Bóg z tobą — powiedział. — Kto wydał rozkaz wyposażenia statków niższej klasy w osłony siatek do przejść fazowych?

— Ja — odparł Donal.

— Szasta pan kredytami. — Bright przysunął do Donala surową twarz człowieka w średnim wieku. — Dziesięcina od kościołów, dziesiąta część dziesięciny od członków Kościoła naszych dwóch biednych planet to wszystko, co mamy dla wsparcia interesów rządu. Jak pan sądzi, ile z tego możemy wydać na zachcianki i kaprysy?

— Wojna, sir — powiedział Donal — to nie kwestia zachcianek i kaprysów.

— Po co więc ochrona na siatki? — zapytał Bright sucho. — Czy narażone są na korozję w wilgotnej przestrzeni kosmicznej? Czy między gwiazdami dmuchnie wiatr i zwieje je?

— Osłona, a nie ochrona — sprostował Donal. — Chodzi o zmianę kształtu z „kuli i młota” na cylindryczny. Zabieram ze sobą statki pierwszych trzech klas. Chcę, żeby wszystkie wyglądały na statki pierwszej klasy, kiedy wyjdziemy z podprzestrzeni przed planetami Exotików.

— Dlaczego?

— Nasz atak na Zombri nie może być całkowitym zaskoczeniem — wyjaśnił Donal cierpliwie. — Mara i Kultis zdają sobie sprawę równie dobrze jak inni, że

z militarnego punktu widzenia Zombri jest narażony na atak. Jeśli pan pozwoli... — Minał Brighta, podszedł do biurka i nacisnął parę guzików. Na jednej z rozległych szarych ścian gabinetu pojawił się obraz systemu Procjona, z tarczą samej gwiazdy po lewej stronie. Pokazując palcem, Donal odczytywał nazwy planet w kolejności od lewej ku prawej. — Coby... Kultis... Mara... St. Marie. Równie zwartej grupy nadających się do zamieszkania planet prawdopodobnie nie odkryjemy w ciągu następnych dziesięciu pokoleń. I tylko dlatego, że są zamieszkane i leżą blisko siebie, mamy tę historię ze zbiegłym księżycem Zombri na ekscentrycznej orbicie leżącej w większej części między Marą i St. Marie...

— Robi mi pan wykład? — przerwał mu Bright szorstkim tonem.

— Tak — powiedział Donal. — Z mojego doświadczenia wynika, że ludzie mają skłonność do przeoczenia rzeczy, których nauczyli się najwcześniej, i sądzą, że znają je najlepiej. Zombri nie jest zamieszkany i zbyt mały, by przystosować go do życia typu ziemskiego. A jednak istnieje — jak koń trojański — i brakuje tylko współczesnych Achajów, którzy zagroziliby spokojowi Procjona...

— Dyskutowaliśmy o tym wcześniej — wtrącił Bright.

— I będziemy kontynuowali dyskusję — mówił dalej Donal — za każdym razem, kiedy pan zapyta o powód jakiegoś mojego rozkazu. Jak powiedziałem, Zombri to koń trojański miasta Procjon. Na nieszczęście w obecnym wieku nie możemy przemycić na niego ludzi. Możemy jednak wylądować niespodziewanie i spróbować umocnić się, zanim Exotikowie się zorientują. Musimy więc zrobić wszystko, żeby nasze lądowanie było szybkie i skuteczne. Oznacza to wylądowanie bez napotkania oporu, pomimo że regularne wojska Exotików niewątpliwie będą pilnowały Zombri. Najlepiej więc stworzyć wrażenie przeważających sił i odebrać miejscowym dowódcom ochotę na przeszkodzenie nam w lądowaniu. A żeby udawać siłę, należy pojawić się tam z trzy razy większą liczbą statków pierwszej klasy, niż mamy. Stąd osłony.

Donal przestał mówić, wrócił do biurka i nacisnął klawisze. Obraz zniknął.

— Bardzo dobrze — powiedział Bright. W tonie jego głosu nie było śladu poczucia porażki lub utraty pewności siebie. — Zatwierdzę rozkaz.

— Może — podchwycił Donal — zatwierdzi pan również inny rozkaz: żeby usunąć z moich statków i jednostek Strażników Sumienia.

— Heretycy... — zaczął Bright.

— Nie obchodzą mnie — przerwał Donal. — Moim zadaniem jest przygotowanie żołnierzy do akcji. Mam jednak pod rozkazami ponad sześćdziesiąt procent miejscowych wojsk, a ich morale wcale nie poprawiają średnio trzy procesy o herezję w ciągu tygodnia.

— To sprawa Kościoła — odparł Bright. — Czy jeszcze chciałby mnie pan o coś prosić, głównodowodzący?

— Tak — odpowiedział Donal. — Zamówiłem sprzęt górniczy. Jeszcze nie dotarł.

— Zamówienie było zbyt duże — stwierdził Bright. — Na Zombri nie będzie potrzeby kopania czegokolwiek oprócz stanowisk dowodzenia.

* * *

Donal patrzył przez dłuższą chwilę na ubranego na czarno mężczyznę. Jego biała twarz i białe dłonie, jedyne nie zakryte części ciała, wyglądały bardziej na sztuczne niż prawdziwe, jak maska i rękawiczki naciągnięte na jakąś czarną, obcą istotę.

— Zrozumiemy się — powiedział Donal. — Pomijając fakt, że nie rozkażę żołnierzom zająć odkrytych pozycji, narażając ich na pewną śmierć — niezależnie, czy są najemnikami czy pańskimi samobójczymi oddziałami — co pan chce osiągnąć poprzez ten ruch przeciwko Exotikom?

— Oni nam zagrażają — odparł Bright. — Są gorsi niż heretycy. Są legionem Szatana... zaprzeczają istnieniu Boga. — Oczy mężczyzny błyszczały jak lód w słońcu. — Musimy zbudować nad nimi wieżę strażniczą, żeby przestali nam zagrażać i żebyśmy mogli żyć bezpiecznie.

— W porządku — powiedział Donal. — Więc to już ustalone. Dam panu tę pańską wieżę strażniczą. A pan da mi żołnierzy i zamówiony sprzęt bez żadnych pytań i bez zwłoki. Te wahania pańskiego rządu już oznaczają, że polecę na Zombri z siłą o dziesięć lub piętnaście procent za małą.

— Co? — Bright ściągnął ciemne brwi. — Ma pan jeszcze dwa miesiące do Dnia Zero.

— Dzień Zero — powiedział Donal — jest na użytek wrogiego wywiadu. Wyruszamy za dwa tygodnie.

— Dwa tygodnie! — Bright spojrział na niego ze zdumieniem. — Nie możecie być gotowi za dwa tygodnie.

— Mam szczerą nadzieję, że Colmain i jego sztab generalny dla Mary i Kultis zgadzają się z panem — odparł Donal. — Mają najlepsze lądowe i kosmiczne wojska między gwiazdami.

— Jak to? — Twarz Brighta pobladła z gniewu. — Śmie pan twierdzić, że nasze wojska są gorsze?

— Znacznie lepiej jest stanąć wobec faktów niż wobec klęski — powiedział Donal ze znużeniem. — Tak, nasze wojska są zdecydowanie gorsze. Właśnie dlatego liczę bardziej na zaskoczenie niż na przygotowania.

— Żołnierze Kościoła są najdzielniejsi we wszechświecie! — krzyknął Bright. — Noszą zbroję sprawiedliwości i nigdy nie cofają się.

— Co wyjaśnia dużą liczbę ofiar wśród nich, stałą konieczność uzupełnień i ogólnie niższy poziom wykształcenia — przypomniał mu Donal. — Gotowość do oddania życia w walce niekoniecznie jest najwartościowszą cechą żołnierza.

Pańskie najemne oddziały, w których nie ma miejscowych uzupełnień, są zdecydowanie lepiej przygotowane obecnie do walki. Czy mogę od tej chwili liczyć na pańskie poparcie dla wszystkiego, co uznam za potrzebne?

Bright zawahał się. Wyraz fanatyzmu zniknął z jego twarzy, zastąpiony zamyśleniem. Kiedy się odezwał, ton jego głosu był chłodny i rzeczowy.

— Dla wszystkiego oprócz usunięcia Strażników Sumienia — odpowiedział. — Ostatecznie oni mają władzę tylko nad członkami naszego Kościoła. — Podszedł do swojego biurka. — Ponadto — powiedział nieco posepnie — może pan zauważył, że między wyznawcami poszczególnych Kościołów istnieją czasami drobne różnice zdań dotyczące dogmatów. Obecność Strażników Sumienia sprawia, że są mniej skłonni do sporów. . . a to, z pewnością pan przyzna, pomaga w utrzymywaniu wojskowej dyscypliny.

— Jest skuteczne — skwitował Donal. Odwrócił się, żeby odejść. — A przy okazji, sir — powiedział. — Prawdziwy Dzień Zero jest za dwa tygodnie od dzisiaj. Niezbędne jest zachowanie tej daty w tajemnicy. Zadbałem więc o to, by była znana tylko dwóm ludziom, i to aż do godziny przed startem.

Bright podniósł głowę.

— Kim jest ten drugi? — zapytał ostro.

— Pan, sir — odparł Donal. — Właśnie minutę temu podjąłem decyzję o prawdziwej dacie startu.

Mierzyli się wzrokiem przez dłuższą chwilę.

— Niech Bóg będzie z tobą — powiedział Bright zimnym tonem.

Donal wyszedł.

Głównodowodzący II

Geneve bar-Colmain był — jak powiedział Donal — dowódcą najlepszych sił lądowych i kosmicznych między gwiazdami. Stało się tak dlatego, że Exotikowie z Mary i Kultis, chociaż sami nie stosowali przemocy, byli na tyle mądrzy, by wynająć najsprawniejsze z istniejących wojsk. Sam Cohnain był jednym z najzdolniejszych dowódców swoich czasów, obok Galta z Freilandii, Kamala z Dorsaj, Isaaca z Wenus oraz przypadkowego sprawcy militarnych cudów — Dom Yena, najwyższego dowódcy na pojedynczej planecie Ceta, gdzie William sprawował władzę. Colmain miał swoje kłopoty — między innymi z młodą żoną, która już go nie kochała — i swoje wady — był hazardzistą, zarówno w sensie dosłownym, jak i wojskowym — ale nie wpływało to na pracę jego umysłu ani na pracę jego wywiadu z siedzibą w bazie operacyjnej na Marze.

W rezultacie Colmain zdawał sobie sprawę, że Zaprzyjaźnione światy przygotowują się do lądowania na Zombri w ciągu trzech tygodni od momentu podjęcia decyzji. Jego szpiedzy dokładnie poinformowali go o ustalonym Dniu Zero. On sam przygotował własne plany przywitania najeźdźców.

Pierwszy z nich polegał na wykopaniu zasadzek na Zombri. Oddziały desantowe miały wskoczyć w gniazdo szerszeni. W tym samym czasie statki Exotyków czekałyby niedaleko w pogotowiu. Ruszyłyby w chwili rozpoczęcia akcji na Zombri i zamknęły nieprzyjacielskie statki pierścieniem wokół księżycy. Atakujący zostaliby schwytani w dwa ognie: oddziały desantowe nie miałyby szansy okopać się, a statki byłyby pozbawione wsparcia, którego miały udzielić okopane na księżycu, dysponujące ciężkimi działami siły lądowe.

Prace nad kopaniem umocnień były już mocno zaawansowane tego dnia, kiedy w swojej bazie na Marze Colmain wraz ze Sztabem Generalnym wytyczał ostateczną strategię. Przerwało mu pojawienie się adiutanta, który wbiegł pośpiesznie do sali konferencyjnej, nie dopełniwszy wpierw formalności zapytania o pozwolenie.

— O co chodzi?! — ryknął Colmain, podnosząc znad rozłożonych planów nachmurzoną śniadą twarz, która mimo jego sześćdziesięciu lat była jeszcze na tyle przystojna, by powodzeniem u innych kobiet zrekompensować mu brak zainteresowania ze strony własnej żony.

— Sir — powiedział adiutant — Zombri został zaatakowany. . .
— Co? — Colmain zerwał się na równe nogi, a za nim reszta szefów Sztabu.
— Ponad dwieście statków, sir. Dostaliśmy właśnie meldunek. — Adiutantowi trochę łamał się głos. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat. — Nasi żołnierze na Zombri walczą, jak mogą. . .
— Walczą? — Colmain zrobił gwałtowny krok w stronę adiutanta, niemal jakby uważał go za osobiście odpowiedzialnego. — Czy oddziały desantowe zaczęły już lądować?
— Już wylądowały, sir. . .
— Ile?
— Nie wiemy, sir. . .
— Zakute łby! Ile statków zrzuciło desant?
— Żaden, sir. — Adiutant stracił oddech. — Nie zrzucili żadnych ludzi. Wszyscy wylądowali.
— Wylądowali?

* * *

Przez ułamek sekundy w długiej sali narad panowała zupełna cisza.
— Chcesz mi powiedzieć. . . — wrzasnął Colmain — że dwieście statków pierwszej klasy wylądowało na Zombri?!
— Tak, sir — głos adiutanta przeszedł prawie w pisk. — Wypierają nasze oddziały i okopują się. . .
Nie miał okazji dokończyć. Colmain odwrócił się błyskawicznie do swoich oficerów operacyjnych i dowódców patroli.
— Psiakrew! — zawył. — Wywiad!
— Sir? — odezwał się freilandski oficer siedzący w połowie długości stołu.
— Co to ma znaczyć?
— Sir. . . — wyjąkał oficer. — Nie wiem, jak to się stało. Ostatnie raporty z Harmonii sprzed trzech dni. . .
— Do diabła z ostatnimi raportami. Chcę mieć w ciągu pięciu godzin wszystkie statki i wszystkich ludzi, których możemy wysłać w przestrzeń! Chcę, żeby wszystkie statki patrolowe dowolnej klasy ze wszystkimi ludźmi, jakich zdołamy zebrać, znalazły się w okolicy Zombri za dziesięć godzin. Ruszać się!
Sztab Generalny Exotyków wziął się do działania.
Tylko klasie sił zbrojnych, którymi dowodził Colmain, należało zawdzięczać wykonanie takich rozkazów w ciągu zaledwie dziesięciu godzin. Fakt, że czterysta statków wszystkich klas z kompletem załóg i oddziałów szturmowych stawiało się w wyznaczonym miejscu, zakrawał na mały cud.
Colmain i jego dowódcy patrzyli na księżyc przesuwający się w Oku Kontrolnym na pokładzie statku flagowego.

Jeszcze trzy godziny temu napływały meldunki o walkach toczących się na dole. Obecna cisza wymownie świadczyła o pokonaniu wojsk Colmaina. Ponadto obserwatorzy donosili o kolejnych stu pięćdziesięciu nowo wywierconych w skorupie księżycy otworach, oprócz tych, które wykonały wcześniej oddziały Exotyków.

— Są w nich — powiedział Colmain — statki i ludzie.

Teraz kiedy minął pierwszy szok, był znowu opanowanym i zdolnym dowódcą. Znalazł nawet czas, by zanotować sobie w pamięci, że musi spotkać się z tym Dorsajem, Graeme'em. Stanowisko najwyższego dowódcy zawsze było łakomym kąskiem dla błyskotliwego młodzieńca, ale z czasem przekona się, że Zjednoczona Rada Kościołów to trudny pracodawca. . . a ujemne strony pozostawiania podkomendnym samego Colmaina mogłaby zrekompensować wysokość poborów, jakie Exotikowie zawsze byli gotowi płacić. Jeśli chodzi o obecną sytuację, Colmain nie widział powodu do strachu, lecz jedynie do pośpiechu. Stało się już oczywiste, że Graeme postawił wszystko na jedno śmiałe posunięcie. Liczył na zaskoczenie, dzięki któremu mógłby wylądować na księżycu i umocnić się na tyle, by koszty usunięcia go stamtąd były zbyt wysokie. . . zanim dotarłyby posiłki.

Pomylił się jednak — ale Colmain w pełni go docenił, pomimo tego jednego błędu — źle obliczając czas, jaki zabierze Colmainowi zgromadzenie wszystkich sił odwetowych. I nawet ten błąd był wybaczymy. Na wszystkich znanych światach nie istniało inne wojsko, które mogłoby się przygotować do walki w czasie trzykrotnie krótszym niż normalnie.

— Ruszamy — powiedział Colmain. — Wszyscy. . . Rozstrzygniemy to przez walkę tam na dole. — Rozejrzył się po oficerach. — Jakież komentarze?

— Sir — odezwał się dowódca Niebieskiego Patrołu — nie moglibyśmy poczekać tu na nich?

— Chyba nie myśli pan tego poważnie — powiedział Colmain dobrodusznie. — Nie przylatywaliby do naszego systemu i nie okopywali się, nie będąc w pełni przygotowani do pozostania tu tak długo, żeby utworzyć wysuniętą placówkę, której nie zdołamy odbić. — Potrząsnął głową. — Czas działać teraz, panowie, zanim infekcja rozprzestrzeni się. Wszystkie statki wylądują. . . — nawet te, na których nie ma oddziałów desantowych. Będziemy walczyli z nimi jak z wojskami lądowymi.

Oficerowie zaszalutowali i wyszli, żeby wykonać rozkazy.

* * *

Flota Exotyków spadła na Zombri jak szarańcza na sad. Colmain, przemierzając dużymi krokami sterownię statku flagowego, uśmiechał się coraz szerzej, w miarę jak napływały meldunki o oczyszczaniu umocnień z freilandzkich wojsk

oraz szybkim poddawaniu się statków ukrytych w głębokich szybach, wykopanych w tym celu sprzętem górniczym. Oddziały najeźdźców padały jak ołowiane żołnierzyki, a opinia Colmaina o ich dowódcy — która skoczyła w górę na pierwszą wiadomość o ataku — zaczęła zdecydowanie zmieniać się na gorszą. Co innego jest zagrać śmiało, a co innego zagrać głupio. Sądząc po morale i wyszkoleniu wojsk Zaprzyjaźnionych, szansę powodzenia niespodziewanego ataku i tak były niewielkie. Ten Graeme powinien był trochę więcej czasu poświęcić na szkolenie swoich żołnierzy, a mniej na wymyślanie dramatycznych akcji. Tego — pomyślał Colmain — można się było spodziewać po młodym dowódcy obejmującym po raz pierwszy w życiu najwyższe stanowisko.

Już odczuwał przyjemne ciepło na myśl o spodziewanym zwycięstwie, kiedy nagle wszystko brutalnie legło w gruzach. Z głośnika dobiegł świst, a potem głosy dwóch oficerów mówiących jednocześnie:

— Sir, nie zidentyfikowane wezwanie od...

— Sir, statki nad nami...

Colmain, który w Oku Kontrolnym obserwował powierzchnię Zombri, uderzył gwałtownie w klawisze. Obraz zawirował, po czym znieruchomiał nagle, przedstawiając w pełnym powiększeniu statek pierwszej klasy z łatwym do rozpoznania oznakowaniem Zaprzyjaźnionych. Nie dowierzając własnym oczom, Colmain zwiększył zasięg i w jednej chwili zobaczył ponad dwadzieścia podobnych statków na orbicie wokół Zombri, i to tylko w ograniczonym polu widzenia Oka.

— Kto to?! — krzyknął zwracając się do oficera, który pierwszy złożył meldunek.

— Sir... — głos oficera brzmiał niepewnie — on mówi, że jest dowódcą Zaprzyjaźnionych.

— Co?

Colmain uderzył pięścią w przyciski obok przyrządów kontrolnych Oka. Ekran ściany rozświetlił się i ukazał szczupłego młodego Dorsaja o dziwnych oczach nieokreślonego koloru.

— Graeme! — ryknął Colmain. — Co to za imitacja floty, którą chcesz mnie zwieść?

— Niech pan spojrzy jeszcze raz, komandorze — odparł młody mężczyzna. — Te imitacje wydostają się właśnie z szybów na powierzchni księżyca obok pana. To moje statki niższej klasy. Jak pan myśli, dlaczego tak łatwo było je zdobyć? Tu są moje statki pierwszej klasy... sto osiemdziesiąt trzy.

Colmain wcisnął guzik i zgasił ekran. Odwrócił się do swoich oficerów przy pulpicie sterowniczym.

— Meldunki!

Ale oficerowie już byli zajęci. Napływały potwierdzenia. Wydostano pierwsze z atakujących statków, które okazały się jednostkami niższej klasy z osłonami wokół urządzeń do przejść fazowych, słabo uzbrojonymi i jeszcze słabiej opancerzo-

nymi. Colmain ponownie odwrócił się do ekranu, włączył go i zobaczył Donalą, który czekał w tej samej pozycji.

— Spotkamy się na górze za dziesięć minut — rzucił przez zaciśnięte zęby.

— Chyba ma pan więcej rozsądku, komandorze — odparł Donal z ekranu. — Pańskie statki nie są nawet okopane. Siedzą tam jak kaczki. Nie zostały uformowane w żaden szyk, by się osłaniać w czasie startu. Możemy je anihilować, kiedy spróbują się poderwać, lub zetrzeć w proch już teraz. Nie macie odpowiedniego sprzętu, żeby się okopać. Jestem dość dobrze poinformowany o waszej liczebności i wiem, że nie zostawiliście w odwodzie wystarczających sił, by uczynić nam jakąkolwiek szkodę. — Zrobił przerwę. — Proponuję, żeby przyleciał pan tu sam, bez eskorty, i omówił warunki kapitulacji.

Colmain stał wpatrując się w ekran. Ale rzeczywiście nie było innego wyjścia, tylko poddać się. Jako wybitny dowódca musiał uznać ten fakt. W końcu niechętnie skinął głową.

— Lecę — powiedział i wyłączył ekran. Z lekko przygarbionymi plecami poszedł do swego osobistego siateczka kurierskiego.

— Na miły Bóg! — tymi słowami powitał Donalą, kiedy wreszcie znalazł się z nim twarzą w twarz na pokładzie statku flagowego Zaprzyjaźnionych. — Zniszczył mnie pan. Będę miał szczęście, jeśli dostanę dowództwo pięciu statków klasy C i tendera na Dunnin po tym wszystkim.

* * *

Donal wrócił na Harmonię dwa dni później. Nawet najbardziej zgorzkniali mieszkańcy tego fanatycznego świata witali go triumfalnie, gdy jechał ulicami do Centrum Rządowego. Kiedy jednak samotnie poszedł złożyć raport Starszemu Brightowi, czekało go inne przyjęcie.

Przewodniczący Zjednoczonej Rady Kościołów Harmonii i Zjednoczenia spojrział ponuro, gdy Donal wszedł, nadal w mundurze polowym pod kurtką, którą narzucił pośpiesznie w drodze z portu kosmicznego. Jechał na odkrytej platformie, żeby tłumy stojące wzdłuż drogi mogły go podziwiać, a na Harmonii kończyło się właśnie krótkie, chłodne lato.

— Dobry wieczór, panowie — powiedział Donal, kierując powitanie nie tylko do Brighta, ale również do dwóch innych członków Rady siedzących obok niego za biurkiem. Ci dwaj nie odpowiedzieli. Donal wcale tego od nich nie oczekiwał. Bright był tu szefem; skinął głową trzem uzbrojonym żołnierzom miejscowej elitarniej gwardii, którzy trzymali straż przed drzwiami. Wyszli, zamykając za sobą drzwi.

— Więc wrócił pan — powiedział Bright.

Donal uśmiechnął się.

— Czy spodziewał się pan, że polecę w inne miejsce? — zapytał.

— Nie czas na żarty! — Duża dłoń Brighta z trzaskiem opadła na blat biurka. — Jak pan wytłumaczy się przed nami ze swojego oburzającego postępowania?

— Za pozwoleniem. . . ! — głos Donala zabrzmiał wśród szarych ścian pokoju z ostrością, jakiej tamci trzej nigdy przedtem nie słyszeli i jakiej nie spodziewali się usłyszeć. — Dbam o uprzejmość i dobre maniery. Nie widzę powodu, dla którego inni nie mieliby mi odpłacić tym samym. o czym pan mówi?

Bright podniósł się. Kiedy tak stał na szeroko rozstawionych nogach, pochylony nad gładką, niemal lustrzaną powierzchnią szarego biurka, był bardziej podobny do rzezimieszka z ciemnej uliczki niż do Torquemady.

— Wrócił pan do nas — powiedział wolno i ochryple — i udaje pan, że nie wie, w jaki sposób nas zdradził?

— Zdradził? — Donal przyjrzał mu się z niemal złowieszczym spokojem. — Jak to. . . zdradziłem was?

— Wysłałiśmy pana w celu wykonania pewnego zadania.

— I sędzę, że je wykonałem — powiedział Donal sucho. — Chcieliście więzy strażniczej nad bezbożnymi. Chcieliście na stałe zainstalować się na Zombri, by śledzić wszelkie koncentracje wojsk Exotików. Pamięta pan, że kilka dni temu prosiłem, by mi pan jasno powiedział, jakie są pańskie zamiary. Dość wyraźnie pan wtedy określił, czego chce. I cóż. . . ma pan to.

— Ty diabelskie nasienie! — wybuchnął Bright, tracąc nagle panowanie nad sobą. — Co próbujesz nam wmówić? Naprawdę sądziłeś, że tylko tego chcieliśmy? Czy myślałeś, że pomazańcy Pańscy zawahaliby się u wrót bezbożników? — Odwrócił się, dużymi krokami obszedł biurko i stanął twarzą w twarz z Donalem. — Miałeś ich w garści i poprosiłeś jedynie o nie uzbrojony punkt obserwacyjny na pustym księżycu. Trzymałeś ich za gardło i nie zabiłeś żadnego z nich, podczas gdy powinienes zetrzeć ich z powierzchni do ostatniego statku, do ostatniego człowieka!

Urwał i w zapadłej nagle ciszy Donal usłyszał zgrzytanie jego zębów.

— Ile ci zapłacili? — warknął Bright. Donal zeszywniał.

— Udam — powiedział po chwili — że nie słyszałem ostatniej uwagi. A jeśli chodzi o pańskie pytanie, dlaczego poprosiłem tylko o punkt obserwacyjny, to jak wynikało z pańskich słów, właśnie tego pan chciał. A dlaczego nie stałem ich w pył. . . ? Bezsensowne zabijanie nie jest moim zawodem. Ani niepotrzebne narażanie żołnierzy. — Zimno spojrział Brightowi w oczy. — Sugeruję, że mógł pan być ze mną trochę szerszy. Chciał pan zniszczenia potęgi Exotików, nieprawdaż?

— Tak — zazgrzytał Bright.

— Tak myślałem — powiedział Donal. — Nie przyszło jednak panu do głowy, że okażę się na tyle dobrym dowódcą, by tego dokonać. Sędzę — mówił

dalej Donal, przenosząc spojrzenie na pozostałych dwóch, również ubranych na czarno starszych — że złapaliście się we własne sidła, panowie. — Odpreżył się i uśmiechnął lekko, zwracając się do Brighta. — Z pewnych powodów — powiedział — niemądrze byłoby z taktycznego punktu widzenia, gdyby Zaprzyjaźnione światy zniszczyły Marę i Kultis. Jeśli pozwoli mi pan udzielić sobie małej lekcji...

— Niech pan przyjdzie z lepszymi odpowiedziami! — wybuchnął Bright. — Jeśli nie chce pan zostać oskarżony o zdradę pracodawcy!

— Och, niech pan da spokój! — Donal roześmiał się głośno.

* * *

Bright odwrócił się i przemierzył szary pokój. Gwałtownym ruchem otworzył drzwi, za którymi stało trzech żołnierzy gwardii. Wyciągnął ramię wskazując na Donalą.

— Aresztować tego zdrajcę! — krzyknął.

Gwardziści ruszyli w stronę Donalą, ale zanim zdolali przebyć dzielący ich od nich dystans, trzy bladoniebieskie promienie przecięły powietrze, zostawiając po sobie ostry zapach zjonizowanego powietrza. Wszyscy trzej upadli.

Jak człowiek ogłuszony ciosem z tyłu, Bright wpatrywał się w ciała swoich gwardzistów. Obejrzał się i zobaczył, jak Donal chowa pistolet.

— Czy sądził pan, że będę na tyle głupi, by przyjść tutaj bez broni? — zapytał Graeme ze smutkiem. — I czy sądził pan, że pozwolę się aresztować? — Potrząsnął głową. — Powinien mieć pan dość rozumu, by dostrzec, że właśnie uratowałem was przed wami samymi.

Spojrzał na pełne niedowierzania twarze.

— O tak — powiedział. Wskazał na przeszkloną ścianę w drugim końcu gabinetu. Wieczorny wietrzyk niósł z miasta odgłosy świętowania. — Jest tam ponad czterdzieści procent waszych wojsk. Najemników. Najemników doceniających dowódcę, który potrafi zapewnić im zwycięstwo niemal bez strat. Jak pan sądzi, jaka byłaby ich reakcja, gdyby oskarżył mnie pan o zdradę, uznał za winnego i skazał na śmierć? — Umilkł, żeby jego słowa zapadły im w pamięć. — Zastanówcie się nad tym, panowie.

Zapiął kurtkę i spojrzał ponuro na trzech martwych gwardzistów, a potem ponownie zwrócił się do Starszych.

— Uważam, że to jest wystarczająca podstawa do zerwania kontraktu — powiedział. — Możecie poszukać sobie innego głównodowodzącego.

Odwrócił się i ruszył do drzwi. Kiedy wyszedł, Bright krzyknął za nim:

— Więc idź do nich! Idź do bezbożników z Mary i Kultis!

Donal zatrzymał się i obejrzał. Złożył uroczysty ukłon.

— Dziękuję, panowie — powiedział. — Pamiętajcie... to był wasz pomysł.

Marańczyk

Pozostała jeszcze rozmowa z bondem Sayoną. Wchodząc po kilku szerokich, łagodnych stopniach do budowli — nie można jej było nazwać budynkiem lub kompleksem budynków — w której mieszkała najważniejsza osoba na dwóch planetach Exotików, Donal poczuł rozbawienie.

Trochę dalej, obok krzewów przed wejściem do... rezydencji?... natknął się na wysoką kobietę o szarych oczach i wyjaśnił jej powód swojego przybycia.

— Proszę iść prosto — powiedziała wskazując ręką kierunek. — Znajdzie go pan.

Najdziwniejsze było, że Donal nie miał co do tego wątpliwości. I właśnie ta niedorzeczna pewność pobudziła jego osobliwe poczucie humoru.

Maszerował przez zalany słońcem korytarz, który niepostrzeżenie przeszedł w pozbawiony dachu ogród, minął malowidła i sadzawki z kolorowymi rybkami, znalazł się w domu nie będącym domem, wchodził do różnych pokoi i wychodził z nich, aż dotarł do małego patio, do połowy osłoniętego dachem. W jego drugim końcu, w cieniu dachu, na małym skrawku nawiezionej darni, otoczonym niskim kamiennym murkiem, siedział wysoki łysy mężczyzna w nieokreślonym wieku, ubrany w niebieską szatę.

Donal zszedł po trzech kamiennych schodkach, przeciął patio, pokonał kolejne trzy kamienne schodki po przeciwnej stronie i stanął nad siedzącym mężczyzną.

— Sir — powiedział Donal. — Jestem Donal Graeme.

Wysoki mężczyzna gestem nakazał mu usiąść na darni.

— Chyba że wolisz usiąść na murku — uśmiechnął się. — Siedzenie po turcku nie wszystkim odpowiada.

— Ależ nie, sir — odparł Donal i usiadł ze skrzyżowanymi nogami.

— Dobrze — powiedział wysoki mężczyzna i najwyraźniej pograżył się w myślach, patrząc gdzieś poza patio.

Donal rozluźnił się i czekał. Ogarnął go spokój panujący w tym miejscu. Wydawało się ono skłaniać do medytacji i z pewnością — Donal nie miał wątpliwości — było rozmyślnie zaprojektowane i przeznaczone do tego właśnie celu. Siedział, teraz już wygodnie, i pozwolił błędzić myślom. I tak się złożyło — co nie było wcale dziwne — że powędrowały one ku siedzącemu obok mężczyźnie.

Sayona — Donal uczył się o nim jako chłopiec w szkole — reprezentował typ człowieka instytucji, charakterystyczny dla Exotików. Ich dwie planety pełne były ludzi uważanych za dziwnych przez resztę ludzkości; niektórzy jej przedstawiciele posuwali się nawet do powątpiewania, czy mieszkańcy Mary i Kultis wywodzili się wyłącznie z ludzkiej rasy. Była to jednak w połowie żartobliwa, a w połowie przesądna spekulacja. W rzeczywistości Exotikowie byli wystarczająco ludzcy.

Rozwinęli jednak własne formy magii. Szczególnie w psychologii i pokrewnych dziedzinach oraz w jeszcze innej gałęzi nauki, którą można by nazwać selekcją genetyczną lub planową hodowlą, zależnie od tego, czy się ją pochwalało czy też nie. Wiązał się z tym rodzaj ogólnego mistycyzmu. Exotikowie nie wielbili żadnego boga i nie wyznawali żadnej religii. Z drugiej strony prawie wszyscy — twierdząc, że to z własnego wyboru — byli wegetarianami i przeciwnikami przemocy na wzór starożytnych Hindusów. Poza tym trzymali się jeszcze jednej kardynalnej zasady. Była nią zasada nieingerencji. Za krańcową przemoc uważali narzucanie drugiej osobie swojego punktu widzenia — niezależnie od sposobu. A jednak wszystkie te cechy nie zabiły w nich zdolności do troszczenia się o samych siebie. Skoro bowiem wierzyli, że nie można stosować przemocy wobec nikogo, to konsekwencją takiego poglądu — do czego chętnie się przyznawali — było, że nikomu nie można pozwolić bezkarnie używać siły przeciwko nim. Na wojnie i w interesach bronili swego poprzez najemników i pośredników.

Ale — pomyślał Donal — bond Sayona stanowił dla Exotików jedną z nagród za odmienny styl życia. W sposób, który w pełni mogli zrozumieć tylko oni, był częścią ich życia emocjonalnego, ucieleśnioną w żywej ludzkiej istocie. Podobnie jak Anea, zupełnie zwyczajna i kobieca, była dla Exotików, dosłownie, jedną z Wybranek. Urzeczywistniała ich najlepsze, wybrane cechy, jak żywe dzieło sztuki, któremu okazywali uwielbienie. Nie miało znaczenia, że nie zawsze była radosna, że tak naprawdę zaznawała w życiu tyle samo lub więcej smutku co przeciętny człowiek. W tym właśnie punkcie ocena większości ludzi odbiegała od rzeczywistości. Najważniejsze były dla nich możliwości, które w niej zaszczepili i wykształcili. Cieszyła ich sama jej zdolność do innego życia, a nie życie, które naprawdę wiodła. Faktyczne osiągnięcia zależały od niej i miały stanowić dla niej nagrodę. Cenili sobie fakt, że gdyby zechciała i miała trochę szczęścia, potrafiłaby korzystać z życia.

Podobnie bond Sayona. W sensie, który rozumieli tylko Exotikowie, Sayona stanowił ucieleśnienie więzi między ich dwoma światami. Była w nim zdolność do porozumienia, pojednania, wyrażania wspólnoty uczuć międzyludzkich. . .

Donal zdał sobie nagle sprawę, że Sayona coś do niego mówi. Starszy mężczyzna przemawiał już od jakiegoś czasu spokojnym, zrównoważonym głosem, a Donal pozwalał, by jego słowa przelatywały mu przez umysł jak woda przeciekająca przez palce. A teraz usłyszał coś, co go całkiem rozbudziło.

— ... Ależ nie — odparł Donal. — Sądziłem, że to zwykła procedura, której poddaje się każdego dowódcę, zanim się go wynajmie.

Sayona zachichotał.

— Poddawać każdego nowego dowódcę tym wszystkim testom? — powiedział. — Nie, nie. To by się rozniosło i nigdy już nie moglibyśmy wynająć tych ludzi, których chcielibyśmy.

— Ja nawet lubię przechodzić testy — przyznał się Donal.

— Wiem. — Sayona skinął głową. — Test to przecież forma współzawodnictwa. A ty z natury je lubisz. Nie, zwykle kiedy szukamy żołnierza, przyglądamy się jego militarnym osiągnięciom, jak wszyscy inni, i tylko do tego się posuwamy.

— Jaka jest więc różnica w moim przypadku? — spytał Donal spoglądając na niego.

Sayona odwzajemnił spojrzenie, przyglądając mu się jasnobrązowymi oczami okolonymi zmarszczkami, które świadczyły o poczuciu humoru.

— Cóż, nie zainteresowaliśmy się tobą tylko jako dowódcą — odpowiedział Sayona. — Jest jeszcze kwestia twoich przodków. W istocie jesteś po części Marańczykiem i interesują nas właśnie twoje geny, nawet jeśli są przytłumione. Chodzi więc o ciebie samego. Masz zdumiewające możliwości.

— Jakie możliwości?

— Dokonania wielkich rzeczy — powiedział Sayona poważnie. — Rezultaty naszych testów dają nam o nich pewne pojęcie.

— Czy mogę zapytać, jakie wielkie rzeczy ma pan na myśli? — spytał Donal zaciekawiony.

— Przykro mi, ale nie. Nie mogę ci na to odpowiedzieć — oznajmił Sayona. — Odpowiedź, tak czy inaczej, byłaby dla ciebie bez znaczenia, gdyż nie można wyjaśnić danej rzeczy w jej własnych kategoriach. Właśnie dlatego pomyślałem, że muszę przeprowadzić z tobą tę rozmowę. Interesuje mnie twoja filozofia.

— Filozofia! — Donal roześmiał się. — Jestem Dorsajem.

— Każdy, nawet Dorsaj, każda żywa istota ma swoją własną filozofię — żdźbło trawy, ptak, dziecko. Indywidualna filozofia to potrzebna rzecz, kryterium, według którego osądzamy własną egzystencję. Poza tym jesteś tylko w części Dorsajem. Co mówi ta pozostała część?

Donal zmarszczył brwi.

— Nie jestem pewien, czy ta druga część mówi cokolwiek — odparł. — Jestem żołnierzem. Najemnikiem. Mam swoją pracę i zamierzam ją wykonywać zawsze najlepiej, jak potrafię.

— Ale oprócz tego... — naciskał Sayona.

— Oprócz tego... — Donal umilkł, dalej marszcząc brwi. — Sądzę, że chciałbym zobaczyć, jak wszystko dobrze się układa.

— Powiedziałeś, że chciałbyś widzieć, jak wszystko dobrze się układa. — Sayona patrzył na niego. — Czy nie uważasz, że to znaczące?

— Chciałbym? A... — Donal roześmiał się. — Przypuszczam, że wymknęło mi się to podświadomie. Chyba miałem na myśli, że postaram się, żeby wszystko się dobrze układało.

— Tak — powiedział Sayona, ale takim tonem, że Donal nie mógł być pewien, czy oznaczało to potwierdzenie czy też nie. — Jesteś człowiekiem czynu, nieprawdaż?

— Ktoś musi być — odrzekł Donal. — Weźmy na przykład cywilizowane światy... — urwał nagle.

— Mów dalej — zachęcił Sayona.

* * *

— Zamierzałem powiedzieć o cywilizacji. Niech pan pomyśli, jak niewiele czasu upłynęło od chwili, kiedy na Ziemi wzbił się w powietrze pierwszy balon. Czterysta lat? Pięćset? Coś koło tego. I niech pan spojrzy, jak daleko dotarliśmy od tego czasu i jak się rozdzieliliśmy.

— I co z tego wynika?

— Nie podoba mi się to — stwierdził Donal. — Odnoszę wrażenie, że jest to nie tylko nieefektywne, ale również niezdrowe. Jaki sens ma rozwój technologiczny, jeśli tylko dzielimy się na coraz więcej odłamów, a każdy z własnym stylem życia i mentalnością. To nie jest postęp.

— Popierasz postęp?

Donal spojrział na niego.

— A pan nie?

— Myślę, że tak — powiedział Sayona. — Pewien rodzaj postępu. Mój rodzaj postępu. Jaki jest twój?

Donal uśmiechnął się.

— Chce pan usłyszeć, prawda? Ma pan rację. Chyba jednak mam swoją filozofię. Chce pan usłyszeć?

— Proszę — powiedział Sayona.

— W porządku — zdecydował się Donal. Rozejrzał się po małym ogródku. — Oto ona. Każdy człowiek jest narzędziem w swoich własnych rękach. Ludzkość to narzędzie w swoich własnych rękach. Największą satysfakcję czerpiemy nie z nagród za naszą pracę, lecz z samej pracy. Naszym najważniejszym obowiązkiem jest ostrzenie i ulepszanie narzędzia, jakim jesteśmy my sami, aby móc zabrać się do większych prac. — Spojrział na Sayonę. — Co pan o tym sądzi?

— Musiałbym to przemyśleć — odparł Sayona. — Mój punkt widzenia jest oczywiście nieco odmienny. Widzę człowieka nie tyle jako doskonalący się mechanizm, lecz jako rozumne ogniwo w porządku rzeczy. Powiedziałbym, że rolę

jednostki jest nie tyle działać, co być. Dogłębnie pojąć prawdę, która tkwi w każdym człowieku... jeśli wyrażam się jasno.

— Nirwana jako przeciwieństwo Walhalli, co? — skomentował Donal uśmiechając się dość ponuro. — Dzięki, wołę Walhallę.

— Jesteś pewien? — spytał Sayona. — Jesteś całkowicie pewien, że nie potrzebujesz nirwany?

— Zupełnie pewien.

— Zasmucasz mnie — powiedział Sayona przygnębiony. — Mieliliśmy pewne nadzieje.

— Nadzieje?

— Chodzi — wyjaśnił Sayona podnosząc palec — o możliwości tkwiące w tobie... o te wielkie możliwości. Można je wykorzystać tylko w jeden sposób... sposób, który sam wybierzesz. Ale masz swobodę wyboru. Jest tu dla ciebie miejsce.

— Przy panu?

— Inne światy nie wiedzą — powiedział Sayona — co osiągnęliśmy tutaj w ciągu ostatnich stu lat. Dopiero zaczęliśmy pracować nad motylem ukrytym w ograniczonym przez materię robaku, jakim jest obecny gatunek ludzki. To wielka okazja dla kogoś predestynowanego do tej pracy.

— I ja nim jestem? — spytał Donal.

— Tak — odpowiedział Sayona. — Częściowo wynika to z twoich marańskich genów, a częściowo ze szczęśliwego genetycznego przypadku, do którego zrozumienia nie wystarcza nasza obecna wiedza. Oczywiście musiałbyś poddać się ponownemu szkoleniu. Tę stronę twojego charakteru, która teraz tobą rządzi, należałoby zharmonizować z drugą stroną, którą uważamy za wartościowszą.

Donal potrząsnął głową.

* * *

— W zamian za to — powiedział Sayona smutnym, prawie kapryśnym tonem — wiele rzeczy stałoby się dla ciebie możliwe. Czy wiesz, że mógłbyś na przykład chodzić w powietrzu, gdybyś tylko uwierzył, że jesteś w stanie tego dokonać?

Donal zaśmiał się.

— Mówię całkiem poważnie — powiedział Sayona. — Spróbuj kiedyś w to uwierzyć.

— Trudno mi próbować uwierzyć w coś, w co instynktownie nie wierzę — odparł Donal. — Poza tym to nie ma sensu. Jestem żołnierzem.

— Ale jakże dziwnym żołnierzem — mruknął Sayona. — Żołnierzem pełnym współczucia, kaprysów, fanaberii i szalonych snów na jawie. Człowiekiem

samotnym, który pragnie być taki jak inni, ale uważa ludzką rasę za zbiorowisko dziwnych, obcych istot i nie jest w stanie zrozumieć ich pokrętnych sposobów postępowania — choć jednocześnie rozumie je zbyt dobrze, by było to dla owych istot wygodne.

Spokojnie popatrzył na Donalą, którego twarz znieruchomiła.

— Testy wypadły dobrze, nieprawdaż? — zapytał Donal.

— Tak — odparł Sayona. — Ale nie ma powodu, żebyś patrzył na mnie w ten sposób. Nie możemy ich wykorzystać, by zmusić cię do czegokolwiek. Byłoby to działanie samodestrukcyjne, które zniweczyłoby wszelkie wynikające z niego korzyści. Możemy jedynie złożyć ci propozycję. — Przerwał na chwilę. — Zapewniam cię, że będziesz szczęśliwy, jeśli wybierzesz naszą drogę.

— A jeśli nie? — Donal nie rozluźnił się jeszcze.

Sayona westchnął.

— Jesteś silnym człowiekiem — powiedział. — Siła wiąże się z odpowiedzialnością, a człowiek odpowiedzialny nie zwraca zbytnej uwagi na szczęście.

— Nie mogę powiedzieć, żeby podobał mi się obraz samego siebie idącego przez życie w pogoni za szczęściem. — Donal wstał. — Tak czy inaczej, dziękuję za propozycję. Doceniam komplement, jaki się w niej kryje.

— Nie jest komplementem mówienie motylowi, że jest motylem i nie musi pełzać po ziemi — odparł Sayona.

Donal uklonił się uprzejmie.

— Do widzenia — powiedział. Odwrócił się i zrobił kilka kroków w stronę schodków prowadzących w dół do ogrodu i do drogi, którą przyszedł.

— Donalu... — zatrzymał go głos Sayony. Obejrzał się i zobaczył, że bond patrzy na niego z niemal szelmowskim wyrazem twarzy. — Wierzę, że możesz chodzić w powietrzu — powiedział Sayona.

Donal wytrzeszczył oczy, ale wyraz twarzy tamtego nie zmienił się. Odwrócił się i zrobił krok... ale ku jego najwyższemu zdumieniu stopa znalazła oparcie na dwadzieścia centymetrów nad następnym schodkiem. Nie myśląc, dlaczego to robi, Donal wysunął w nicłość drogą stopę. Zrobił kolejny krok... i następny. Nie podtrzymywany, przeszedł w powietrzu do szczytu schodków na drugim końcu ogrodu.

Zrobił jeszcze jeden krok i kiedy znalazł się na twardym gruncie, obejrzał się. Sayona nadal mu się przyglądał, ale wyraz jego twarzy był teraz nieprzenikniony. Donal odwrócił się i opuścił ogród.

Pogrążony w myślach wrócił do swojego mieszkania w Portsmouth, marańskim mieście, w którym znajdowała się baza dowództwa Exotików. Tropikalna noc szybko zapadła nad miastem, zanim dotarł do swojego pokoju, ale łagodne oświetlenie, które włączało się automatycznie we wszystkich budynkach i wokół nich, było tak przemyślnie zaprojektowane, że nie przyćmiewało widoku gwiazd nad głową. Świeciły przez otwartą ścianę sypialni.

Stojąc pośrodku pokoju i zamierzając się przebrać do pierwszego tego dnia posiłku — wcześniej zupełnie zapomniał o jedzeniu — Donal zmarszczył brwi. Spojrzał w górę na łagodnie kopulaste sklepienie pokoju, którego najwyższy punkt znajdował się jakieś trzy i pół metra nad jego głową. Zmarszczył się znowu i zaczął przeszukiwać biurko, dopóki nie znalazł zapieczętowanej przez siebie taśmy z nagraniem. Potem, trzymając ją w jednej ręce, odwrócił się w stronę sufitu i zrobił dość niezdatny krok w górę.

Jego stopa znalazła oparcie w powietrzu i Donal oderwał się od podłogi. Wolno, krok za krokiem, szedł przez pustkę do najwyższego punktu w suficie. Otworzył kapsułę z taśmą i przycisnął jej samoprzylepne końce do sufitu. Wisiał przez chwilę w powietrzu i patrzył na nią.

— Śmieszne! — powiedział nagle. . . i równie nagle zaczął spadać. W odruchu wyrobionym podczas długich ćwiczeń zwinął się w momencie upadku, wylądował na rękach i stopach, przetoczył się i wstał przy drugiej ścianie jak gimnastyk. Otrzeptał się cały i zdrowy. . . i spojrzał na sufit. Kapsuła nadal tam wisiała.

Podniósł rękę z małym urządzeniem przypiętym do nadgarstka i włączył je.

— Lee — powiedział.

Opuścił rękę i czekał. Niecałą minutę później Lee wszedł do pokoju. Donal pokazał mu kapsułę na suficie.

— Co to jest? — zapytał. Lee spojrzał.

— Kapsuła z taśmą — powiedział. — Chce pan, żebym ją zdjął?

— Mniejsza o to — odparł Donal. — Jak sądzisz, skąd się tam wzięła?

— Jakiś żartowniś na dryfującym krześle — orzekł Lee. — Chce pan, żebym się dowiedział kto?

— Nie. . . mniejsza o to — zakończył Donal. — To wszystko.

Lee uklonił się i wyszedł z pokoju. Donal rzucił jeszcze jedno spojrzenie na kapsułę, po czym podszedł do przeszklonej ściany pokoju i wyjrzał na zewnątrz. Pod nim rozpościerał się jasny dywan miasta. W górze wisiały gwiazdy. Patrzył na nie przez parę minut.

Nagle roześmiał się na głos wesoło.

— Nie, nie — powiedział do pustego pokoju. — Jestem Dorsajem!

Odwrócił się plecami do szyby i zaczął szybko przebierać się do kolacji. Był zaskoczony, kiedy przekonał się, jak bardzo jest głodny.

Protektor

Dowódca sił lądowych Ian Ten Graeme, wyniosły, śniady mężczyzna, kroczył przez pokoje protektora Procjona z tajnym prywatnym meldunkiem w dużej dłoni. W pierwszych trzech pomieszczeniach nikt nie zastąpił mu drogi. Ale przed drzwiami gabinetu protektora jego osobista sekretarka w zielono-złotym stroju służbowym odważyła się powiedzieć półgłosem, iż protektor polecił, aby mu nie przeszkadzano, Ian ledwo na nią spojrzął, pchnął drzwi gabinetu i wmaszerował do środka.

Zastał tam Donala stojącego w słupie intensywnie żółtego światła Procjona przed przeszkloną szybą, wyglądającego na Portsmouth i najwyraźniej pogrążonego w myślach. W ciągu ostatnich dni często zaskakiwano go w takiej pozycji. Obejrzał się na odgłos kroków Iana.

Sześć lat militarnych i politycznych sukcesów zostawiło nieuchronne ślady na twarzy Donala, ślady wyraźnie widoczne w świetle słonecznym. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał poważniej od młodzieńca, który opuścił Dorsaj kilka lat temu. Ale po bliższym przyjrzeniu się widać było, że zrobił się masywniejszy... a nawet trochę wyższy. Z tym że przyrost wagi — co prawda niewielki — nie złagodził wyrazistych rysów jego twarzy, ale wręcz uwypuklił je i wyostrzył: Oczy wydawały się teraz głębiej osadzone, a nawyk rozkazywania — który stał się już podświadomie stylem bycia — rzucał niewidoczny cień na jego czoło, tak że ludzie bez namysłu słuchali go, jakby to było oczywiste.

— I co? — odezwał się, kiedy Ian podszedł.

— Zajęli Nową Ziemię — odpowiedział wuj i wręczył mu taśmę z meldunkiem. — Tajna prywatna od Galta.

Donal wziął taśmę automatycznie, a głębsza, bardziej ukryta część jego natury natychmiast przejęła władzę nad umysłem. O ile sześć lat wpłynęło na jego wygląd i zachowanie, tym większe zmiany spowodowało we wnętrzu. Sześć lat dowodzenia, sześć lat oceniania sytuacji i podejmowania decyzji wryło w nim swój ślad. Zawarł rozejm — trudno byłoby powiedzieć, że doszedł do porozumienia — ze źródłem swojej odmienności, ukrywając je dobrze przed innymi, ale akceptując jako użyteczne narzędzie w swoich rękach. A teraz informacja, którą przyniósł Ian, poruszyła mroczne głębie. Była to drobna fala rozprzestrzeniająca

się, by połączyć się z innymi i ukazać wyraźniej ich bezmiar oraz balet sprzecznych celów kryjących się za wszelkim działaniem. Stanowiła dla niego wezwanie do czynu.

Jako protektor Procjona, odpowiedzialny teraz nie tylko za obronę Exotików, ale również dwóch mniejszych zamieszkanym planet systemu — St. Marie i Coby — musiał podjąć to wyzwanie. Co więcej, musiał je podjąć także ze względu na samego siebie. Tak więc wcale nie miał ochoty uniknąć tego, co go czekało. Przeciwnie, było to właściwe i mile widziane. Niemal zbyt mile. . . jak szczęśliwy traf.

— Rozumiem — mruknął. Po czym zwrócił się do wuja: — Galt będzie potrzebował pomocy. Możesz mi podać, jakie siły jesteście w stanie zgromadzić, Ianie?

Ian skinął głową i wyszedł z równie marsową miną, z jaką wszedł.

Kiedy Donal został sam, nie od razu otworzył pudełko z taśmą. Nie mógł sobie teraz przypomnieć, o czym dumał, kiedy zjawił się Ian, ale widok wuja skierował jego myśli na nowy tor. Ian wyglądał ostatnio dobrze — a przynajmniej tak, jak można było oczekiwać. Nieważne, że żył samotnie, miał niewiele wspólnego z innymi dowódcami tej samej rangi i nie chciał jeździć do domu na Dorsaj, nawet żeby odwiedzić rodzinę. Poświęcił się swoim obowiązkom szkolenia oddziałów lądowych i robił to dobrze. Poza tym podążał własną drogą.

Marańscy psychiatrzy oznajmili Donalowi, że niczego więcej nie można było spodziewać się po Ianie. Wyjaśnili mu to łagodnie. Normalny umysł opanowany przez chorobę potrafiliby wyleczyć. Na nieszczęście jednak Ian nie był normalny, przynajmniej jeśli chodziło o przywiązanie do brata bliźniaka. Nic we wszechświecie nie mogło zastąpić tej części jego istoty, która umarła wraz z Kensiem — a właściwie nim była — gdyż osobliwa konstrukcja psychiczna bliźniaków czyniła z nich dwie połowy całości.

— Pański wuj — wyjaśnili Donalowi psychiatrzy — żyje dzięki podświadomemu pragnieniu ukarania siebie za to, że pozwolił bratu umrzeć. W rzeczywistości szuka śmierci, ale musi to być szczególny jej rodzaj, który oznacza zniszczenie wszystkiego, co się dla niego liczy. „Jeśli obrazi cię ich prawica, odetnij ją”. W jego podświadomości Ian-Kensie oskarża Iana o to, co się zdarzyło, i szuka kary, która byłaby odpowiednia do zbrodni. To dlatego trwa w tym chorobliwym stanie, jakim jest dla niego życie. Dla takiej osobowości normalną rzeczą byłaby śmierć lub samobójstwo. I właśnie dlatego — stwierdzili na zakończenie — nie chce się zobaczyć ani mieć do czynienia z żoną i dziećmi. Podświadomie zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa pociągnięcia ich za sobą w zniszczenie. Odradzalibyśmy namawianie go do odwiedzania ich wbrew jego woli.

Donal westchnął. Kiedy o tym teraz myślał, wydawało mu się dziwne, że z ludzi, którzy zgromadzili się wokół niego, żaden tak naprawdę nie przyszedł z powodu jego sławy lub stanowisk, jakie mógł zaproponować. Był Ian, który zjawił

się dlatego, że przysłała go rodzina. Lee, który znalazł to, czego brakowało jego własnej osobowości, i pozostałby przy nim, nawet gdyby był protektorem nicości, a nie Procjona. Był też Lłudrow, obecnie szef jego Sztabu. Nie przyszedł z własnej nieprzymuszonej woli, ale pod wpływem nalegań żony. Lłudrow ożenił się bowiem z Elvine Rhy, siostrzenicą Galta, która interesowała się Donalem, czemu nawet małżeństwo nie położyło kresu. Był Geneve bar-Colmain, który znalazł się w jego sztabie, ponieważ nie miał dokąd pójść. I żeby nie zmarnowały się jego zdolności, Donal okazał mu życzliwość. Wreszcie sam Galt, którego przyjaźń nie wynikała ze wspólnych zainteresowań zawodowych, lecz z tęsknoty człowieka, który nigdy nie miał syna i dostrzegał go w Donalu... choć tak naprawdę nie można było zaliczyć do tej grupy Galta, w dalszym ciągu pełniącego funkcję marszałka Freilandii.

I był też odróżniający się od reszty Mor, którego Donal najbardziej chciałby mieć przy sobie, ale któremu duma kazała się trzymać możliwie daleko od młodszego, lecz odnoszącego sukcesy brata. Mor objął ostatecznie służbę na Wenus, gdzie w ramach wolnego rynku, który kwitł na tej stechnicyzowanej planecie, sprzedano jego kontrakt Cecie. W ten sposób Mor znalazł się na żołdzie u wrogów Donala, przez co w razie konfliktu walczyliby po przeciwnych stronach.

Donal potrząsnął gwałtownie głową. Te napady depresji zdarzały się ostatnio coraz częściej — być może jako rezultat wielogodzinnej pracy, której się poświęcał. Otworzył pudełko z taśmą od Galta.

„Donalu,

Do tego czasu dotrą do ciebie już wiadomości o Nowej Ziemi. Zamach stanu, w wyniku którego władzę nad planetą przejął rząd Kyerly, dokonały oddziały zbrojne dostarczone przez Cetę. Nigdy nie przestałem być ci wdzięczny za radę, żebyśmy nie wynajmowali naszych wojsk Williamowi. Ale sytuacja tutaj jest zła. Staniemy wobec wewnętrznych ataków zwolenników wolnego rynku kontraktów. Światy jeden po drugim wpadają w ręce manipulatorów, wśród których wcale nie najmniejszym jest sam William. Proszę, przyślij nam tyle oddziałów polowych, ile możesz.

Na Wenus mają się odbyć międzyplanetarne rozmowy na temat uznania nowego rządu Nowej Ziemi. Będą na tyle przezorni, że nie zaproszą ciebie, ale i tak przyjedź. Ja muszę tam być i potrzebuję ciebie, jeśli nawet żaden inny powód nie skłoni cię do przyjazdu.

Hendrik Galt,
marszałek Freilandii”.

Donal pokiwał głową. Nie rzucił się jednak od razu do działania. Podczas gdy Galt trwał w szoku spowodowanym nagłym odkryciem, Donal widział w sytuacji na Nowej Ziemi jedynie coś, czego od dawna się spodziewał.

Szesnaście zamieszkanego światów w ośmiu systemach gwiazdnych od Słońca do Altaira przetrwało dzięki specjalizacji kształcenia. Obecna cywilizacja dokonała zbyt dużego postępu, by każda planeta mogła prowadzić swój własny system nauczania i nadażyć za rozwojem wielu potrzebnych dziedzin. Po co utrzymywać tysiąc przeciętnych szkół, skoro można mieć sto pięćdziesiąt na najwyższym poziomie i wymieniać ich absolwentów na fachowców z innych dziedzin? Koszty takiego systemu były ogromne, a liczba specjalistów w każdej dziedzinie z konieczności ograniczona. Co więcej, postęp był szybszy, gdy wszystkie osoby o tej samej specjalności utrzymywały ze sobą ścisłe kontakty.

System wydawał się bardzo praktyczny. Donal był jednym z niewielu ludzi swoich czasów, którzy dostrzegali problemy nieodłącznie z nim związane.

Za tego rodzaju rozwiązaniem kryło się bowiem pytanie: do jakiego stopnia pracownik wykwalifikowany jest podmiotem mającym swoje prawa, a do jakiego przedmiotem należącym do posiadacza kontraktu? Jeśli w większym stopniu jest podmiotem, handel wymienny między światami rozpada się na szereg indywidualnych negocjacji, a współczesne społeczeństwo nie może istnieć bez zaspokojenia wspólnych potrzeb. Jeśli zaś jest bardziej przedmiotem, wtedy otwiera się pole dla manipulatorów, handlarzy żywym towarem, którzy dla zysku spekulowaliby siłą roboczą.

W dyskusjach między światami stale powtarzało się to pytanie. „Ścisłe” społeczeństwa, czyli planety z tak zwanej grupy Wenus, rozwinięte technicznie — Wenus, Newton i Cassida — fanatyczne Harmonia i Zjednoczenie oraz Coby rządzone przez tajne stowarzyszenie o niemal przestępczym charakterze, zawsze bardziej popierały przedmiotowy niż podmiotowy punkt widzenia. Społeczeństwa „luźne”, jak republikańska Stara Ziemia i Mars, planety Exotików — Mara i Kultis — oraz skrajnie indywidualistyczne społeczeństwo Dorsajów na pierwszym miejscu stawiały jednostkę i jej prawa. Pośrednie stanowisko zajmowały umiarkowane światy z silnymi rządami centralnymi, jak Freilandia i Nowa Ziemia, handlowa Ceta, demokratyczna teokracja St. Marie i pionierska, słabo zaludniona planeta rybaków — Dunnin — rządzona przez społeczność Corbelów.

„Ścisłe” planety od wielu lat prowadziły wspólnie handel kontraktami. Jeśli kontrakt nie zawierał specjalnej klauzuli, można było niespodziewanie znaleźć się u innego pracodawcy, nawet na innej planecie. Korzyści płynące z istnienia takiego rynku były oczywiste dla autokratycznych rządów, które mogły same kontrolować rynek dysponując zasobami, z którymi nie mógł mierzyć się pojedynczy człowiek. Na „luźnych” planetach, gdzie własny system kontroli nie pozwalał rządcom na wykorzystywanie konkurujących ze sobą indywidualnych pracodawców, otwierało się pole dla intryg nie tylko ze strony jednostek, ale i innych rządów.

Tak więc umowa między dwoma światami o ustanowienie wolnego rynku na zasadzie wzajemności służyła przede wszystkim „ściślemu” rządowi, nieuchron-

nie prowadząc do tego, że zgarniał on lwią część talentów dostępnych na obu światach.

Stanowiło to więc podłoże nieuniknionego konfliktu, na który zanosilo się już od pięćdziesięciu lat, między dwoma zasadniczo różnymi systemami kontrolowania tego, co było najistotniejsze dla ludzkości — wyszkolonych umysłów. W rzeczywistości — pomyślał Donal stając przed oszkloną ścianą — konflikt rozgrywał się tu i teraz. Był już w toku tego dnia, kiedy Donal wszedł na pokład statku, na którym miał poznać Galta, Williama i Aneę, Wybranę z Kultis. Za kulisami rozpoczęły się przygotowania do końcowej bitwy, a jego rola w niej już była napisana.

Podszedł do biurka, nacisnął guzik i powiedział do mikrofonu:

— Niech stawia się tu natychmiast wszyscy szefowie sztabów. Narada na szczycie.

Zdjął palec z przycisku i usiadł za biurkiem. Czekalo go mnóstwo pracy.

Protektor II

Przybywszy pięć dni później do Hamstead, stolicy Wenus, Donal udał się prosto do apartamentu Galt w hotelu rządowym, gdzie miała się odbyć narada.

— Musiałem załatwić parę spraw — powiedział, wymieniając uścisk dłoni ze starszym mężczyzną i siadając — inaczej byłbym wcześniej. — Przyjrzał się Galtowi. — Wyglądasz na zmęczonego.

Marszałek Freilandii rzeczywiście schudł. Skóra na twarzy trochę obwisła na masywnych kościach, a oczy pociemniały ze zmęczenia.

— Polityka. . . polityka — odparł Galt. — To nie moja dziedzina. Wyczerpuje człowieka. Napijesz się?

— Nie, dziękuję — powiedział Donal.

— Ja również nie mam ochoty — stwierdził Galt. — Tylko zapalę fajkę. . . jeśli ci to nie przeszkadza?

— Nigdy nie przeszkadzało — odpowiedział Donal — a ty nigdy mnie nie pytałeś.

— Hę. . . nie — Galt wydał z siebie coś pośredniego między kasznięciem a chichotem. Wyjął fajkę i zaczął ją nabijać lekko drżącymi palcami. — Jestem piekielnie zmęczony, to wszystko. Tak naprawdę, gotów jestem do przejścia w stan spoczynku. . . ale jak można odejść, kiedy wokół wrze? Dostałeś moją wiadomość? Ile oddziałów polowych możesz mi dać?

— Parę. Powiedzmy dwadzieścia tysięcy pierwszoliniowych żołnierzy. . . — Galt podniósł głowę. — Nie martw się. — Donal uśmiechnął się. — Będą przybywali w małych grupach i nieregularnie, żeby powstało wrażenie, że mam zamiar dać ci pięć razy więcej wojska, ale procedura przekazywania go przeciąga się.

Galt chrząknął.

— Mogłem się spodziewać, że coś wymyślisz — powiedział. — Możemy wykorzystać twoją pomysłowość na konferencji. Oficjalnie zebraliśmy się tutaj, żeby uzgodnić postawę wobec nowego rządu Nowej Ziemi, ale wiesz, co naprawdę jest grane, czyż nie?

— Domyślam się — odparł Donal. — Wolny rynek.

— Tak. — Galt zapalił fajkę i zaciągnął się nią z przyjemnością. — Podział przebiega dokładnie pośrodku, teraz kiedy Nowa Ziemia znalazła się w grupie

Wenus, a my — to znaczy Freilandia — opowiadamy się przeciwko wolnemu rynkowi. Mamy sporą liczbę głosów przy stole konferencyjnym, ale nie to jest problemem. Oni mają Williama. . . i tego białowłosego diabła, Blaine'a. — Popatrzyl bystro na Donala. — Znasz Projekta Blaine'a, nieprawdaż?

— Nigdy się z nim nie spotkałem. To moja pierwsza wizyta na Wenus — powiedział Donal.

— To rekin — wyrzucił Galt w podnieceniu. — Chciałbym kiedyś zobaczyć, jak on i William ścierają się rogami. Może pozabijaliby się nawzajem i świat stałby się lepszy. Cóż. . . jeśli chodzi o twój status tutaj. . .

— Oficjalnie przysłał mnie Sayona jako obserwatora.

— Dobrze, więc nie ma z tym kłopotu. Z łatwością możemy zmienić ci status z obserwatora na delegata. Prawdę mówiąc, puściłem już w obieg tę wiadomość. Czekaliśmy właśnie na twój przyjazd. — Galt wypuścił duży kłęb dymu i mrużąc oczy zerknął zza niego na Donala. — Ale co o tym sądzisz, Donalu? Ufam twojej intuicji. Co naprawdę wisi w powietrzu?

— Nie jestem pewien — odpowiedział Donal. — Sądzę, że ktoś popełnił błąd.

— Błąd?

— Nowa Ziemia — wyjaśnił Donal. — Głupim posunięciem było obalenie rządu akurat teraz, i do tego siłą. Właśnie dlatego sądzę, że naprawimy to.

Galt wyprostował się szybko, wyjmując fajkę z ust.

— Naprawimy? Masz na myśli przywrócenie starego rządu? — Popatrzył ze zdumieniem na Donala. — Kto to zrobi?

— Przede wszystkim William, jak przypuszczam — powiedział Donal. — On nie działa w sposób połowiczny. Ale możesz się założyć, że jeśli ma zamiar przywrócić rząd, zażąda, za to swojej ceny.

Galt potrząsnął głową.

— Nie nadażam za tobą — przyznał się.

— William współdziała obecnie z grupą Wenus — wyjaśnił Donal. — Ale na pewno nie zamierza wyświadczyć jej przysługi. Interesują go własne cele. . . i właśnie do nich będzie dążył. W rzeczywistości, jeśli dobrze się przyjrzy, zauważysz, że w czasie konferencji toczą się dwojakiego rodzaju negocjacje. Na krótszą i na dłuższą metę. Na krótszą metę będzie prawdopodobnie chodziło o wolny rynek. Na dłuższą — William rozegra swoją grę.

Galt znowu pociągnął z fajki.

— Nie wiem — powiedział powoli. — Wcale nie bronię Williama, ale wydaje mi się, że obwiniasz go o wszystko. Czy jesteś pewien, że nie przesadzasz?

— Jak można być pewnym? — spytał Donal z grymasem na twarzy. — Myślę o Williamie to, co myślę, ponieważ. . . — zawahał się — gdybym był w jego skórze, robiłbym rzeczy, o które go podejrzewam. — Urwał. — Gdyby William nas poparł, na konferencji podjęto by decyzję o wywarceniu nacisku na Nową Ziemię w celu przywrócenia starego rządu, nieprawdaż?

— No... oczywiście.

— Więc dobrze. — Donal wzruszył ramionami. — Czy mogłoby być lepsze wyjście niż William proponujący kompromisowe rozwiązanie, które stawia go w przeciwnym obozie i kryje, a jednocześnie prowadzi do takiego rozwoju sytuacji, jaki mu odpowiada?

— Dobrze... to mogę zrozumieć — powiedział Galt wolno. — Ale jeśli rzeczywiście tak jest, to do czego on zmierza? Czego chce?

Donal potrząsnął głową.

— Nie jestem pewien — powiedział ostrożnie. — Nie wiem.

Zakończyli swoją prywatną rozmowę nie rozstrzygnąwszy niczego i Galt zabrał Donala na spotkanie z kilkoma innymi delegatami.

* * *

Spotkanie uwieńczył, jak to zwykle bywa, koktajl w apartamentach Projekta Blaine'a z Wenus. Sam Blaine, jak przekonał się Donal, był potężnym, spokojnym, białowłosym mężczyzną, nie wykazującym cech charakteru, jakie przypisywał mu Galt.

— I co o nim myślisz? — zapytał półgłosem Galt, kiedy odeszli od Blaine'a i jego żony do innych gości.

— Błyskotliwy — stwierdził Donal. — Ale nie sądzę, żeby należało się go obawiać. — Uśmiechnął się na widok uniesionych brwi Galta. — Wydaje się zbyt zajęty sobą i własnym punktem widzenia. Uważam, że łatwo go przejrzeć.

— W przeciwieństwie do Williama? — spytał Galt cicho.

— W przeciwieństwie do Williama — zgodził się Donal. — Którego nie jest łatwo przejrzeć... a przynajmniej nie tak łatwo.

Rozmawiając zbliżali się do Williama, który siedział w końcu pokoju wraz z wysoką, szczupłą kobietą, odwróconą do nich plecami. Kiedy Galt i Donal podeszli, wzrok Williama powędrował ponad nią.

— O, marszałek! — zawołał uśmiechając się. — Protektor! — Kobieta obejrzała się i Donal znalazł się twarz w twarz z Aneą.

Upływ pięciu lat dokonał zmian w wyglądzie Donala, lecz Aneę odmienił jeszcze bardziej. Miała teraz dwadzieścia kilka lat i ostatnie już etapy opóźnionego dojrzewania za sobą. Odznaczała się rzadką urodą, która miała pogłębiać się z wiekiem i doświadczeniem i nigdy nie zniknąć, nawet w podeszłym wieku. Była teraz bardziej dojrzała niż wtedy, gdy Donal widział ją ostatni raz, bardziej kobieca i zrównoważona. Jej zielone oczy spotkały się z nieokreślonego koloru oczami Donala.

— Jestem zaszczycony, że znowu cię widzę — rzekł Donal i ukłonił się.

— To ja jestem zaszczycona. — Jej głos również stał się dojrzały.

Donal spojrział na Williama.

— Książę! — powiedział.

William wstał i uściśnął ręce Donalowi i Galtowi.

— Czuje się zaszczycony, że jest pan tu z nami, protektorze — odezwał się wesoło do Donala. — Domyślam się, że marszałek proponuje twoją osobę na delegata. Możesz liczyć na mnie.

— To uprzejmie z pańskiej strony — odparł Donal.

— To korzystne dla mnie — powiedział William. — Lubię otwarte umysły przy stole konferencyjnym, a młode umysły — bez obrazy, Hendriku — są na ogół otwarte.

— Nie udaję, że jestem kimś więcej niż żołnierzem — burknął Galt.

— I to właśnie sprawia, że jesteś tak niebezpieczny w negocjacjach — odparował William. — Politycy i biznesmeni czują się swobodniej w towarzystwie kogoś, kto wcale nie ma na myśli tego, co mówi. Uczciwi ludzie zawsze byli przekleństwem dla strzelców wyborowych.

— Szkoda więc — wtrąciła Anea — że nie ma tylu uczciwych ludzi, by stali się przekleństwem dla nich wszystkich. — Patrzyła na Donala.

William zaśmiał się.

— Wybranka z Kultis nie mogłaby nie okazać wściekłości na nas, ludzi podstępnych, prawda, Aneo? — zadzwiał.

— Możesz odesłać mnie do Exotików w każdej chwili, jeśli ci przeszkadzam — odparowała.

— Nie, nie. — William pokręcił głową z rozbawieniem. — Będąc, jaki jestem, przetrwałem tylko dzięki temu, że otaczam się dobrymi ludźmi, takimi jak ty. Jestem zaplątany w sieć twardej rzeczywistości — to moje życie i nie zamieniłbym go na inne — ale dla odpoczynku, dla duchowego odprężenia lubię czasem zajrzeć za mur klasztoru, gdzie największą tragedią jest zwiędła róża.

— Nie należy nie doceniać róż — powiedział Donal. — Ludzie umierali z powodu różnicy ich koloru.

— Daj spokój — zwrócił się do niego William. — Wojna Róż... starożytna Anglia? Nie mogę uwierzyć, że mówisz to ty, Donalu. Ten konflikt, podobnie jak wszystkie, miał u swego podłoża spory własnościowe. Wojny nigdy nie wybuchały z abstrakcyjnych powodów.

— Przeciwnie — zaprotestował Donal. — Wojny niezmiennie toczono z abstrakcyjnych powodów. Do wojen mogą podzegać ludzie w średnim wieku i starzy, ale walczą za nich młodzi. A ci potrzebują czegoś więcej niż praktycznego motywu, by dać się namówić na tragedię nad tragediami — koniec wszechświata — jaką jest umrzeć młodo.

— Cóż za pogrzipiająca postawa u zawodowego żołnierza! — roześmiał się William. — To przypomina mi, że może miałbym z tobą parę spraw do omówienia. Rozumiem, że podkreślasz znaczenie wojsk lądowych w porównaniu z in-

nymi formacjami, i słyszałem, że osiągnąłeś znaczące rezultaty w ich szkoleniu. Interesuje mnie to, gdyż Ceta chce wynająć te oddziały. Jaki jest twój sekret, protektorze? Dopuszczasz obserwatorów?

— Nie mam żadnego sekretu — powiedział Donal. — Może pan w każdej chwili przysłać obserwatorów naszego programu szkoleniowego, książę. Źródłem sukcesów naszych metod szkoleniowych jest odpowiedzialny za nie dowódca — mój wuj, komandor polowy Ian Graeme.

— A... twój wuj — powiedział William. — Nie przypuszczam, żebym mógł odkupić go od ciebie, jeśli to twój krewny.

— Obawiam się, że nie — odparł Donal.

— Dobrze, dobrze... tak czy inaczej, musimy porozmawiać. Na miły Bóg, wygląda na to, że moja szklanka sama się opróżniła. Czy ktoś jeszcze życzy sobie następnej?

— Nie, dziękuję — oświadczyła Anea.

— Ja również — odmówił Donal.

— A ja poproszę — zdecydował Galt.

— W takim razie chodźmy, panie marszałku — zwrócił się William do Galta. — Sami znajdziemy drogę do baru.

Ruszyli razem przez pokój, a Donal i Anea zostali sami.

* * *

— Nie zmieniałaś więc zdania na mój temat? — odezwał się Donal.

— Nie.

— Oto cała bezstronność Wybranki z Kultis — powiedział ironicznie.

— Nie jestem superczłowiekiem, wiesz o tym! — rozgniewała się jak dawniej. — Nie — mówiła już spokojniej — są prawdopodobnie miliony równie złych ludzi... albo gorszych... ale ty masz szczególny dar. I jesteś samolubem. A tego nie mogę ci wybaczyć.

— William wypaczył twój punkt widzenia — stwierdził.

— On przynajmniej nie ukrywa, jakim jest człowiekiem!

— Dlaczego zawsze należy uważać na cnotę szczerze przyznawanie się do wad? — zdziwił się Donal. — Poza tym, mylisz się. William — ściszył głos — robi z siebie diabła, abyś nie zauważyła, jaki jest naprawdę. Ci, którzy mają z nim do czynienia, stwierdzają, że jest zły, i myślą, że zgłębili jego charakter.

— O? — Jej ton był pogardliwy. — Jakie są więc te głębie?

— Jesteś blisko niego i nie dostrzegasz tego, co wyraźnie widać z pewnego dystansu. On żyje jak mnich; nie czerpie żadnych osobistych korzyści z tego, co robi — z długich godzin pracy. I nie dba o to, co o nim myślą.

— Nie bardziej niż ty.

— Ja? — zaskoczony ładunkiem prawdy zawartym w tym zarzucie, zdołał jednak zaprotestować. — Zależy mi na opinii niektórych ludzi.

— Na przykład? — spytała.

— Na przykład — odpowiedział — na twojej. Choć nie wiem dlaczego.

Już miała coś powiedzieć i niecierpliwie czekała, aż Donal skończy, ale zawa-
hała się, patrząc na niego rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

— Och — zachnęła się — nie próbuj mi tego wmówić!

— Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle próbuje ci cokolwiek powiedzieć —
odparował w nagłym przypływie goryczy i odszedł, zostawiając ją samą.

Opuścił przyjęcie i wrócił do swojego pokoju, gdzie pogrążył się w pracy, któ-
ra zatrzymała go przy biurku do wczesnych godzin rannych. Nawet kiedy w końcu
położył się, nie spał dobrze — co złożył na karb wypitych drinków.

Jego umysł mógł zbadać tę wymówkę... ale nie pozwolił mu na to.

Protektor III

— ...typowy impas — powiedział William, księżę Cety. — Nalej sobie jeszcze mozelskiego.

— Dziękuję, nie — odparł Donal. Konferencja odbywała się już drugi tydzień i Donal przyjął zaproszenie Williama na lunch w jego apartamencie po porannym posiedzeniu. Ryba była znakomita, wino importowane... a Donal zaintrygowany, chociaż jak do tej pory nie rozmawiali o niczym ważnym.

— Rozczarowujesz mnie — stwierdził William, odstawiając karafkę na mały stolik, przy którym siedzieli. — Sam nie jestem mocny w dziedzinie jedzenia i picia, ale lubię patrzeć, jak inni się raczą. — Uniósł brwi. — Ale twoje wychowanie na Dorsaja było raczej spartańskie?

— Pod pewnymi względami tak — odpowiedział Donal. — Spartańskie i może trochę prowincjonalne. Stwierdzam, że zaczyna mnie, podobnie jak Hendrika Galta, niecierpliwie brak postępów w naszych rozmowach.

— Ach, o to ci chodzi — powiedział William. — Żołnierz kocha działanie, a polityk brzmienie swojego głosu. Oczywiście, jest jednak lepsze wyjaśnienie. Do tej pory już zapewne zorientowałaś się, że spraw, których dotyczy konferencja, nie rozstrzyga się przy stole konferencyjnym — wskazał ręką na stojące przed nimi jedzenie — lecz w czasie takich właśnie rozmów w cztery oczy.

— Domyślam się więc, że te poufne rozmowy nie były jak do tej pory owocne. — Donal wysączył resztkę wina ze szklaneczki.

— Rzeczywiście — przyznał William wesóło. — Nikt naprawdę nie chce mieszać się do spraw innych światów i nikt tak naprawdę nie chce narzucać żadnej instytucji — jak wolny rynek — wbrew woli ich mieszkańców. — Potrząsnął głową widząc uśmiech Donala. — Nie, nie... mówię całkiem szczerze. Większość delegatów wolałaby, żeby problem wolnego rynku nigdy nie powstał na Nowej Ziemi i nic im nie przeszkadzało w prowadzeniu ich własnej gry.

— Pozostanę jednak przy własnym zdaniu — powiedział Donal. — W każdym razie jesteśmy teraz tutaj i musimy podjąć jakąś decyzję. Za obecnym rządem lub przeciwko niemu i za wolnym rynkiem lub przeciwko tej praktyce.

— Czyżby? — spytał William. — A dlaczego nie rozwiązanie kompromisowe?

— Jakiego rodzaju kompromis?

— Właśnie po to — stwierdził William szczerym tonem — zaprosiłem cię na lunch. Czuję pokorę wobec ciebie, Donalu... naprawdę. Całkowicie myliłem się w swojej ocenie pięć lat temu. Skrzywdziłem cię.

Donal podniósł rękę w bagatelizującym geście.

— Nie... nie — powiedział William. — Muszę cię przeprosić. Nie jestem dobrym człowiekiem, Donalu. Interesuje mnie tylko kupowanie tego, co inni mają do sprzedania... i jeśli dany człowiek ma jakiś talent, kupuję go. Jeśli nie... — znacząco zawiesił głos. — Ale ty masz talent. Miałeś go pięć lat temu, ale ja byłem zbyt zaabsorbowany sytuacją, żeby go dostrzec. Prawda jest taka, że Hugh Kilien był głupcem.

— Tu mogę się z tobą zgodzić — stwierdził Donal.

— Próbował spiskować z Aneą za moimi plecami... ale nie winie dziewczyny. Była wtedy jeszcze dzieckiem, pomimo swojego wieku. Właśnie tacy są ludzie z tej cieplarni Exotików — wolno dojrzewają. Ale powinienem był spodziewać się tego. W rzeczywistości, kiedy wracam do tego myślami, jestem ci wdzięczny za to, co zrobiłaś.

— Dziękuję — mruknął Donal.

— Naprawdę tak myślę. Nie znaczy to, że rozmawiam teraz z tobą tylko z poczucia wdzięczności — nie obrażałbym cię podobną sugestią. Ale jestem zadowolony, kiedy rzeczy tak się układają, że moja własna korzyść łączy się z szansą spłacenia małego długu wdzięczności wobec ciebie.

— Tak czy inaczej, doceniam to — rzekł Donal.

— Proszę bardzo. A teraz chodzi o to — powiedział William pochylając się nad stolikiem — że osobiście popieram wolny rynek. Jestem przecież biznesmem, a swobodny handel daje liczne korzyści. Ale dla interesów znacznie ważniejszy od wolnego rynku jest pokój między gwiazdami, a on wynika wyłącznie ze stabilnej sytuacji.

— Mów dalej — zachęcił go Donal.

— A więc istnieją tylko dwa sposoby narzucenia społeczeństwu pokoju — z zewnątrz lub od wewnątrz. Nie wydaje mi się, żebyśmy byli w stanie zrobić to od wewnątrz, więc dlaczego nie spróbować narzucić go z zewnątrz?

— A jak zamierzasz się do tego zabrać?

— Całkiem prosto — odparł William odchylając się na krześle. — Niech wszystkie światy mają wolny rynek, ale jednocześnie trzeba powołać osobny, ponadplanetarny organ, który nadzorowałby rynki. Zapewnić mu wystarczającą liczbę wojska, wspierającą jego autorytet, w razie potrzeby nawet przeciwko poszczególnym rządóm, oraz wyznaczyć odpowiedzialnego człowieka, z którym rządy będą bały się zadrzeć. — Spokojnie popatrzył na Donalą i umilkł, żeby oczekiwanie młodszego mężczyzny sięgnęło szczytu. — Jak podobałaby ci się taka praca? — zapytał w końcu.

— Mnie?

Donal spojrział na niego ze zdumieniem. Wzrok Williama przenikał go na wskroś. Donal wahał się, aż w końcu wydusił z siebie:

— Ja? Przecież taki człowiek byłby... — słowo zamarło, nie wypowiedziane, na jego ustach.

— Właśnie — powiedział William miękko.

Wyglądało na to, że Donal powoli wraca do siebie. Uważnie spojrział na Williama.

— Dlaczego przychodzisz do mnie z tą propozycją? — zapytał. — Są starsi dowódcy. Ludzie z większymi nazwiskami.

— Z tego też powodu przyszedłem do ciebie, Donalu — odparł William bez wahania. — Ich gwiazda blednie. Twoja wschodzi. Gdzie będą ci starsi za dwadzieścia lat? A z drugiej strony ty... — zrobił dłonią wymowny gest.

— Ja! — powiedział Donal. Wyglądał na oszołomionego. — Dowódca...

— Powiedzmy najwyższy dowódca — sprecyzował William. — Będzie dużo pracy, a ty wydajesz się człowiekiem stworzonym do niej. Jestem gotów wprowadzić w imieniu Cety podatek od międzyplanetarnych transakcji, który nas obciąży najbardziej ze względu na wielkość naszego handlu. Podatek będzie przeznaczony dla ciebie i twoich sił. Wszystko, czego chcemy w zamian, to trzyosobowa komisja jako najwyższa instancja. — Uśmiechnął się. — Nie moglibyśmy dać ci takiej władzy i zostawić cię bez żadnej kontroli.

— Przypuszczam... — Donal zawahał się. — Musiałbym zrezygnować z mojego stanowiska w systemie Procjona...

— Obawiam się, że tak — powiedział William otwarcie. — Musiałbyś odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia o sprzeczności interesów.

— Nie wiem. — Głos Donala był pełen wahania. — Mógłbym w każdej chwili utracić nowe stanowisko...

— Nie ma potrzeby martwić się o to — uspokoił go William. — Ceta skutecznie kontrolowałaby komisję... gdyż to my płacilibyśmy lwią część podatków. Poza tym niełatwo rozpuścić takie siły, gdy się je raz zbierze. A jeśli będą lojalne wobec swojego dowódcy — a jak słyszałem, twoje wojska zawsze są — będziesz w stanie sam bronić swojego stanowiska, gdyby już do tego doszło.

— A jednak — Donal nadal wysuwał obiekcje. — Objęcie takiego stanowiska nieuchronnie przysporzy mi wrogów. Gdyby coś poszło źle, nie miałbym dokąd pójść, nikt więcej nie wynająłby mnie...

— Szczerze mówiąc — powiedział William ostro — rozczarowujesz mnie, Donalu. Czy zupełnie pozbawiony jesteś zdolności przewidywania? — W jego głosie dało się słyszeć lekkie zniecierpliwienie. — Czy nie widzisz, że w nieunikniony sposób zmierzamy ku jednemu rządowi dla wszystkich światów? Może nie dojdzie do tego już jutro, może nawet nie w następnej dekadzie, ale jakakolwiek

organizacja ponadplanetarna musi nieuchronnie rozrosnąć się w najwyższą centralną władzę.

— W którym to przypadku — wtrącił Donal — nadal będę najemnym pracownikiem. Chcę — oczy zaświeciły mu mocniej — posiadać coś. Jakiś świat... dlaczego nie? Jestem przygotowany, by rządzić światem i bronić go. — Popatrzył na Williama. — Ty zachowasz swoją pozycję — powiedział.

Oczy Williama były twarde i jasne jak dwa oszlifowane kamienie. Zaśmiał się krótko.

— Nie owijasz niczego w bawełnę — stwierdził.

— Nie jestem tego rodzaju człowiekiem — powiedział Donal z lekką przechwałką w głosie. — Powinieneś się spodziewać, że przejrzę twój plan. Chcesz najwyższej władzy? Bardzo dobrze. Daj mi jeden ze światów... pod twoim zwierzchnictwem.

— A gdybym miał dać ci jakiś świat? — zapytał William. — Który?

— Jakiś spory. — Donal oblizał wargi. — Może Nową Ziemię?

William roześmiał się. Donal zeszytniał.

— Zmierzamy donikąd — stwierdził Donal i wstał. — Dziękuję za lunch. — Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

— Zaczekaj!

Obejrzał się na dźwięk głosu Williama, który również wstał i podszedł do Donala.

— Znowu cię nie doceniłem — zaczął mówić William. — Wybacz mi. — Położył dłoń na ramieniu Donala, zatrzymując go. — Prawda jest taka, że uprzedziłeś mnie jedynie. W rzeczywistości planowałem, że będziesz kimś więcej niż najemnym żołnierzem. Ale... to wszystko sprawa przyszłości — wzruszył ramionami. — Mogę ci tylko obiecać to, czego chcesz.

— O — powiedział Donal. — Chcę czegoś więcej niż obietnicy. Mógłbyś przygotować kontrakt zapewniający mi najwyższą władzę na Nowej Ziemi.

William popatrzył na niego ze zdumieniem i tym razem śmiał się długo i głośno.

— Donalu? — rzekł w końcu. — Wybacz mi... ale co by ci przyszło z takiego kontraktu? — Rozłożył ręce. — Któregoś dnia Nowa Ziemia może będzie moja i dam ci ją. Ale teraz...?

— A jednak mógłbyś mi dać obietnicę na piśmie. Byłaby gwarancją, że naprawdę myślisz to, co mówisz.

William przestał się śmiać. Jego oczy zwęziły się.

— Podpisać się pod czymś takim? — powiedział. — Za jakiego głupca mnie uważasz?

Donal spuścił z tonu, słysząc gniewną pogardę w głosie starszego mężczyzny.

— Dobrze... więc przynajmniej sporządzmy taką umowę — zaproponował. — Nie powinienem spodziewać się, że ją podpiszesz. Ale... przynajmniej miałbym coś.

— Miałbyś coś, co mogłoby ściągnąć na mnie kłopoty — powiedział William. — Zdajesz sobie, mam nadzieję, sprawę, że niczego byś nie osiągnął... wobec mojego zaprzeczenia, że kiedykolwiek rozmawialiśmy na ten temat.

— Czułbym się bezpieczniejszy, gdyby z góry zostały ustalone warunki — wyjaśnił Donal niemal pokornie.

William wzruszył ramionami z odcieniem lekceważenia.

— Chodź więc — powiedział i poszedł przez pokój do biurka. Nacisnął guzik i wskazał mikrofon. — Dyktuj.

* * *

Trochę później, opuszczając apartament Williama z nie podpisaną umową w kieszeni, Donal z takim impetem wypadł na główny korytarz hotelowy, że omal nie potracił Anei, która również wychodziła.

— Dokąd idziesz? — zapytał.

Dziewczyna spojrzała na niego.

— Nie twoja sprawa! — burknęła, ale wyraz jej twarzy, którego nie pozwoliłaby jej ukryć wrodzona uczciwość, wzbudził w nim nagłe podejrzenie. Szybkim ruchem złapał jej prawą dłoń zaciśniętą w pięść. Walczyła, ale z łatwością odgiął jej palce. W zagłębieniu dłoni leżał mały mikrofon kontaktowy.

— Nigdy nie przestaniesz być głupia — powiedział ze znużeniem, puszczając jej rękę, w której nadal tkwił mikrofon. — Ile usłyszałaś?

— Wystarczająco dużo, by utwierdzić się w swojej opinii o tobie! — wyszczała.

— Idź z tą opinią na następną sesję konferencji, jeśli uda ci się tam dostać — poradził.

I odszedł.

Patrzyła za nim, trzęsąc się z wściekłości i poczucia zdrady, dla którego nie potrafiła znaleźć gotowego ani sensownego wytłumaczenia.

Przez całe popołudnie i wieczór wmawiała sobie, że nie ma zamiaru przysłuchiwać się następnej sesji. Nazajutrz rano jednak zapytała Galta, czy nie mógłby postarać się dla niej o przepustkę do sali konferencyjnej.

Marszałek zmuszony był poinformować ją, że na prośbę Williama ta sesja miała być zamknięta. Obiecał jednak, że przyniesie jej wszelkie wiadomości, jakie będzie mógł. Musiała więc zadowolić się tym.

Kiedy Galt przyszedł na konferencję, okazało się, że jest spóźniony i że sesja rozpoczęła się już przed kilkoma minutami. William właśnie przedstawił propozy-

cję, która sprawiła, że marszałek Freilandii zeszywniał, zajmując swoje miejsce przy stole konferencyjnym.

— ... którą powołamy przez głosowanie — mówił William. — Naturalnie — uśmiechnął się — nasze rządy będą musiały później to ratyfikować, ale wszyscy wiemy, że będzie to głównie formalność. Ponad planetarny organ nadzorujący, mający w swojej jurysdykcji handel i kontrakty, spełni wymagania wszystkich naszych członków w związku z wprowadzeniem wolnego rynku. Nie ma również powodu — skoro jest to uboczna sprawa — dla którego nie mielibyśmy wezwać obecnego, samozwańczego rządu Nowej Ziemi do ustąpienia na rzecz poprzedniego, legalnego. I spodziewam się, że kiedy wezwiemy do tego jednogłośnie, obecna władza państwa podda się naszym żądaniom. — Z uśmiechem popatrzył na siedzących przy stole. — Słucham pytań i obiekcji, panowie.

— Powiedział pan — odezwał się Projekt Blaine swoim cichym, wyważonym głosem — coś o ponad narodowych siłach zbrojnych, które pilnowałyby przestrzegania decyzji organu nadzorującego. Istnienie takich sił oczywiście naruszałoby prawa poszczególnych światów. Chciałbym od razu powiedzieć, że nie sędzę, abyśmy chcieli utrzymywać takie wojsko, dać mu swobodę działania i pozwolić, by na jego czele stał dowódca wrogi naszym interesom. Krótko mówiąc...

— Nie mamy zamiaru zgodzić się na dowódcę, który nie będzie rozumiał naszych zasad i praw — przerwał mu Arjean z St. Marie, niemal przeszywając wzrokiem Wenusjanina. Galt nachmurzył się, ściągając krzaczaste brwi.

Było coś z poklepywania w sposobie, w jaki starli się ci dwaj. Galt odszukał wzrokiem Donala, by potwierdzić swoje podejrzenia, ale William znowu zabrał głos, przyciągając uwagę.

— Oczywiście, rozumiem — powiedział. — Myślę jednak, że mam odpowiedź na jakiegokolwiek wasze zastrzeżenia. — Uśmiechnął się do wszystkich. — Jak wiecie, najwyższej klasy dowódców jest niewiele. Każdy z nich ma różne powiązania, które mogłyby uczynić go niepożądanym dla niektórych delegatów. Ogólnie powiedziałbym, że potrzebujemy zawodowego żołnierza, który jest tylko zawodowym żołnierzem, nikiem więcej. Najlepszymi przykładami są, oczywiście, nasi Dorsajowie...

Wszystkie spojrzenia pobiegły ku Galtowi, który pod nachmurzoną miną próbował ukryć zaskoczenie.

— ... marszałek Freilandii byłby zatem, ze względu na swoją pozycję w zawodzie i między gwiazdami, naszym oczywistym kandydatem. Ale... — William wypowiedział to słowo w samą porę, by zdusić protesty, które zaczęły rozlegać się w różnych miejscach wokół stołu — Ceta uważa, że wobec długoletnich związków marszałka z Freilandią niektórzy z was niechętnie widzieliby go na takim stanowisku. Proponujemy więc innego człowieka, również Dorsaja, który jednak jest na tyle młody i od tak niedawna działa na scenie publicznej, że można go

uznać za wolnego od politycznych uprzedzeń... mówię o protektorze Procjona, Donalu Graemie.

Wskazał ręką na Donalą i usiadł.

Natychmiast podniósł się szmer głosów, ale Donal już stał — wysoki, szczupły i wyraźnie młodszy od pozostałych. Czekał, aż w końcu głosy umilkły.

— Nie zajmę panom więcej niż minutę — powiedział rozejrzawszy się wokół stołu. — Zgadza się z proponowanym przez księcia Williama kompromisowym rozwiązaniem problemu, któremu poświęcona jest konferencja. Szczerze sędzę, że światom potrzebny jest strażnik zapobiegający temu, co się ostatnio wydarzyło. — Przeszedł mówić i znowu powiódł wzrokiem po obecnych. — Jestem zaszczycony propozycją księcia Williama, ale nie mogę jej przyjąć z powodu czegoś, co niedawno wpadło mi w ręce. Nie wymienia się tam nazwisk, lecz obiecuje rzeczy, które będą dla nas wszystkich rewelacją. Ja również nie wymienię nazwisk, ale jeśli jest to próbka tego, co się tutaj dzieje, to domyślam się, że przehandlowano prawdopodobnie kilka takich pism.

Urwał, żeby jego słowa zrobiły odpowiednie wrażenie.

— Tak więc nie przyjmę nominacji. A co więcej, wycofuję się z roli delegata na tę konferencję na znak protestu przeciwko podobnemu postępowaniu. Nie mógłbym przyjąć takiego stanowiska ani takiej odpowiedzialności inaczej, jak z całkowicie czystymi rękami i bez przypiętych łatek. Do widzenia, panowie.

Uklonił się i w zupełnej ciszy odsunął się od stołu. Już miał skierować się do wyjścia, ale zatrzymał się i wyciągnął z kieszeni nie podpisany i nie zawierający nazwisk kontrakt, który poprzedniego dnia otrzymał od Williama.

— A przy okazji — powiedział — oto rzecz, o której mówiłem. Może chcielibyście ją obejrzeć.

Rzucił kontrakt na stół i wymaszerował z sali. Kiedy znalazł się za drzwiami, do jego uszu dobiegł nagły wybuch pomieszanych głosów.

Nie wrócił prosto do swojego pokoju, lecz poszedł najpierw do Galta. Kiedy robot wpuścił go, Donal pewnym krokiem udał się do salonu, jak ktoś spodziewający się, że pokój będzie pusty.

* * *

Było jednak inaczej. Zrobił kilka kroków przez pokój, zanim zauważył drugą osobę siedzącą samotnie przy stoliku do szachów i patrzącą na niego przestraszonym wzrokiem.

To była Anea.

Donal zatrzymał się i skinął jej głową.

— Przepraszam — powiedział. — Zamierzałem zaczekać na Hendrika. Pójdę do innego pokoju.

— Nie. — Anea wstała. Twarz miała trochę bladą, ale opanowaną. — Ja również na niego czekam. Czy sesja już się skończyła?

— Jeszcze nie — odpowiedział.

— Więc zaczekajmy razem. — Usiadła z powrotem przy stoliku. Wskazała ręką na figury szachowe, których ustawienie świadczyło, że rozwiązywała wcześniej jakiś problem szachowy. — Grasz?

— Tak — odparł.

— Więc przyłącz się do mnie.

Powiedziała to prawie jak rozkaz. Donal jednak spokojnie przeszedł przez pokój i zajął miejsce naprzeciwko niej. Zaczęła rozstawiać figury.

Jeśli spodziewała się wygrać, to pomyliła się. Donal wygrał trzy szybkie partie, ale co dziwne, nie wykazując przy tym szczególnej błyskotliwości. Zdawał się jedynie konsekwentnie wykorzystywać okazje, które ona przegapiła, choć wyraźnie rzucały się w oczy. Wyniki gry należało raczej tłumaczyć jej bezmyślnością niż jego spostrzegawczością. Właśnie to powiedziała. Donal wzruszył ramionami.

— Grałaś ze mną — powiedział. — A powinnaś raczej grać z moimi figurami.

Zmarszczyła brwi, ale zanim zdążyła przemyśleć jego słowa, zza drzwi dobiegły odgłosy kroków i wmaszerował podniecony Galt.

Donal i Anea wstali.

— Co się stało?! — krzyknęła.

— Co? Co? — Uwaga Galt zwrócona była na Donala. Dopiero teraz ją zauważył. — Nie powiedział ci, co się wydarzyło, zanim opuścił posiedzenie?

— Nie! — Rzuciła spojrzenie na Donala, ale jego twarz pozostała niezruszona.

Galt szybko opowiedział jej. Twarz Anei pobladła i pojawił się na niej wyraz oszołomienia. Zwróciła się do Donala, ale zanim zdołała sformułować pytanie, Donal zapytał Galt.

— A po moim wyjściu?

— Powinieneś być to widzieć! — W głosie starszego mężczyzny pobrzmiwała niepohamowana wesołość. — Zanim zniknąłeś, wszyscy skoczyli sobie do gardeł. Przysięgam, że czterdzieści lat zakulisowych rozmów, podchodów i kompromisów poszło na marne w ciągu następnych pięciu minut. Nikt nie ufał nikomu, wszyscy podejrzewali wszystkich! To było jak bomba! — Galt zachichotał. — Poczułem się o czterdzieści lat młodszy, kiedy to zobaczyłem. A kto faktycznie zwrócił się z tym do ciebie, chłopcze? William, nieprawdaż?

— Wolalbym nie mówić — odparł Donal.

— Dobrze, dobrze... mniejsza o to. Biorąc pod uwagę skutki, to mógłby być każdy z nich. Ale zgadnij, co się stało! Zgadnij, jak to się skończyło...

— Mimo wszystko wybrali mnie na najwyższego dowódcę? — powiedział Donal.

— Oni... — Galt zawahał się, a na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia. — Skąd wiesz?

Donal uśmiechnął się niewesoło. Ale zanim zdołał odpowiedzieć, Anea głośno zaczerpnęła powietrza zwracając na siebie uwagę obu mężczyzn. Stała w niewielkiej odległości od nich z pobladłą i znieruchomiałą twarzą.

— Mogłam się spodziewać — powiedziała do Donala cichym, twardym głosem. — Mogłam się domyślić.

— Domyślić? Czego? — zapytał Galt, patrząc to na jedno, to na drugie. Ale Anea nie odrywała oczu od Donala.

— Więc to miałeś na myśli, kiedy powiedziałeś, żebym przyszła ze swoją opinią na dzisiejszą sesję — mówiła dalej tym samym cichym, pełnym nienawiści głosem. — Czy myślałeś, że ta... podwójna gra coś zmieni?

Na chwilę w zazwyczaj nieprzeniknionych oczach Donala pojawił się ból.

— Powiniennem być wiedzieć — powiedział spokojnie. — Sądziłem, że może zrozumiesz konieczność takiego działania...

— Dziękuję — wtrąciła lodowato. — Wystarczy, że jestem po kostki w błocie. — Zwróciła się do Galta. — Zobaczymy się innym razem, Hendriku. — I dumnym krokiem wyszła z pokoju.

Dwaj mężczyźni patrzyli na nią w milczeniu. Później Galt odwrócił się powoli i spojrzął na młodego mężczyznę.

— Co jest między wami dwojgiem, chłopcze? — zapytał.

Donal potrząsnął głową.

— Sądzę, że pół nieba i całe piekło — powiedział i to była najjaśniejsza odpowiedź, jaką zdołał wydobyć z niego marszałek.

Najwyższy dowódca

Po wprowadzeniu powszechnego systemu wolnego rynku, nadzorowanego przez Zjednoczone Siły Planetarne pod dowództwem Donala Graeme'a, cywilizowane światy cieszyły się niezwykłym stanem niemal doskonałego pokoju przez dwa lata, dziewięć miesięcy i trzy dni czasu absolutnego. Wczesnym rankiem czwartego dnia Donal obudził się potrząsany za ramię.

— Co? — zapytał rozbudzając się błyskawicznie.

— Sir... — To był głos Lee. — Kurier specjalny chce się z panem widzieć. Mówi, że jego wiadomość nie może czekać.

— Dobrze. — Zdecydowanym ruchem opuścił nogi z łóżka i sięgnął po ubranie wiszące na krześle. Zgarnął je, szorując przy okazji czymś po podłodze.

— Światło — powiedział do Lee. Światło zapaliło się, ukazując upuszczony przedmiot — urządzenie sygnalizacyjne noszone na nadgarstku. Podniósł je i spojrzał na nie zaspanym wzrokiem. — Dziewiąty marca — mruknął. — Zgadza się, Lee?

— Zgadza się — odparł Lee z drugiego końca pokoju.

Donal zachichotał nieco ochryple.

— To jeszcze nie idy marcowe — powiedział półgłosem. — Ale już blisko. Blisko.

— Sir?

— Nic. Gdzie jest kurier, Lee?

— W świetlicy ogrodowej.

Donal wciągnął spodnie, a potem odruchowo spodnie, koszulę i marynarkę — pełny mundur. Przez pograżone w ciemnościach mieszkanie w Tomblecity na Cassidzie ruszył za Lee do świetlicy ogrodowej. Czekał tam na niego kurier — szczupły, niski, ubrany po cywilnemu mężczyzna w średnim wieku.

— Komandorze... — Kurier zerknął na niego. — Mam dla pana wiadomość. Sam nie wiem, co ona oznacza...

— Mniejsza o to — przerwał mu Donal. — Jaka to wiadomość?

— Miałem panu przekazać: „Szary szczur wyszedł z czarnego labiryntu i nacisnął białą dźwignię”.

— Rozumiem — powiedział Donal. — Dziękuję. Kurier ociągał się.

— Jakaś wiadomość lub rozkazy, komandorze?

— Nie, dziękuję. Dobrego dnia — powiedział Donal.

— Dobrego dnia, sir — odpowiedział kurier i wyszedł, odprowadzany przez Lee. Kiedy ordynans wrócił, zastał Donalą w towarzystwie jego wuja, Iana Grame'a, kompletnie ubranego i wyekwipowanego. Donal przypinał właśnie pas z bronią. W sztucznym świetle, które rozproszyło ciemności panujące w pokoju, przy śniadym potężnym wuju, tym bardziej widać było po Donalu wyniszczający wpływ ostatnich miesięcy. Nie tyle wychudł, co stał się żylasty — twarde mięśnie obciągała napięta skóra. A oczy mu się zapadły i pociemniały ze zmęczenia.

Patrząc na niego, można było przypuszczać, że jest to człowiek na skraju załamania psychicznego lub fanatyk, który już dawno przekroczył granice zwykłej ludzkiej wytrzymałości. Było w nim coś z fanatyka, jakby półprzezroczystość krucho naczynia jego ciała, przez które przeświecał niszczycielski płomień woli. Z tym że Donal nie tyle był przezroczysty, co jarzył się jak czysta sztaba hartowanej stali rozgrzana do białości płomieniem wszystko trawiącej, niewyczerpanej woli.

— Weź broń, Lee — powiedział wskazując na pas. — Mamy dwie godziny, zanim słońce wejdzie i wybuchnie bomba. Potem uznają mnie za przestępcę na wszystkich światach oprócz Dorsaj... i was dwóch także. — Nie przyszło mu do głowy, by zapytać ich, czy chcą rzucić się w piekło, które miało się wokół niego rozpętać. Tamtym również nie przyszło do głowy dziwić się, że nie zapytał o to. — Ianie, wysłałeś wiadomość do Ludrowa?

— Tak — odparł Ian. — Jest w przestrzeni ze wszystkimi jednostkami i zatrzyma je tam nawet przez tydzień, jeśli będzie trzeba — bez łączności.

— Dobrze. Chodźmy.

* * *

Kiedy wyszli z budynku na platformę czekającą na nich na zewnątrz i później, kiedy w ciemnościach przed świtem sunęli bezszelestnie w stronę lądowiska znajdującego się niedaleko rezydencji, Donal milczał zastanawiając się, czego można dokonać w ciągu siedmiu dni czasu absolutnego. Ósmego dnia Ludrow miał wznowić łączność, a rozkazy, jakie wtedy mu prześle Donal, będą różniły się zdecydowanie od tych, które wcześniej otrzymał od niego zapieczętowane i które właśnie teraz otwierał. Siedem dni...

Dotarli do lądowiska. Statek kurierski N4J typu powietrzno-kosmicznego czekał na nich gotowy do startu, z zapalonymi światłami postojowymi. Luk w przedniej części wielkiego ciemnego cylindra otworzył się, kiedy się zbliżyli, i pojawił się w nim starszy kapitan z bliznami na twarzy.

— Sir — powiedział salutując Donalowi i usuwając się na bok, żeby ich przepuścić. Weszli do środka i luk zamknął się za nimi.

— Coby, kapitanie — powiedział Donal.

— Tak jest, sir. — Kapitan podszedł do mikrofonu w ścianie. — Sterownia. Coby — polecił. Odwrócił się. — Czy mogę zaprowadzić pana do sali klubowej, komandorze?

— Na razie tak — odparł Donal. — I każ przynieść nam kawy.

Poszli do sali klubowej statku kurierskiego, urządzonej jak salon na prywatnym jachcie. Zaraz pojawiła się kawa na małym samobieźnym wózku, który sam wjechał przez drzwi i zatrzymał się przed nimi.

— Usiądź z nami, Cor — zaprosił go Donal. — Ian, to kapitan Coruna el Man; Cor, to mój wuj, Ian Graeme.

— Dorsaj! — powiedział Ian wyciągając rękę.

— Dorsaj! — odpowiedział el Man. Uśmiechnęli się lekko do siebie — dwaj groźni zawodowi wojownicy.

— Dobrze — powiedział Donal. — Zostaliście już sobie przedstawieni... a teraz, ile czasu zabierze nam podróż na Coby?

— Pierwszy skok możemy wykonać, kiedy tylko opuścimy atmosferę — odparł el Man swoim ochrypłym, zgrzytliwym głosem. — Dokonaliśmy obliczeń z uwzględnieniem rezerwy czasowej. Po pierwszym skoku minimum cztery godziny zajmie obliczenie następnego. Będziemy wtedy w odległości roku świetlnego od Coby i każde przejście fazowe będzie stopniowo wymagało coraz krótszych obliczeń, aż znajdziemy się w punkcie zero. Mimo wszystko... oznacza to pięć okresów obliczeniowych, średnio po dwie godziny każdy. Dziesięć godzin plus początkowe cztery daje czternaście godzin, bezpośredni lot i lądowanie na Coby kolejne trzy do czterech godzin. Razem jakieś osiemnaście godzin... minimum.

— W porządku — powiedział Donal. — Potrzebuję dziesięciu twoich ludzi na mały wypad. I dobrego oficera.

— Mnie — podsunął el Man.

— Kapitanie, ja... bardzo dobrze — zgodził się Donal. — Ty i dziesięciu ludzi. A teraz — z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął plan architektoniczny — spójrzcie tutaj. Oto zadanie, które musimy wykonać.

* * *

Plan przedstawiał podziemną rezydencję na Coby, planecie kopalń, która nigdy nie została właściwie przystosowana dla ziemskiego życia. W rzeczywistości nie wiadomo, czy udałoby się tego dokonać nawet z wykorzystaniem nowoczesnych metod. Wega, gwiazda typu A0, była zbyt niegościnna dla swoich siedmiu planet, chociaż Coby okrążała ją jako czwarta z kolei.

Sam plan przedstawiał rezydencję średniej wielkości, składającą się prawdopodobnie z osiemnastu pokoi, otoczoną ogrodami i dziedzińcami. Różnice między

nią a zwykłymi naziemnymi rezydencjami na innych planetach — widoczne dopiero, kiedy pokazał je Donal — brały się z zastosowanych tu drobnych sztuczek. Jeśli chodziło o wygląd zewnętrzny, ktoś będący w domu lub w jednym z ogrodów mógł wyobrazić sobie, że znajduje się na powierzchni przekształconej na modłę ziemską planety. Ale osiem dziesiątych tego wrażenia byłoby czystą iluzją. W rzeczywistości osoba ta miała by wokół siebie we wszystkich kierunkach litą skałę — dziesięć metrów nad głową, pod stopami i po bokach.

Z sytuacji tej wynikały pewne minusy dla planowanego wypadu, ale także i określone korzyści. Ujemną stroną było, że po osiągnięciu celu — a chodziło o człowieka, którego tożsamości Donal nie raczył ujawnić — wycofanie się mogło okazać się nie tak łatwe jak na powierzchni, gdzie było po prostu kwestią dotarcia do czekającego w pobliżu statku i wystartowania. Wielką korzyścią jednak — która niemal rekompensowała wspomnianą ujemną stronę — był fakt, że skały otaczające rezydencję wyglądały jak plaster miodu — pocięte były tunelami i pomieszczeniami gospodarczymi, podtrzymującymi złudzenie, że jest się na powierzchni. Sytuacja ta ułatwiała dostanie się tam przez zaskoczenie.

Kiedy odprawa się skończyła, Donal podał plany el Manowi, który wyszedł, by zebrać grupę wypadową. Graeme zaproponował Lee i Ianowi, żeby poszli za jego przykładem i spróbowali się trochę przespać. Sam udał się do swojej kabiny, rozebrał się i padł na koję. Przez kilka minut wydawało się, że jego umysł z wyczerpania i napięcia pograży się w spekulacjach, co też dzieje się na różnych światach, podczas gdy on tu śpi. Niestety, nikt jeszcze nie rozwiązał problemów związanych z odbieraniem transmisji z głębokiej przestrzeni. Właśnie dlatego międzygwiazdne wiadomości nagrywano na taśmy i przesyłano statkami. Był to najszybszy i jedyny praktyczny sposób przekazywania ich.

Jednakże dwadzieścia lat treningu zrobiło swoje. Donal powoli zapanował nad swoimi nerwami i zasnął.

Obudził się dwanaście godzin później, czując się bardziej wypoczęty niż kiedykolwiek od ponad roku. Zjadł śniadanie i szedł do sali gimnastycznej, która, choć mała i ciasna, była mimo wszystko luksusem na statku kosmicznym. Został tam Iana, ćwiczącego metodycznie dorsajskim zwyczajem. Procedurę tę potężny, śniady mężczyzna powtarzał każdego ranka — jeśli warunki temu sprzyjały — tak sumiennie i niemal odruchowo, jak większość mężczyzn goli się i myje zęby. Przez kilka minut Donal przyglądał się Ianowi leżącemu na ławeczce i wykonującemu skręty tułowia i skłony. Kiedy wuj opadł na matę — jego szeroki tors błyszczał od potu, którego zapach wdzierał się w nozdrza — Donal przyjął wyzwanie do zapasów.

Wynik nieco zaskoczył Iana. Należało się spodziewać, że jest silniejszy od Donala — był potężnym mężczyzną. Ale Donal powinien mieć przewagę w szybkości, zarówno ze względu na wiek, jak i wrodzony refleks. Jednak napięcie i fizyczna beczyność, jakiej poddał się w ciągu ostatniego roku, dały o sobie

znać. W ostatniej sekundzie wyrwał się wujowi z trzech kolejnych chwytów, ale kiedy w końcu udało mu się rzucić go na matę, zrobił to za pomocą sztuczki, do której nie poniżyłby się w czasie nauki w szkole na Dorsaj, sztuczki wykorzystującej lekką sztywność lewego ramienia wuja, będącą rezultatem starej rany.

Ian nie mógł nie zorientować się w sytuacji i nie zauważyć nieuczciwego manewru, którym Donal go pokonał. Wydawało się jednak, że nic go nie obchodzi w tych dniach. Nie powiedział nic, lecz wziął prysznic i ubrał się, a potem razem z Donalem poszedł do sali klubowej.

* * *

Ledwo usiedli, kiedy z głośnika popłynęło ostrzeżenie, a kilka minut później nastąpił wstrząs przejścia fazowego. Gdy tylko się ono skończyło, do sali wszedł el Man.

— Jesteśmy w zasięgu nadajnika, komandorze — oznajmił. — Jeśli chce pan posłuchać wiadomości. . .

— Proszę — powiedział Donal.

El Mań dotknął jednej ze ścian, która zrobiła się przezroczysta, ukazując trójwymiarowy obraz Cobyjczyka siedzącego za biurkiem.

— . . . korzystając z oskarżeń — dobiegł głos mężczyzny za biurkiem — wysuniętych przez Komisję Wolnego Rynku przeciwko komandorowi Graeme'owi, dowódcy Zjednoczonych Sił Planetarnych. Sam komandor zniknął wraz z większością swoich jednostek podprzestrzennych, z którymi nie ma obecnie łączności i których miejsce pobytu jest nieznane. Taki rozwój sytuacji doprowadził do aktów przemocy na większości cywilizowanych światów, a w niektórych przypadkach do otwartej rewolty przeciwko legalnym rządóm. Walczące odłamy wyrażają z jednej strony strach społeczeństw przed wolnym rynkiem, a z drugiej przekonanie, że oskarżenia przeciwko Graeme'owi są próbą zlikwidowania ostatnich istniejących jeszcze gwarancji praw jednostki.

Według naszych informacji walki toczą się na następujących planetach: Wenus, Marsie, Cassidy, Nowej Ziemi, Freilandii, Zjednoczeniu, Harmonii i St. Marie, a rządy Cassidy, Nowej Ziemi i Freilandii zostały usunięte lub ukrywają się. Spokój panuje na Starej Ziemi, Dunnin, Marze, Kultis i Cecie. Żadnych walk nie ma również na Coby. Książę Cety, William, zaproponował użycie swoich wynajętych wojsk jako sił policyjnych do położenia kresu rozruchom. Kontyngenty wojsk cetańskich znajdują się obecnie w drodze do miejsc, gdzie trwają zamieszki. William zapowiedział, że jego wojska będą użyte do przywrócenia spokoju wszędzie tam, gdzie okaże się to konieczne, niezależnie od tego, w czyich są rękach. „Naszym zadaniem jest — jak stwierdził — nie opowiadanie się po którejś ze stron, lecz zaprowadzenie porządku w obecnym chaosie i wygaszenie płomieni samozniszczenia”.

Ostatnie doniesienia ze Starej Ziemi mówią, że część odłamów powstańczych wzywa do ogłoszenia Williama regentem o uniwersalnej władzy i specjalnych pełnomocnictwach, niezbędnych do uporania się z obecną krytyczną sytuacją. Inne ugrupowania wysuwają na podobne stanowisko kandydaturę Graeme'a, zaginionego komandora.

— To na razie wszystko — zakończył mężczyzna za biurkiem. — Oglądajcie nasze następne wiadomości za piętnaście minut.

— Dobrze — powiedział Donal i gestem nakazał el Manowi wyłączyć odbiornik. — Ile jeszcze do lądowania?

— Parę godzin — odparł el Man. — Jesteśmy trochę przed czasem. To było ostatnie przejście fazowe. Lecimy teraz bezpośrednim kursem. Czy ma pan współrzędne miejsca lądowania?

Donal skinął głową i wstał.

— Pójdę do sterowni — powiedział.

* * *

Proces naprowadzania N4J na miejsce na powierzchni Coby, odpowiadające współrzędnym podanym przez Donalą, był czasochłonny, lecz prosty — jedyną komplikację stwarzało życzenie Donalą, by ich wizyta pozostała nie zauważona. Coby nie miał do obrony niczego, co mógłby mieć przystosowany do życia ziemskiego świat. Bez przeszkód wylądowali na jej pozbawionej atmosfery powierzchni, bezpośrednio nad lukiem towarowym prowadzącym do podziemnych tuneli transportowych.

— W porządku — powiedział Donal pięć minut później do grupki uzbrojonych mężczyzn zebranych w sali klubowej. — To jest całkowicie ochotnicza wyprawa i każdemu z was daję jeszcze jedną szansę wycofania się. — Począł. Nikt nie poruszył się. — Zrozumcie — mówił dalej — że nie chcę, by ktoś szedł ze mną tylko dlatego, że wstydził się wahać, kiedy koledzy zgłaszali się na ochotnika. — Znowu odczekał chwilę. Nikt się nie wycofał. — Więc dobrze. Oto, co zrobimy. Zejdziemy do luku towarowego i dalej do pomieszczenia magazynowego, skąd prowadzą drzwi do tunelu. Nie skorzystamy jednak z nich, lecz przebijemy się bezpośrednio przez jedną ze ścian do sekcji obsługi przyległej rezydencji. Widzieliście wszyscy plan naszej trasy. Macie iść za mną lub za osobą, która przejmie dowództwo. Kto nie nadaży, tego zostawimy. Wszyscy zrozumieli?

Popatrzył po twarzach.

— W porządku — powiedział. — Idziemy.

Ruszyli korytarzem, opuścili statek i przez luk towarowy dostali się do magazynu. Okazał się on dużym, mrocznym pomieszczeniem o ścianach ze stopionej skały. Donal odmierzył fragment jednej z nich i zapędził do roboty swoich ludzi z palnikami. Trzy minuty później byli już w sekcji obsługi cobyjskiej rezydencji.

Miejsce, w którym się znaleźli, było siecią małych tuneli, szerokich na tyle, by mógł przejść jeden człowiek. W małych niszach znajdowały się urządzenia techniczne potrzebne do utrzymania rezydencji w dobrym stanie. Ściany były pokryte fosforyzującą farbą. W jej zimnym białym świetle przeszli gęsiego tunelami i wynurzyli się w jakimś ogrodzie.

Dobowy system rezydencji najwyraźniej ustawiony był teraz na noc. Ciemności spowijały ogród, a w górze widniała roziskrzona gwiazdami doskonała imitacja nieba. Z przodu i po prawej stronie znajdowały się pokoje łagodnie oświetlone od wewnątrz.

— Dwaj ludzie zostaną przy tym wejściu — szepnął Donal. — Reszta idzie za mną.

Nisko pochyleni przebiegli przez ogród aż do stóp szerokich schodów. Na ich szczycie widać było samotną postać przemierzającą tam i z powrotem taras przed oszkloną ścianą.

— Kapitanie! — zawołał cicho Donal.

El Man wśliznął się w krzaki rosnące pod tarasem. Chwilę czatował pośród sztucznej nocy, a potem jego ciemna sylwetka pojawiła się nagle na tarasie za spacerującą postacią. Obie stopiły się ze sobą, osunęły. . . i został tylko jeden cień — el Man. Skinął na pozostałych.

— Trzech ludzi do pilnowania tarasu — szepnął Donal, kiedy wszyscy dotarli na szczyt schodów.

El Mań wyznaczył potrzebnych żołnierzy, a reszta weszła do oświetlonego wnętrza domu.

* * *

Gdy przechodzili przez kilka pierwszych pokoi, sądzili, że osiągną swój cel nie napotkawszy nikogo oprócz człowieka, którego szukali. Wtem niespodziewanie znaleźli się w wirze bitwy. Kiedy weszli do głównego holu, z trzech pokoi naraz posypały się na nich strzały z krótkiej broni. Wyszukoleni napastnicy automatycznie rzucili się na podłogę i odpowiedzieli ogniem. Byli jednak przygwożdżeni.

Oni tak, ale nie trzej Dorsajowie. Donal, Ian i el Man zareagowali w ten szczególny sposób, uwarunkowany przez geny, refleks i specjalne szkolenie. Czynił on z Dorsajów wyjątkowych żołnierzy. Ci trzej w ułamku sekundy zareagowali odruchowo i zgodnie, zanim jeszcze otworzono do nich ogień. Było niemal tak, jakby w grę wmieszał się element jasnowidztwa. Tak czy inaczej, w odruchu szybszym od myśli wszyscy trzej rzucili się do jednych z drzwi, dosięgli ich i zamknęli się w środku razem z przeciwnikami, zanim ci zdążyli wystrzelić. Dorsajowie znaleźli się w ciemnym pokoju, gdzie rozgorzała walka wręcz.

I tu znowu potwierdziła się wyjątkowość dorsajskich żołnierzy. W zasadzkę w zamkniętym pokoju wpadło ośmiu mężczyzn, z których wszyscy byli weteranami. Jednak nawet w parze nie mogli poradzić sobie w walce wręcz z jednym Dorsajem, a w dodatku Dorsajowie mieli tę przewagę, że potrafili niemal instynktownie rozpoznać siebie nawzajem w ciemności i zamieszaniu oraz połączyć swoje siły bez porozumiewania się. Doszło więc do sytuacji, że trzech widzących mężczyzn walczyło z ośmioma nie widzącymi.

Donal wskoczył do ciemnego pokoju tuż za el Manem po jego lewej stronie, mając Iana tuż za sobą. Ich atak rozdzielił obrońców na dwie grupy i zepchnął głębiej w ciemność, który to manewr Dorsajowie w milczącej zgodzie wykorzystali do dalszego rozdzielenia wroga. Donal popychał sam czterech mężczyzn. Zostawiwszy trzech znajdującemu się za nim Ianowi — zgodnie z prostą i wynikającą ze zdrowego rozsądku nauką, że najlepiej jest walczyć z jednym człowiekiem naraz — zanurkował do kolan przeciwnika, zwarł się z nim i obaj potoczyli się po podłodze. Podczas szamotaniny Donal przetrzącił tamtemu kark.

Przetoczył się jeszcze kawałek, zerwał się i instynktownie odskoczył w bok. Jakaś ciemna postać śmignęła obok niego... ale instynkt podpowiedział mu, że to el Man przebiegający przez pokój, by narobić jeszcze większego zamieszania. Donal ruszył z powrotem w kierunku, z którego nadbiegł el Man, i natknął się na przeciwnika atakującego nisko trzymanym nożem. Zrobił unik, uderzył go w szyję twardym kantem dłoni... ale śmiertelny cios nie wyszedł mu czysto i tylko złamał tamtemu obojczyk. Zostawił go jednak i błyskawicznie obrócił się w prawo, przyparł kolejnego wroga do ściany i zmiażdżył mu tchawicę dźgnięciem sztywnych palców. Kiedy odskoczył od ściany i rzucił się na środek pokoju, słuch powiedział mu, że el Man właśnie wykańcza następnego wroga, a Ian zajmuje się ostatnimi dwoma. Śpiesząc mu z pomocą, chwycił jednego z jego przeciwników od tyłu i unieszkodliwił ciosem w nerki, Ian — co było dość zaskakujące — nadal walczył z ostatnim wrogiem. Donal doskoczył do niego i odkrył przyczynę, Ianowi trafił się inny Dorsaj.

Donal zwarł się z obydwoma mężczyznami i wszyscy razem upadli, przygważdżając przeciwnika do podłogi.

— *Shai Dorsai!* — wysapał Donal. — Poddaj się!

— Komu? — wycharczał tamten.

— Donalowi i Ianowi Graeme'om — powiedział Ian. — Foralie.

— Jestem zaszczycony — odparł obcy Dorsaj. — Słyszałem o was. Hord Van Tarsel, Kanton Snelbrich. Więc dobrze, pozwólcie mi wstać. I tak mam złamaną prawą rękę.

Donal i Ian pomogli podnieść się Van Tarselowi. El Man dokończył dzieła i podszedł do nich.

— Hord Van Tarsel... Coruna el Man — przedstawił Donal.

— Jestem zaszczycony — powiedział el Man.

— To dla mnie zaszczyt — odparł Van Tarsel. — Jestem waszym jeńcem, panowie. Chcecie moje słowo honoru?

— Byłbym wdzięczny — powiedział Donal. — Mamy tu jeszcze zadanie do wykonania. Na jakim jest pan kontrakcie?

— Zwykłym. Bez klauzuli lojalności. Dlaczego pan pyta?

— Czy istnieje jakikolwiek powód, dla którego nie mógłbym wynająć jeńca? — zapytał Donal.

— Nie jest nim na pewno obecna praca. — Van Tarsel powiedział to z obrzydzeniem. — Dwa razy sprzedawano mnie na wolnym rynku, gdyż pozwalał na to mój ostatni kontrakt. Poza tym — dodał — jak już powiedziałem, znam was ze słyszenia.

— Wynajmuję więc pana. Szukamy człowieka, którego pan tu strzegł. Może nam pan powiedzieć, gdzie go znajdziemy?

— Idźcie za mną — powiedział Van Tarsel i poprowadził ich w ciemności.

Otworzył drzwi i weszli do krótkiego korytarzyka, który zaprowadził ich do następnych drzwi.

— Zablokowane — stwierdził Van Tarsel. — Włączył się system alarmowy. — Spojrzał na nich. Nie mógł dalej iść, nawet jako wynajęty jeńiec.

— Spalcie to — rozkazał Donal.

On, Ian i el Man otworzyli ogień i drzwi rozżarzyły się do białości, aż w końcu stopiły się. Ian pchnął szczątki kopniakiem.

W środku pod przeciwległą ścianą przykucnął wielki mężczyzna w czarnym kapturze na głowie, trzymając w rękach wycelowany w nich niepewnie ciężki górniczy pistolet jonowy i przesuwał nim od jednego do drugiego napastnika.

— Nie bądź głupcem — powiedział Ian. — Wszyscy jesteście Dorsajami.

Pistolet opadł w rękach zakapturzonego mężczyzny. Zza maski dobiegł zduszony, gorzki okrzyk.

— Wychodź — nakazał mu gestem Donal.

Mężczyzna odrzucił broń i wyszedł przygarbiony. Ruszyli z powrotem korytarzem.

Walka w holu nadal się toczyła, kiedy wracali, ale ustała, gdy tam dotarli. Dwóch z pięciu ludzi, których tam zostawili, mogło poruszać się o własnych siłach, jeden z pomocą mógł wrócić na statek. Dwóch nie żyło. Wszyscy ruszyli szybko na taras, przez ogród i z powrotem do tunelu, zabierając po drodze ze sobą pozostałych członków grupy wypadowej. Piętnaście minut później znaleźli się na pokładzie i N4J wystartował.

W sali klubowej Donal stanął przed zakapturzonym mężczyzną, który osunął się na krzesło.

— Panowie — powiedział Donal — spójrzcie na technika społecznego Williama.

Ian i el Man, którzy byli tam obecni, zerknęli badawczo na Donalę — ich uwagę zwróciły nie tyle jego słowa, co nieoczekiwanie gorzki ton, jakim je wypowiedział.

— Oto człowiek, który posiał wiatr, a burzę zbierają teraz cywilizowane światy — mówił dalej Donal.

Wyciągnął rękę ku czarnemu kapturowi. Mężczyzna cofnął się, ale Donal złapał kaptur i zerwał go.

— Więc sprzedałeś się — powiedział.

Człowiekiem, który przed nimi siedział, był ArDell Montor.

Najwyższy dowódca II

ArDell patrzył na Donalę z pobladłą twarzą, ale nie opuścił wzroku pod jego zimnym spojrzeniem.

— Potrzebowałem pracy — odezwał się. — Zabijałem się. Nie przepraszam.

— Czy to wszystkie powody? — zapytał Donal ironicznie.

ArDell odwrócił twarz.

— Nie... — odpowiedział. Donal nie odezwał się. — Chodziło o nią — szepnął ArDell. — Obiecał mi ją.

— Ją! — Nuta w głosie Donalę sprawiła, że dwaj Dorsajowie instynktownie zrobili krok w jego kierunku. Ale Donal opanował się. — Aneę?

— Może zlitowałaś się nade mną... — ArDell szeptał do podłogi sali klubowej. — Nie rozumiesz... żyłem tak blisko niej przez te wszystkie lata... i byłem taki nieszczęśliwy... a ona... nie mogłem jej nie kochać...

— Nie — powiedział Donal. Powoli wyciekło z niego napięcie. — Nic nie mogłeś na to poradzić. — Odwrócił się. — Ty głupcze — rzucił, stojąc plecami do ArDella. — Czy nie znałeś go na tyle dobrze, by wiedzieć, kiedy kłamie? On chciał jej dla siebie.

— William? Nie! — ArDell zerwał się na równe nogi. — Nie on... z nią! To niemożliwe... coś takiego!

— Tak — powiedział Donal ze znużeniem. — Ale nie dlatego, że ktoś taki jak ty mógłby go powstrzymać. — Wskazał głową ArDella. — Proszę go zamknąć, kapitanie. — Twarda dłoń el Mana zamknęła się na ramieniu ArDella i skierowała go ku wyjściu z sali. — Kapitanie...

— Sir? — El Man obejrzał się.

— Spotkamy się ze statkami komandora Lłudrowa tak szybko, jak to możliwe.

— Tak jest, sir. — El Man na wpół wypchnął, a na wpół wyniósł ArDella Montora z sali, a zarazem — jakby symbolicznie — z głównego nurtu historii ludzkości, na który próbował wpłynąć swoją nauką, służąc Williamowi, księciu Cety.

N4J wyruszył na spotkanie z Lłudrowem. Nie było to zadanie, które dałoby się lekko i szybko wykonać. Niełatwo jest wyśledzić coś tak małego, jak flota ludzkich statków, w niewyobrażalnym bezmiarze przestrzeni międzygwiazdnej,

nawet kiedy się wie, gdzie powinna się znajdować. Jeszcze więcej trudności nastęcza precyzyjne określenie jej położenia. Ponieważ zawsze istniała możliwość ludzkiego błędu, należało zachować margines bezpieczeństwa — lepiej minąć cel niż podejść zbyt blisko niego. Ponadto z praktycznych względów nie jest możliwe tkwienie nieruchomo w jednym punkcie W przestrzeni. N4J wykonał przejście fazowe z miejsca, gdzie się znajdował, na pozycję, gdzie, jak obliczono, powinna znajdować się flota. Wysłał sygnał wywoławczy, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Dokonano ponownych obliczeń, wysłano sygnał... i powtarzano tę procedurę, dopóki nie otrzymano odpowiedzi: najpierw bardzo słabego sygnału, potem silniejszego, a w końcu na tyle silnego, by można nawiązać łączność. Na statku flagowym floty i na N4J wykonano ostateczne obliczenia... i wreszcie doszło do spotkania.

* * *

Do tego czasu minęły trzy kolejne dni z wyznaczonego tygodnia bez łączności. Donal wszedł razem z Ianem na pokład statku flagowego i objął dowództwo.

— Masz jakieś wiadomości? — brzmiało pierwsze pytanie Donala, kiedy spotkali się z Lłudrowem.

— Mam — odpowiedział komandor. — Między nami a Dunnin krąży nasz zakamuflowany wahadłowiec. Jesteśmy na bieżąco.

Donal skinął głową. Był to zupełnie inny problem niż ten, który N4J miał ze znalezieniem Lłudrowa. Wahadłowiec krążący między planetą, której położenie i kierunek ruchu były dobrze znane, a flotą, która znała własną pozycję i kurs, mógł pokonać dystans jednym skokiem. Jeśli odległość nie była zbyt duża — a zdarzało się to nawet między poszczególnymi planetami — by dokonać precyzyjnych obliczeń, mógł równie łatwo wrócić.

— Chcesz zobaczyć skrót czy sam mam ci opowiedzieć? — zapytał Lłudrow.

— Opowiedz mi — zdecydował Donal.

I Lłudrow zdał krótką relację.

Histeria, która wybuchła po wysunięciu przez komisję zarzutów przeciwko Donalowi i po jego zniknięciu, spowodowała, że rządy większości światów, już słabe i rozdierane sporami na temat wolnego rynku, rozpadły się. Tylko na Exotikach, Dorsaj, Starej Ziemi i dwóch małych planetach Coby i Dunnin nie nastąpiły zmiany. Pozbawione władzy światy zajął szybko i sprawnie William z uzbrojonymi oddziałami z Cety. W imieniu społeczeństw, ale działając pod bezpośrednimi rozkazami Williama, tymczasowe rządy przejęły władze na Nowej Ziemi, Freilandii, Newtonie, Cassidzie, Wenus, Marsie, Harmonii i Zjednoczeniu i trzymają je teraz w żelaznych kleszczach prawa wojennego. William — jak w przeszłości zgromadził materialne środki — tak teraz zgromadził wojska cywilizowanych

światów. Pod pozorem szkolenia, awansowania, wynajmowania, przenoszenia do rezerwy i tuzina innych papierkowych operacji zdobył kontrakty na armie wszystkich światów, na których zapanował bałagan. Jedyne, czego jeszcze potrzebował, to wysłać na planety małe kontyngenty oraz oficerów z odpowiednimi rozkazami dla już obecnych tam jednostek.

— Narada sztabu — zarządził Donal.

Lludrow — komandor floty, Ian — komandor połowy i kilku starszych oficerów zebrało się w sali narad statku flagowego.

* * *

— Panowie — powiedział Donal, kiedy zasiedli wokół stołu. — Jestem pewien, że wszyscy znacie sytuację. Jakież sugestie?

Nastąpiła chwila ciszy. Donal przebiegł wzrokiem wokół stołu.

— Nawiązać kontakt z Freilandią, Nową Ziemią lub innym miejscem, gdzie mamy poparcie — powiedział Ian. — Wysłać mały kontyngent i rozpocząć akcję przeciwko cetańskim rządóm. — Spojrzał na bratanka. — Znają twoje nazwisko... zawodowcy na wszystkich planetach. Moglibyśmy nawet zyskać poparcie części nieprzyjacielskich wojsk.

— Na nic się to nie zda — odezwał się Lludrow z drugiej strony stołu. — Zbyt długo by trwało. Kiedy zajmiemy jakąś planetę, William skoncentruje tam swoje siły. — Zwrócił się do Donala. — W bezpośredniej walce pokonamy go, ale jego statki zyskałyby wsparcie z każdej planety, o którą walczylibyśmy, a nasze siły lądowe miałyby pełne ręce roboty z utrzymaniem pozycji.

— To prawda — stwierdził Donal. — Co więc proponujesz?

— Wycofać się na jeden ze spokojnych światów — Exotiki, Coby, Dunnin. Lub nawet na Dorsaj, jeśli nas przyjmą. Będziemy tam bezpieczni i możemy wykorzystać czas na szukanie okazji do kontruderzenia.

Ian potrząsnął głową.

— Z każdym dniem, z każdą godziną — powiedział — William umacnia się na światach, które zajął. Im dłużej będziemy zwlekać, tym mniejsze będą nasze szanse. I wreszcie stanie się na tyle silny, że weźmie się za nas i pokona.

— Co więc mamy zrobić według ciebie? — zapytał Lludrow. — Flota bez własnej bazy to słaba broń. I ilu naszych ludzi będzie chciało nadstawić karku razem z nami? To są zawodowi żołnierze, człowieku, a nie patrioci walczący o swoją ziemię!

— Użyjesz swoich oddziałów teraz lub nigdy! — upierał się Ian potrząsając głową. — Mamy czterdzieści tysięcy gotowych do walki ludzi na pokładach tych statków. To ja jestem odpowiedzialny za nich i znam ich. Wysadź ich na jakiejś zacisznej planecie, a stracą formę w ciągu dwóch miesięcy.

— Nadal twierdzą... .

* * *

— W porządku. W porządku! — Donal zastukał w stół, żeby przywołać ich do porządku.

Lludrow i Ian usiedli głębiej na krzesłach. Wszyscy spojrzeli na Donalą.

— Chciałem, żeby wszyscy mieli okazję się wypowiedzieć — zaczął — i przekonać, że wyczerpaliśmy każdą możliwość. Prawda jest taka, że obaj panowie mają słuszne zastrzeżenia, ale każdy z planów odznacza się paroma zaletami. Tyle tylko, że to hazard — długa i desperacka gra.

Urwał i potoczył wzrokiem wokół stołu.

— Chciałbym przypomnieć wam właśnie teraz, że kiedy walczyacie z kimś wręcz, ostatnim miejscem, w które uderzycie, jest to, gdzie przeciwnik spodziewa się ciosu. Istotą skutecznej walki jest trafić wroga w nie chroniony punkt... tam gdzie tego nie oczekuje.

Donal wstał u szczytu stołu.

— William — mówił dalej — przez ostatnie kilka lat kładł nacisk na szkolenie wojsk lądowych. Ja robiłem to samo, ale w zupełnie innym celu.

Położył palec na przycisku znajdującym się na stole przed nim i odwrócił się do dużej ściany, którą miał za plecami.

— Bez wątpienia wszyscy, panowie, słyszeliście wojskowe powiedzenie, które brzmi: nie można podbić cywilizowanej planety. Tak się składa, że jest to jeden ze starożytnych truizmów, który mnie osobiście bardzo irytuje, gdyż powinno być oczywiste dla każdego myślącego człowieka, że teoretycznie można podbić wszystko... dysponując odpowiednimi środkami. Zdobycie cywilizowanego świata staje się więc zupełnie możliwe. Jedyne problem to dostarczenie wszystkiego, co niezbędne do takiej akcji.

Wszyscy słuchali go... niektórzy z lekkim zaintrygowaniem, inni z powątpiewaniem, jak gdyby spodziewali się, że to, co mówi, okaże się żartem, który ma zmniejszyć napięcie. Jedyne Ian był spokojny i zaszuchany.

— Takim środkiem stało się w ciągu kilku ostatnich lat to wojsko... częściowo wywodzące się z dawnych oddziałów, a częściowo niedawno wyszkolone. Wasi ludzie znają techniki walki, chociaż nie powiedziano im, w jaki sposób je zastosują. Dzięki rygorystycznemu szkoleniu, prowadzonemu przez obecnego tu Iana, powstała wysoko wyspecjalizowana jednostka sił lądowych — grupa, która w zwykłych warunkach bojowych liczy pięćdziesięciu ludzi, ale którą my powiększyliśmy do trzystu. Grupy zostały tak wyszkolone, by prowadzić całkowicie niezależną akcję i utrzymać się przez dłuższy czas. Podobne usprawnienia dotyczyły również innych jednostek... nawet ćwiczenia waszej floty przeprowadzane były z określonym zamierzeniem.

Zrobił przerwę.

— Jesteśmy, panowie, o krok od udowodnienia — mówił dalej — że to stare powiedzenie jest nieprawdziwe... i zajęcia całego cywilizowanego świata. Dokonamy tego z pomocą statków i ludzi, których mamy tu pod ręką i którzy zostali wybrani i wyszkoleni do tego szczególnego zadania... podobnie jak została wybrana planeta, którą mamy zdobyć, i dokładnie zbadana przez wywiad.

Uśmiechnął się do nich. Zasłuchani, wysunęli się w krzesłach do przodu. Nacisnął guzik, na którym przez cały czas trzymał palec. Ściana za plecami Donala zniknęła i pojawił się trójwymiarowy obraz dużej zielonej planety.

— Ten świat — powiedział — to centrum władzy i siły naszego wroga. Jego baza — Ceta!

To było zbyt wiele — nawet dla starszych oficerów. Wokół stołu podniósł się szmer głosów. Donal nie zwrócił na to uwagi. Otworzył szufladę i wyjął gruby plik dokumentów, który cisnął na blat.

— Zajmiemy Cetę, panowie — kontynuował. — W ciągu dwudziestu czterech godzin zastąpimy wszystkie miejscowe wojska, całą policję, wszystkie garnizony, milicję, organy wymiaru sprawiedliwości naszymi ludźmi.

Wskazał na plik dokumentów.

— Zajmiemy je w pokojowy sposób, niezależnie i równocześnie. Kiedy więc społeczeństwo obudzi się następnego ranka, stwierdzi, że jest strzeżone, broniowane i rządzone nie przez własne władze, lecz przez nas. Szczegóły co do celów i wyznaczonych zadań są tu, panowie. Może weźmiemy się do pracy?

* * *

Zabrali się do pracy. Ceta, duża planeta o niskiej grawitacji, miała rozległe dziewicze obszary. Jej cywilizowaną część można było podzielić na trzydzieści osiem głównych miast oraz leżące między nimi obszary rolnicze i tereny mieszkalne. Było tam wiele instalacji militarynych, wiele posterunków policji, wiele arsenałów, wiele garnizonów — szczegóły sypały się jak części dobrze zaprojektowanego mechanizmu, który z powrotem składano z nowych elementów — jednostek pod dowództwem Donala. Był to majstersztyk planowania wojennego.

— A teraz — powiedział Donal, kiedy skończyli — idźcie i poinformujcie swoje oddziały.

Patrzył za nimi, jak wychodzili z sali konferencyjnej — wszyscy oprócz Iana, którego zatrzymał, i Lee, po którego właśnie zadzwonił. Kiedy tamci wyszli, Donal zwrócił się do nich dwóch.

— Lee — powiedział — w ciągu sześciu godzin każdy żołnierz we flocie dowie się, co zamierzamy zrobić. Chcę, żebyś poszedł i znalazł człowieka — ale żadnego oficera — który sądzi, że to się nie uda. Ianie — spojrzał na swojego wuja — kiedy Lee znajdzie takiego i zawiadomi cię o tym, dopilnuj, by przysłano go do mnie natychmiast. Jasne?

Tamci skinęli głowami i wyszli, by wykonać swoje zadania. W efekcie pewien niezadowolony żołnierz z jednego z oddziałów desantowych odbył niespodziewane spotkanie i niespodziewanie serdeczną pogawędkę z najwyższym dowódcą. Pół godziny później weszli ramię w ramię do sterowni statku flagowego, gdzie Donal poprosił o połączenie ze wszystkimi statkami i otrzymał je.

— Do tego czasu — powiedział uśmiechając się z ekranów — wszyscy zostaliście już poinformowani o zbliżającej się akcji. Jest ona rezultatem wielu lat starannego planowania i działań najlepszego wywiadu, jaki mamy szczęście posiadać. Jednakże jeden z was przyszedł do mnie, by podzielić się naturalną obawą, że możemy ugryźć więcej, niż zdołamy przełknąć. Dlatego też, ponieważ jest to operacja nowego typu i ponieważ wierzę mocno, że nie można lekceważyć praw zawodowego żołnierza, wykonam bezprecedensowy krok i poddam pod głosowanie zamiar ataku na Cetaę. Będziecie głosowali statkami, a wyniki — zarówno głosy za, jak i przeciw — przekażą na statek flagowy wasi kapitanowie. Pano wie — Donal wyciągnął rękę i na ekranach pojawił się mężczyzna, którego znał Lee — chcę wam przedstawić dowódcę grupy, Theissa, który miał odwagę zachować się jak człowiek wolny i zadawać pytania.

Zaskoczony i onieśmielony nagłym publicznym występowaniem dowódcy grupy obliżał wargi i wyszczerzył się w nieco głupawym uśmiechu.

— Decyzję zostawiam wam — dodał Donal i dał znak, żeby wyłączono ekran.

* * *

Trzy godziny później grupy Theiss wrócił na swój statek, zdumiewając kolegów opowiadaniem o tym, co mu się przydarzyło, Głosowanie już się odbyło.

— Prawie jednogłośnie — meldował Lłudrow — za atakiem. Tylko trzy statki — żaden z pierwszej linii i żaden z transportowych — głosowały przeciwko.

— Niech te trzy statki nie biorą udziału w ataku — powiedział Donal. — Chcę znać ich nazwy i nazwiska kapitanów. Przypomnij mi o tym, kiedy już będzie po wszystkim. — Wstał z krzesła w sali klubowej statku flagowego. — Proszę wydać rozkazy, komandorze. Ruszamy.

Ruszyli. Ceta nigdy nie brała zbyt poważnie myśli o ataku wroga. Leżała na uboczu jako jedyna zamieszkała planeta systemu, w większej części jeszcze nie zbadana i nie zagospodarowana, okrążając swoje słońce, Tau Ceti, gwiazdę typu KO. Bezpieczna pośród międzygwiazdowego labiryntu zobowiązań, które sprawiały, że rządy wszystkich pozostałych planet były do pewnego stopnia zależne od jej dobrej woli, miała tylko kilka statków na stałej defensywnej orbicie.

Statki te, których pozycje i trajektorie dokładnie zbadał wywiad Donala, zostały zniszczone przez jego flotę, ledwo zdążyły nadać ostrzeżenie. A i tak dotarło ono do osłupiałych i nie dowierzających uszu.

W tym czasie jednak wojska szturmowe opadały już na planetę, lądując w miastach, instalacjach wojskowych, posterunkach policji. Działo się to pod osłoną nocy, która zapanowała na tym dużym, lecz wolno obracającym się świecie.

W większości przypadków trafiali niemal prosto w cel, gdyż napadnięci nie nękali statków w czasie akcji zrzucania oddziałów desantowych. Reakcja na planecie na ogół była taka, jakiej można się spodziewać, kiedy wyszkolone wojsko, w pełni uzbrojone i wyposażone, spada nagle na miejscową policję, niedoświadczonych żołnierzy i spokojne garnizony. Tu i tam miały miejsce ostre i zażarte walki, gdy oddziały desantowe napotykały opór ze strony najemników, równie zaprawionych w bojach jak one. Ale w takich przypadkach błyskawicznie zjawiały się posiłki, by dokończyć akcji.

Donal skakał razem z czwartym rzutem. I kiedy następnego ranka duże żółte słońce pojawiło się nad horyzontem, planeta była opanowana. Dwie godziny później jakiś ordynans przyniósł mu wiadomość, że zlokalizowano Williama — w jego rezydencji pod Whitetown, około tysiąca pięciuset kilometrów stąd.

— Jadę tam — powiedział Donal. Rozejrzał się wokół. Jego oficerowie byli zajęci, a Ian przebywał gdzieś ze swoimi oddziałami lądowymi. Donal skinął na Lee. — Chodź, Lee.

Wsiedli na czteroosobową platformę i wyruszyli. Ordynans służył za przewodnika. Po wylądowaniu w ogrodzie rezydencji Donal zostawił ordynansa przy platformie, wziął ze sobą Lee i razem wkroczyli do domu.

Szli przez ciche pokoje, w których były jedynie meble. Wydawało się, że wszyscy mieszkańcy zniknęli. Po krótkim czasie Donal zaczął podejrzewać, że meldunek był mylny i że William również wyjechał. I wtedy, minąwszy sklepienie przejście, znalazł się w małym przedpokoju i stanął twarzą w twarz z Aneą.

Wytrzymała jego spojrzenie z pobladłą, lecz opanowaną twarzą.

— Gdzie on jest? — zapytał Donal.

Odwróciła się i wskazała drzwi w drugim końcu przedpokoju.

— Są zamknięte — poinformowała. — Był tam, kiedy twoi ludzie zaczęli lądować, i nie wychodził. Nikt przy nim nie został. Ja... nie mogłam go opuścić.

— Tak — powiedział Donal z przygnębieniem. Przyjrzał się zamkniętym drzwiom ze swojego miejsca. — To nie było łatwe dla niego.

— Martwisz się o niego?

Na dźwięk jej głosu podniósł gwałtownie głowę. Popatrzył na nią, doszukując się drwiny w jej słowach. Ale nie znalazł. Dziewczyna pytała szczerze.

— Martwię się w pewnym sensie o każdego człowieka — odparł. Przeszedł przez przedpokój do drzwi, w nagłym impulsie przyłożył kciuk do zamka... i drzwi otworzyły się.

Poczuł w sobie nagły chłód.

— Zostań z nią — rzucił przez ramię do Lee. Pchnął szerzej drzwi i znalazł się przed kolejnymi, masywniejszymi, które jednak również otworzyły się pod jego dotknięciem. Donal wszedł do środka.

Na końcu długiego pokoju za biurkiem zarzuconym stertą papierów siedział William. Wstał na widok Donala.

— Więc wreszcie jesteś — rzekł spokojnie. — No, no. Podszedłszy bliżej Donal przyjrzał się twarzy mężczyzny i jego oczom. Powziął nagłe podejrzenie, że William nie zachowuje się, jak powinien, choć nic nie nasuwało takiego wniosku.

— To była bardzo dobra akcja. Bardzo dobra — powiedział William ze zmęczeniem. — Sprytna sztuczka. Wyrażam swoje uznanie. Początkowo nie doceniłem cię, kiedy cię poznałem. Przyznaję się do tego dobrowolnie. Zostałem pokonany, nieprawdaż?

Donal zbliżył się do biurka. Spojrzał na spokojną, wyczerpaną twarz Williama.

— Ceta jest pod moją kontrolą — oznajmił. — Twoje siły ekspedycyjne na innych światach są odcięte... a ich kontrakty nie są warte więcej niż papier, na którym zostały spisane. Bez twoich rozkazów wszystko jest skończone.

— Tak... tak, tak mi się też zdawało — powiedział William z lekkim westchnieniem. — Jesteś moim przeznaczeniem... moim fatum. Powiniennem poznać się na tym wcześniej. Siła taka jak moja musi mieć swoją przeciwwagę. Myślałem, że będzie nią ilość. Tak się nie stało. — Spojrzał na Donala z tak dziwnym, badawczym wyrazem twarzy, że oczy tamtego zwęziły się.

— Nie czujesz się dobrze — stwierdził Donal.

— Tak, nie czuję się dobrze. — William potarł oczy ze zmęczenia. — Zbyt ciężko ostatnio pracowałem... i na nic. Kalkulacje Montora były nie do podważenia, ale im doskonalszy był mój plan, tym bardziej zawsze wszystko szło na opak. Nienawidzę cię, wiesz? — powiedział William obojętnie, opuściwszy rękę i znowu spojrzawszy na Donala. — Nikt w całej historii ludzkości nie nienawidził nikogo bardziej niż ja ciebie.

— Chodźmy — powiedział Donal obchodząc biurko. — Zabiorę cię do kogoś, kto może ci pomóc.

— Nie. Zaczekaj... — William gestem ręki zatrzymał Donala i cofnął się przed nim. Donal przystanął. — Muszę ci coś najpierw pokazać. Przewidziałem koniec w chwili, kiedy dostałem meldunek, że twoi ludzie lądują. Czekałem prawie dziesięć godzin. — Zadrżał nagle. — Długo czekałem. Musiałem się czymś zająć. — Odwrócił się i szybko podszedł do podwójnych drzwi w jednej ze ścian. — Popatrz — powiedział i nacisnął guzik.

Drzwi rozsunęły się.

Donal spojrział. W małej zamkniętej przestrzeni wisiał ktoś, kogo ledwo można było rozpoznać po tym, co zostało z jego twarzy. To był jego brat, Mor.

Donal

Zaczęły pojawiać się przebłyski jasności.

Od czasu do czasu ktoś wołał go z ciemności korytarzy, przez które szedł. Ale do tej pory był zbyt zajęty, by odpowiadać. Teraz jednak powoli zaczął się wsłuchiwać w głosy, które czasem należały do Anei, czasem do Sayony i Iana, a czasem do nie znanych mu osób.

Niechętnie zbliżał się do nich, zwlekając z opuszczeniem mrocznych miejsc, przez które wędrował. Był tam wielki ocean, do jakiego zawsze wahał się wejść, ale teraz zanurzył się w nim, w jego ciepłe, i zostałby tam, gdyby nie głosy wzywające z powrotem do mało ważnych rzeczy. A jednak miał wobec nich obowiązki — obowiązki, które mu wpajano od najmłodszych lat. Rzeczy nie zrobione i rzeczy źle zrobione... i to, co zrobił Williamowi.

— Donalu? — odezwał się głos Sayony.

— Jestem tutaj — odpowiedział. Otworzył oczy i zobaczył biały szpitalny pokój, łóżko, w którym leżał, Sayonę, Aneę i Galta stojących obok, a także niskiego wąsatego mężczyznę w długim różowym fartuchu psychiatry Exotików.

Zwiesił nogi z łóżka i wstał. Jego ciało było osłabione długą bezczynnością, ale odsunął od siebie słabość w taki sposób, jak człowiek odsuwa irytującą, ale małą i nieważną rzecz.

— Powinien pan odpocząć — powiedział lekarz.

Donal spojrział na niego obojętnie. Lekarz odwrócił wzrok, a Donal uśmiechnął się, żeby uspokoić mężczyznę.

— Dziękuję za wyleczenie, doktorze.

— Nie wyleczyłem pana — odparł lekarz z lekką goryczą, nadal z odwróconą głową.

Donal skierował spojrzenie ku pozostałej trójce i ogarnął go smutek. Oni nie zmienili się i pokój szpitalny również był podobny do innych pokoi, w jakich przebywał. Mimo to w jakiś sposób wszystko skurczyło się — ludzie i miejsce. Było w nich teraz coś małego i bezbarwnego, coś tandetnego i ograniczonego. Ale to nie była ich wina.

— Donalu — zaczął Sayona dziwnie skwapliwym, pytającym tonem. Donal spojrział na starszego mężczyznę, a ten, podobnie jak lekarz, automatycznie od-

wrócił wzrok.. Donal przesunął spojrzenie na Galta, który również spuścił oczy. Jedyne Anea, gdy na nią popatrzył, odwzajemniła się dziecięcym czystym spojrzeniem.

— Nie teraz, Sayono — powstrzymał go Donal. — Porozmawiamy o tym później. Gdzie jest William?

— Piętro niżej... Donalu... — słowa wyrwały się z ust Sayony. — Co mu zrobiłeś?

— Kazałem mu cierpieć — odparł Donal po prostu. — Myliłem się. Zaprowadź mnie do niego.

Zeszli powoli — Donal trochę chwiejnie — do pokoju na niższym piętrze. Ktoś leżał nieruchomo w takim samym łóżku, jakie zajmował Donal... i trudno było poznać w tym człowieku Williama. Pomimo aseptycznej czystości szpitala pokój wypełniał słaby zwierzęcy zapach, a oblicze mężczyzny było nieludzko wykrzywione z bólu. Skóra twarzy ciasno opinała ciało i kości jak cienka przezroczyta tkanina naciągnięta na glinianą maskę. Oczy nie poznawały nikogo.

— Williamie... — powiedział Donal zbliżywszy się do łóżka. Szkliste oczy przesunęły się w kierunku głosu. — Sprawa z Morem jest już skończona.

Lekkie zrozumienie błysnęło w próbujących się skoncentrować oczach. Sztywne szczęki rozsunęły się i ze ściśniętego gardła wydobył się chrapliwy dźwięk. Donal położył dłoń na napiętym czole.

— Wszystko będzie w porządku — powiedział. — Wszystko teraz będzie w porządku.

Powoli, jakby opadły niewidzialne więzy, sztywność zaczęła ustępować z ciała leżącego mężczyzny. Stopniowo rozluźniał się i stawał coraz bardziej podobny do człowieka. Jego wzrok, teraz całkiem przytomny, powędrował do Donala, jak gdyby jego wysoka postać była jedynym światłem w ciemnej jaskini.

— Będzie dla ciebie praca — powiedział Donal. — Dobra praca. Taka, jaką zawsze chciałeś wykonywać. Obiecuję ci.

William westchnął głęboko. Donal zdjął rękę z jego czoła. Księżciu opadły oczy i zasnął.

— To nie twoja wina — ciągnął dalej Donal nieobecny duchem, patrząc na niego. — To nie twoja wina, lecz twojej natury. Powinienem był to wiedzieć. — Odwrócił się trochę chwiejnie do pozostałych osób, które patrzyły teraz na niego odmienionym wzrokiem. — Dojdzie do siebie. A teraz chcę polecieć do swojej kwatery na Cassidzie. Mogę odpoczywać w drodze. Mam dużo do zrobienia.

* * *

Podróż z marańskiego szpitala, w którym przebywał pod obserwacją, do Tomblecity na Cassidzie minęła Donalowi jak sen. Czuwając czy śpiąc, nadal na wpół

przebywał w oceanie, do którego w końcu wszedł po śmierci Mora i którego ciemne wody już nigdy nie miały całkowicie go wypuścić. Doszło do tego, że musiał żyć pogrążony w tym morzu zrozumienia, po którego brzegu wędrował przez wszystkie swe młodzięcze lata i którego żaden ludzki umysł nie byłby w stanie pojąć, nieważne, jak długo by tłumaczył. Zrozumiał teraz, dlaczego rozumiał — tyle dał mu szok wywołany śmiercią Mora. Jak młode zwierzę wahał się na brzegu nieznanego, zanim własne nieokreślone pragnienia wraz z okolicznościami pchnęły go tam głową w dół.

Najpierw musiał nauczyć się przyznawać do swojej odmienności, potem z nią żyć, a w końcu pojąć ją.

Potrzebne więc było zagrożenie tego, co w nim wyjątkowe — najpierw przez psychiczny szok wywołany przejściami fazowymi w czasie ataku na Newtona, a potem przez sposób, w jaki umarł Mor, za co, jak sam doskonale wiedział, był odpowiedzialny — by zmusić go do walki o przeżycie. W tej ostatecznej bitwie rozumiał wreszcie, kim jest — i nikt inny nie byłby w stanie tego zrobić. Jedyne Anea wiedziała, kim on jest, nie musząc tego rozumieć — do odwiecznego dziedzictwa kobiety należy bowiem ocenianie bez potrzeby poznania. Sayona, William i kilku innych miało się domyślać, ale nigdy nie zrozumieć. Reszta ludzkości nigdy nie miała się dowiedzieć.

A on... on sam, wiedząc i rozumiejąc, był jak człowiek, który nauczył się czytać i bierze pierwszą książeczkę z biblioteki, gdzie półki ciągną się w nieskończoność. Dziecko w kraju wielkoludów. Anea, Sayona, Galt i inni wrócili razem z nim do Tomblecity. Nie musiał ich o to prosić. Podążali za nim instynktownie.

Sekretarz obrony

Mężczyzna był dziwny.

Ludzie już zaczęli o tym mówić. I fakt ten krył w sobie załączek przyszłych kłopotów. Należało, zastanawiał się Donal, podjąć kroki, by uczynić nieszkodliwą podobną opinię.

Stał w pozycji, która była dla niego typowa w ostatnich czasach — samotnie na balkonie swojej rezydencji w Tomblecity, z rękami założonymi do tyłu jak żołnierz po skończonej paradzie, patrząc na Drogę Mleczną i nieznanne gwiazdy. Usłyszał, że Anea podchodzi do niego z tyłu.

— Sayona przyszedł — powiedziała.

Nie odwrócił się. Po chwili odezwała się znowu.

— Chcesz, żebym porozmawiała z nim sama? — zapytała.

— Przez chwilę — odparł Donal, nadal bez ruchu. Słyszał jej oddalające się kroki. Znowu zapatrzył się w gwiazdy. Po chwili dał się słyszeć męski głos i szmer rozmowy. Z tej odległości słowa nie dawały się rozróżnić, ale Donal nie musiał słuchać, by wiedzieć, o czym mówią.

Osiem miesięcy minęło od momentu, kiedy otworzył oczy na cały wszechświat, który ukazał się tylko jemu. Osiem miesięcy — pomyślał Donal. W tym krótkim czasie przywrócono porządek na cywilizowanych światach. Utworzono parlament z wewnątrznie wybieraną radą złożoną z trzydziestu dwóch reprezentantów, po dwóch z każdego świata. Właśnie dzisiaj na Cassidzie parlament ten wybrał go na stałego sekretarza obrony. . .

Donal wyteżył umysł i spróbował rozgryźć, o czym w tym momencie mógł Sayona rozmawiać z Aneą.

— . . . a potem obszedł całą salę, niedługo przed głosowaniem — Sayona mówił teraz półgłosem w tylnym pokoju. — Tu powiedział słowo, tam słowo, nic ważnego. Ale kiedy skończył, miał wszystkich w ręku. Było tak, jakby przez ostatni miesiąc obracał się wśród delegatów do parlamentu.

— Tak — odpowiedziała Anea. — Mogę to sobie wyobrazić.

— Rozumiesz to? — spytał Sayona patrząc na nią uważnie.

— Nie — powiedziała pogodnie. — Ale widziałam to. On jaśniej. . . jak atomowy rozbłysk pośród pola pełnego małych ognisk. Ich małe światełka bledną,

kiedy znajdą się zbyt blisko niego. A on osłania swój blask, kiedy jest wśród nich, żeby ich nie oślepić.

— Więc nie jesteś zmartwiona?

— Zmartwiona? — Jej szczęśliwy śmiech rozniósł jego niemądre pytanie w strzępy.

— Wiem — powiedział Sayona poważnie — jaki on ma wpływ na mężczyzn. I domyślam się jego wpływu na kobiety. Czy jesteś pewna, że niczego nie żałujesz?

— Jak mogłabym? — Ale nagle spojrzała na niego pytająco. — Co masz na myśli?

— Po to właśnie dzisiaj przyszedłem — odparł Sayona. — Muszę ci coś powiedzieć... o ile będę mógł zadać ci pewne pytanie, kiedy skończę.

— Jakie pytanie? — spytała ostro.

— Najpierw pozwól mi powiedzieć — odparł. — Potem możesz odpowiedzieć lub nie, jak zechcesz. To nic takiego, co mogłoby cię dotknąć... teraz. Ty-
le że powinienem był powiedzieć ci wcześniej. Obawiam się, że odkładałem to, dopóki... cóż, aż dalsze odkładanie przestało być możliwe. Co wiesz o swojej historii genetycznej, Aneo?

— Jak to? — Spojrzała na niego. — Wiem wszystko.

— Ale nie to — powiedział Sayona. — Wiesz, że przeznaczono cię do pewnych rzeczy... — Położył starą szczupłą dłoń na krawędzi jej krzesła takim gestem, jakby błagał o zrozumienie.

— Tak. Umysł i ciało — odpowiedziała patrząc na niego.

* * *

— I coś jeszcze — powiedział Sayona. — Trudno to wyjaśnić w jednej chwili. Ale wiesz, co kryło się za nauką Montora, prawda? Zagrażała ludzkiej rasie jako całości, jako jednej społeczności, samonaprawiającej się w tym sensie, że kiedy pewne jej składniki umierają, zastępowane są przez rodzące się nowe składniki. Taką całością można manipulować poprzez statystyczne naciski, do pewnego stopnia w podobny sposób, jak ludzką istotą można manipulować poprzez nacisk fizyczny i emocjonalny. Jeśli zwiększymy temperaturę w pokoju, znajdujący się w nim człowiek zdejmie marynarkę. To był klucz Williama do władzy.

— Ale... — spojrzała na niego ze zdziwieniem. — Jestem jednostką...

— Nie, nie. Zaczekaj. — Sayona podniósł rękę. — Taka była nauka Montora. Nauka Exotików wychodziła z podobnych założeń, ale obrała inny punkt widzenia. Uważaliśmy, że ludzką rasą — jako całością o stałym tempie wzrostu i ewolucji — można manipulować poprzez narodziny udoskonalonych jednostek pośród tworzącej ją masy. Sądziliśmy, że kluczem do tego jest selekcja genetyczna — naturalnym lub przypadkowym, bądź też kontrolowanym.

— Ale tak jest! — zawołała Anea.

— Nie — Sayona wolno pokręcił głową. — Myliliśmy się. Tego rodzaju manipulacja nie jest naprawdę możliwa, jedynie analiza i wyjaśnianie. Jest to podejście odpowiednie dla historyka, dla filozofa. I byliśmy nimi, Aneo, my, Exotikowie, dlatego też wydawało nam się to nie tylko niezbite, ale i doskonałe.

Manipulacja takimi środkami jest jednak możliwa tylko w ograniczonym zakresie — na małą skalę. Rasą ludzką nie można sterować od wewnątrz. Taka selekcja genetyczna, jakiej dokonywaliśmy, mogła wykorzystywać tylko te cechy, które już znaliśmy i rozumieliśmy. Odrzucaliśmy te geny, które odkryliśmy, ale których nie mogliśmy zrozumieć, i oczywiście nie korzystaliśmy z tych, o których istnieniu nie mieliśmy pojęcia.

Nie widząc tego, byliśmy bezradni wobec początku i końca. Mieliśmy tylko środek. Nie potrafiliśmy wyobrazić sobie cech, jakie należało wykształcić, ale jakich nie znaliśmy i nie rozumieliśmy. To było właściwym celem — zupełnie nowe cechy. A początkiem były, oczywiście, zupełnie nowe geny i kombinacje genów.

Problem ten sformułowano już dawno temu, ale oszukiwaliśmy się, że to bez znaczenia. A sprowadzał się do tego, czy kongres goryli zebranych w celu zaplanowania hodowli supergoryla mógłby zaplanować istotę ludzką? Zaniechać rozwoju silniejszych mięśni, mocniejszych i dłuższych zębów, lepszego przystosowania do tropikalnego środowiska?

Manipulowanie rasą w ramach tej rasy to proces cykliczny. Jedyna wartościowa rzecz, jaką możemy zrobić, to stabilizować, chronić i rozwijać cenne genetyczne podarki, które wpadają nam w ręce spoza naszej domeny.

William — a musiałaś wiedzieć to lepiej niż ktokolwiek inny, Aneo — należy do tej małej i dobranej grupy ludzi, którzy w historii świata byli zwycięzcami. Istnieje nazwa dla takiej rzadkiej i niezwyklej indywidualności... ale sama nazwa nic nie znaczy. To tylko etykieta przyczepiona do czegoś, czego nigdy w pełni nie rozumieliśmy. Takim ludziom nie można się przeciwstawić — mogą dokonać wiele dobrego. Zwykle jednak mogą też wyrządzić równie wiele zła, ponieważ są niepohamowani. Staram się, żebyś zrozumiała rzecz dość skomplikowaną. My, Exotikowie, zorientowaliśmy się, że William będzie tym, kim jest, kiedy miał dwadzieścia kilka lat. Wtedy podjęto decyzję o wyselekcjonowaniu genów, które miały stworzyć ciebie.

— Mnie?! — Anea zeszywniała nagle, wpatrując się w niego ze zdumieniem.

— Tak. — Sayona pochylił ku niej głowę. — Nigdy nie zastanawiałaś się, dlaczego tak instynktownie sprzeciwiałaś się Williamowi we wszystkim, co robił? Ani dlaczego on tak upierał się, by mieć twój kontrakt? Lub dlaczego my na Kultis pozwalaliśmy, by trwał tak wyraźnie nieszczęśliwy związek?

Anea wolno potrząsnęła głową.

— Ja... musiałam. Ale nie pamiętam...

* * *

— Miałś być uzupełnieniem Williama w sensie psychologicznym. — Sayona westchnął. — Podczas gdy on skłaniał się ku władzy dla samej władzy, tobie chodziło o cele i nie dbałaś o to, kto jest u steru, dopóki liczyły się tylko skutki. Twoje ewentualne małżeństwo — do którego zmierzaliśmy — byłoby, mieliśmy nadzieję, połączeniem dwóch różnych natur. Postępowałabyś tak, jak wymagałaby władcza osobowość Williama. Uważaliśmy, że rezultat byłby zbawienny.

Dziewczyna zadrzała.

— Nigdy nie wyszłabym za niego za mąż.

— Ależ tak — powiedział Sayona z westchnieniem — wyszłabyś. Tak cię zaprogramowano — jeśli wybaczysz mi to brutalne określenie — żebyś w wieku dojrzałym zareagowała na dowolnego mężczyznę w galaktyce wyróżniającego się spośród innych. — Powaga na chwilę opuściła Sayonę i w oczach pojawił mu się błysk humoru. — To, moja droga, wcale nie było trudno zaplanować. Niemal niemożliwe byłoby zapobieżenie temu! Z pewnością wiesz, że najstarszy i najpotężniejszy instynkt kobiecy to zachować siłę najmocniejszego mężczyzny, jakiego uda się jej spotkać. A najlepszym sposobem na to jest urodzenie jego dzieci.

— Ale... był Donal — powiedziała, a jej twarz rozjaśniła się.

— Właśnie. — Sayona zachichotał. — Gdyby najmocniejszy mężczyzna w galaktyce zszedł na manowce, niewłaściwie używał swojej ogromnej siły, mimo wszystko wyszukałabyś go ze względu na jej wielką wartość. Moc jej zdolności to narzędzia. Są ważne. Jak się ich używa, to osobna sprawa.

Ale kiedy na scenie pojawił się Donal... Cóż, oznaczał ruinę wszystkich naszych teorii, wszystkich planów. Produkt jednego z tych naturalnych przypadków — spoza naszej dziedziny — szansa wykorzystania genów jeszcze lepszych od genów Williama. Połączenie naprawdę wspaniałej linii myślicieli z równie wielką linią ludzi czynu.

Nie uświadomiłem sobie tego, nawet kiedy przeprowadzaliśmy z nim testy. — Sayona potrząsnęła głową, jakby chciał zebrać myśli. — Albo nasze testy nie były w stanie wykryć jego naprawdę ważnych cech. My... cóż, nie wiemy. To właśnie mnie martwi. Jeśli nie udało nam się odkryć prawdziwej mutacji — kogoś z nowym wielkim talentem, który mógłby przynieść korzyści całej rasie, to zawiedliśmy bardzo.

— Dlaczego? Co to miałoby wspólnego z wami? — zapytała.

— Bo to dziedzina, na której powinniśmy się znać. Jeśli cybernetyk nie rozpozna, że jego kolega ma złamaną kość, nie jest winny; jeśli ten sam błąd popełni lekarz, zasługuje na surową karę.

Naszym, Exotików, obowiązkiem byłoby rozpoznanie nowego talentu, wyodrębnienie go i zrozumienie. Może Donal ma coś, o czym sam nie wie. — Spojrzał na nią. — I to właśnie jest pytanie, które muszę ci zadać. Jesteś bliżej niego niż

ktokolwiek inny. Czy sądzisz, że Donal może coś w sobie mieć — coś wyraźnie odmiennego? Nie chodzi mi tylko o jego geniusz. To jest coś, co mają także inni ludzie. Mam na myśli jakąś prawdziwą, ponadprzeciętną zdolność.

Anea znieruchomiała na moment, patrząc gdzieś obok Sayona. Potem spojrzała na niego i powiedziała:

— Chcesz, żebym zgadywała? Dlaczego nie zapytasz jego?

Nie znaczyło to, że nie znała odpowiedzi. Nie wiedziała, skąd i co wie, nie wiedziała też, jak to przekazać, ani nawet, czy warto to przekazywać. Była jednak całkowicie przekonana, że Donal wiedziałby, co należy powiedzieć, a czego nie.

Sayona wzruszył ramionami i skrzywił się.

— Jestem głupcem. Nie wierzę w to, o czym upewnia mnie moja wiedza. Było do przewidzenia, że Wybranka z Kultis udzieli takiej odpowiedzi. Boję się go zapytać i ta świadomość wcale nie zmniejsza strachu. Ale masz rację, moja droga. Zapytam go.

Podniosła rękę.

— Donalu! — zawołała.

Usłyszał na balkonie jej głos. Nie oderwał oczu od gwiazd.

— Tak — odpowiedział.

* * *

Za nim dały się słyszeć kroki, a potem głos Sayony.

— Donalu...

— Będziesz musiał mi wybaczyć — powiedział Donal, nie odwracając się. — Nie chciałem, żebyś czekał. Ale musiałem coś przemyśleć.

— W porządku — odparł Sayona. — Przykro mi, że ci przeszkadzam... Wiem, jak bardzo jesteś ostatnio zajęty. Ale chciałem ci zadać pewne pytanie.

— Czy jestem superczłowiekiem? — zapytał Donal.

— Tak, o to w istocie chodzi. — Sayona zachichotał. — Czy ktoś już zadał ci to samo pytanie?

— Nie. — Donal również się uśmiechał. — Ale wyobrażam sobie, że niektórzy chcieliby.

— Cóż, nie powinieneś im się dziwić — powiedział Sayona poważnie. — W pewnym sensie naprawdę nim jesteś, wiesz o tym.

— W pewnym sensie?

— O — Sayona machnął ręką. — Ogólnych zdolności, w porównaniu z przeciętnym człowiekiem. Ale nie takie było moje pytanie...

— Powiedziałaś, zdaje się, że sama nazwa nic nie znaczy. Co rozumiesz przez określenie „superczłowiek”? Czy można odpowiedzieć na twoje pytanie, jeśli to słowo nie ma swego znaczenia, nie ma definicji? I kto chciałby być superczłowiekiem? — zapytał Donal na poły ironicznym, na poły smutnym tonem. — Jaki

człowiek chciałby wychowywać sześćdziesiąt miliardów dzieci? Jaki człowiek dałby sobie z nimi radę? Jak podobałoby mu się dokonywanie pomiędzy nimi koniecznych wyborów, gdyby kochał je jednakowo? Pomyśl o odpowiedzialności związanej z odmawianiem im słodyczy, których nie powinny — choć mogłyby — jeść, i pilnowaniem, by chodziły do dentysty wbrew własnej woli! A jeśli „superczłowiek” oznacza kogoś jedynego w swoim rodzaju, pomyśl o sześćdziesięciu miliardach dzieci na wychowaniu i braku przyjaciół, z którymi można się odprężyć, rozerwać, ponarzekać, by łatwiej było znosić codzienny kierat. A gdyby twój „superczłowiek” był taki nadzwyczajny, kto mógłby zmusić go do tracenia energii na wycieranie sześćdziesięciu miliardów nosów i sprzątanie bałaganu, który narobiło sześćdziesiąt miliardów nieznośnych brzdąców? Z pewnością superczłowiek potrafiłby znaleźć bardziej satysfakcjonujący użytek dla swoich wielkich talentów?

— Tak, tak — powiedział Sayona. — Ale oczywiście nie miałem na myśli niczego tak daleko idącego. — Spojrzał na Donalę z lekką irytacją. — Wiemy obecnie wystarczająco dużo o genetyce, by zdawać sobie sprawę, że nie moglibyśmy nagle otrzymać zupełnie nowej wersji istoty ludzkiej. Każda zmiana musiałaby mieć postać jednego nowego talentu.

— A co, gdyby istniał jakiś talent nie do odkrycia?

— Nie do odkrycia?

— Przypuśćmy — wyjaśnił Donal — że mam zdolność widzenia nowego, dziwnego koloru. Jak opisałbym go tobie, który nie możesz go zobaczyć?

— Zlokalizowalibyśmy go dokładnie — odparł Sayona — Wypróbowałibyśmy wszystkie możliwe formy radiacji, aż znaleźlibyśmy taką, którą mógłbyś zidentyfikować jako odpowiadającą twojemu kolorowi.

— Ale nadal nie moglibyście go sami zobaczyć.

— No, nie — zgodził się Sayona. — Ale to nie byłoby ważne, gdybyśmy wiedzieli, jaki jest.

* * *

— Jesteś pewien? — upierał się Donal nie odwróciwszy się. — Przypuśćmy, że jest ktoś, kto myśli w zupełnie nowy sposób, ktoś, kto w dzieciństwie zmuszał się do myślenia logicznego, ponieważ tylko w ten sposób myśleli wszyscy wokół niego. Stopniowo jednak, w miarę jak dorasta, odkrywa, że widzi związki niedostrzegalne dla innych umysłów. Wie na przykład, że gdybym ściął to drzewo rosnące w moim ogrodzie, gdzieś o kilka lat świetlnych stąd zmieniłoby się życie jakiegoś innego człowieka. Ale nie potrafi wyjaśnić swojej wiedzy w kategoriach logiki. Co więc przysłoby ci z tego, że wiedziałbyś, co to za talent?

— Oczywiście, nic — powiedział Sayona dobrodusznie — ale z drugiej strony jemu również nic by z tego nie przyszło, ponieważ żyje w społeczności kierującej

się logiką. W rzeczywistości tak niewiele by mu z tego przyszło, że bez wątpienia nigdy nie odkryłby w sobie tego talentu. I mutacja ta jako błąd natury zginęłaby bezpłodnie.

— Nie zgadzam się z tobą — powiedział Donal. — Ponieważ ja jestem superczłowiekiem intuicji. Używani jej świadomie, jak ty używasz logiki, by dojść do jakiegoś wniosku. Mogę sprawdzać krzyżowo swoje przeczucia, by dowiedzieć się, które jest prawdziwe. I mogę z intuicyjnych wniosków wnieść intuicyjną budowlę. Jest to tylko jeden talent. . . ale z wielokrotnia znaczenie i moc pozostałych, nadając im nową jakość.

Sayona wybuchnął śmiechem.

— I dlatego, zgodnie z moim stwierdzeniem, że ta zdolność przyniosłaby niewiele pożytku i nawet nie byłbyś w stanie jej odkryć, nie mógłbyś twierdząco odpowiedzieć na moje pytanie, czy jesteś superczłowiekiem! Bardzo dobrze, Donalu. Już od tak dawna nie stosowano sokratejskiej metody w dyskusji ze mną, że nawet jej początkowo nie rozpoznałem.

— A może instynktownie wolałbyś nie dostrzec mojego talentu — powiedział Donal.

— Nie, nie. Wystarczy — powiedział Sayona, ciągle się śmiejąc. — Wygrałeś, Donalu. Tak czy inaczej, dziękuję, żeś mnie uspokoił. Gdybyśmy przeoczyli realną możliwość, uważałbym się za osobiście odpowiedzialnego. Uwierzyliby mi na słowo. . . a ja okazałbym się niedbały. — Uśmiechnął się. — Czy powiesz mi, jaki był prawdziwy sekret twojego sukcesu, jeśli nie talent?

— Intuicja — odpowiedział Donal.

— To prawda — stwierdził Sayona. — Naprawdę masz intuicję. Ale żeby mieć tylko intuicję. . . — zachichotał. — Cóż, dziękuję, Donalu. Nie wiesz, jak bardzo uspokoiłeś mnie pod tym względem. Nie zatrzymuję cię dłużej. — Zawałał się, ale Donal się nie odwrócił. — Dobranoc.

— Dobranoc — odpowiedział Donal. Słyszał oddalające się kroki starszego mężczyzny.

— Dobranoc — dobiegł głos Sayony z salonu.

— Dobranoc — odpowiedziała Anea.

Kroki Sayony umilkły. Donal nadal się nie odwracał. Wyczuwał obecność Anei czekającej na niego w pokoju.

— Tylko intuicja — powtórzył szeptem. — Tylko. . .

Podniósł twarz ku nieznanym gwiazdom w taki sposób, jak człowiek w upalnej dolinie podnosi twarz ku chłodnym wzgórzom na początku długiego dnia pracy, kiedy wieczorna wolność jest jeszcze bardzo odległa. A wyraz jego twarzy był taki, jakiego nigdy nie widziała żadna osoba. . . nawet Anea. Powoli opuścił oczy i odwrócił się. I wtedy ten wyraz zniknął. Jak powiedziała Anea, zakrył swój blask, żeby nikogo nie oślepić. I wszedł jeszcze raz, jeszcze na trochę, do mieszkania Człowieka.